

ALEXANDER GÜTSCHKE
WIECZÓR GORZKIEJ MGŁY



Alexander Gütsche

Wieczór gorzkiej mgły

Wieczór gorzkiej mgły

*wpierw trzeba odejść, żeby móc powrócić
trzeba nic nie mieć, by chcieć swój los odwrócić
kto raz oszukał, kto raz choć był uczciwy
na sztos rzuciliśmy swój życia los, ludzie żywi*

Kazik Staszewski *Sztos* (fragment)

To był wieczór gorzkiej mgły, żółtawego oparu pokrywającego całą Warszawę co kilka tygodni, zwłaszcza jesienią. Ta mgła pozostawia na języku gryzący posmak smogu i samotności. Na Wspólnej stoją wtedy tylko najstarsze dziwki, te sześćdziesięcioletnie weteranki kosmicznych wojen, a po ulicach jeżdżą tylko wąsaci taksówkarze i nocne autobusy, stare, dzwoniące szybami jelicze, których wnętrza przesiąknięte są fetorem ropy i brudu.

Wyszedłem z pracy późnym wieczorem, strażnicy musieli już specjalnie dla mnie otwierać furtkę w bramie Uniwersytetu; chwilę musiałem się dobijać do wartowni, zanim któryś z nich obudził się i wyszedł do bramy.

Szedłem opustoszałą Świętokrzyską, na wysokości Pomnika Poległych zatrzymałem się na chwilę. Przy zniczu pełnił wartę samotny, zmarznięty trep, nadstawiający się plecami do koksownika. Pokazałem mu nocną przepustkę, machnął

tylko ręką; zsalutowałem mu do kapelusza i wszedłem w odrobione z czarnego kamienia ruiny. Pomędzy wytrawionymi w ścianach cieniami sylwetek odszukałem swoich rodziców. Na ostatniej ścianie, razem z innymi nazwiskami z pierwszego uderzenia.

Gorzka mgła coś ze mnie wyciąga.

Później poszedłem do Marszałkowskiej, do wielkiej płyty zeszklonego gruzu. Spowity pomarańczową mgłą statek Obcych był tylko wielką, opuszczoną, kanciastą rakieta. Dookoła niego zasieki, pancerki kordonu, kontenerowate alubaty polowego wydziału Instytutu, osłonięty falistą blachą tunel dla stalkerów prowadzący do głównego wjazdu.

Zatrzymałem się przy przystanku na obrzeżu szorstkiej plamy, spojrzałem na zegarek. Stał, ciągle zapominam go nakręcić. Nakręciłem i ustawiłem na oko. Na przystanku czekało kilka osób, coś zaraz powinno jechać. Wyjąłem carmeny, zapaliłem.

Marszałkowską przejechała rozklekotana warszawa z napisem MILICJA i migającym niebieskim światłem. Za nią, prawie bezgłośnie, sunęły nad powierzchnią jezdni trzy obłe transportery z merkińskimi rejestracjami i oznaczeniami poselstwa.

Po drugiej stronie ronda jakiś samochód zamiótł

reflektorami, przez sekundę wydało mi się, że przez czarne, pancerne szklivo transportera widzę cienie jednej czy dwóch wielkogłowych sylwetek. Kawalkadę zamykał drugi samochód milicyjny. Ludzie na przystanku odwrócili wzrok; mówiło się, że dłuższe patrzenie na pojazdy Merkinów jest szkodliwe przez promienie atomowe. Wiedziałem, że to nieprawda, ale też odwróciłem wzrok. Konwój skręcił w Aleje, w stronę lądownika-habitatu naprzeciwko Centralnego.

*

Autobus trząsał i ogłuszająco dzwonił poluzowanymi szybami, siedzisko z popękanego skaju w kolorze starego gówna lepiło się do ortalionu mojej kurtki. Wsiadłem przy Magistrackiej, chodnikiem z połamanymi betonowymi płytkami dotarłem do swojego bloku. Przed klatką potknąłem się o kępę zielska rosnącego w szczelinach spękanej trylinki, z której ktoś dawno temu niechlujnie poukładał podjazd. Ślepą klatką schodową wspiałem się na drugie piętro, otworzyłem drzwi do mieszkania. Z pokoju starszych Górnych dochodziły dźwięki telewizora. Po cichu rozebrałem się, w kuchni zrobiłem sobie trzy kanapki i herbatę, poszedłem do siebie. W drzwiach do mojego pokoju tkwiła złożona kartka.

Zapaliłem górne światło w pokoju, postawiłem kolację na biurku, zamknąłem się, rozwinąłem kartkę.

zadzwoń 6227502 p. Macyniuk, PILNE!

Pilne to pilne. Z szuflady biurka wyjąłem skorowidz i pogryzając kwaśny chleb ze szklarniowym pomidorem i suchą kiełbasą, cudem wystaną bez kartek w Megasamie, otworzyłem na „M”. Markowski, Manke, Moss. Macyniuka nie ma. Wyjąłem z szuflady czystą kartę, wpiąłem do skorowidza, wiecznym piórem u góry wykaligrafowałem „MACYNIUK”, poniżej wpisałem numer telefonu.

Herbata już wystygła, popiłem kolację i poszedłem do przedpokoju, do telefonu. Nasza centrala słabo łapie, starannie dociągałem tarczę do metalowego języczka.

Odebrał po drugim sygnale.

— Macyniuk!

— Szczepański z tej strony, dzwonił pan do mnie.

— Tak. Mam dla pana zlecenie.

— Tak? Jakiego rodzaju?

— To nie na telefon.

— A od kogo w ogóle ma pan mój numer?

— Od znajomego, któremu pomógł pan w podobnym kłopotcie.

— Od kogo?

— Od Szlomy Mittälstäda.

— Rozumiem. Jaki pan ma kłopot?

— Mówiłem, to nie jest sprawa na telefon. Gdzie pan jest?

— Na Woli.

— Przyślę po pana samochód.

— Mhm. Za kwadrans będę czekał na rogu Obozowej i Deotymy.

— Lepiej za trzy kwadranse, to jest kawałek.

— Dobrze. Jeszcze jedno...

— Tak?

— Mam nadzieję, że Salomon przekazał informację o moich stawkach.

— Przekazał.

— To do zobaczenia.

Wróciłem do siebie. Na indeksowej części karty Macyniuka dopisałem „→ Szloma Mittälstädt”, odpowiadający wpis trafił do indeksu powiązań Szlomy. Samochód przyśle, ciekawe, nic o nim nie słyszałem. Ani teraz, ani podczas pracy w Służbie.

Wyjrzałem na korytarz, w łazience ciemno. Szybki natrysk, przebrałem się w czyste ubranie, zrobiłem sobie pół szklanki kawy z trzema łyżeczkami cukru i kieliszkiem żytniówki. Jeżeli problem pana Macyniuka będzie tego rodzaju, jakiego się spodziewam, trzeba zapakować pomoce naukowe. Wyjąłem teczkę, zgarnąłem z półki dwa tomy przewodnika Landaua i Fejmana.

A potem sięgnąłem jeszcze do dolnej szuflady szafy, wyjąłem małą kasetkę i otworzyłem ją kluczykiem, który zawsze noszę przy sobie. Z kasetki wyciągnąłem szelki i VIS-a, zapasowy magazynek wsunąłem do kieszonki przy kaburze. Zapiąłem szelki na karku, poprawić krawat, marynarka, przyczesać włosy. Spojrzałem na zegarek, dwadzieścia minut. Za oknem mżawka. Wyciągnąłem z szafy płaszcz, pionierki i wełniane góralskie skarpety.

*

Na rogu Deotymy byłem osiem minut przed czasem. Mżawka chwilami przechodziła w drobny lodowaty deszcz. Postawiłem kołnierz płaszcza i nasunąłem kapelusz na czoło. Po pięciu minutach nadjechała syrena i zatrzymała się przy krawężniku. W środku było ciemno, kierowca siedział nieruchomo. W końcu wzruszyłem ramionami i wyszedłem z bramy. Podeszedłem do samochodu od tyłu, rejestracja była cywilna. Zapukałem w okno od strony pasażera. Kierowca nachylił się i odkręcił szybę.

— Pan Szczepański?

— Tak. Od pana Macyniuka?

— No, proszę wsiadać.

Młody chłopak, może ze dwadzieścia lat. Nie golił się jeszcze, policzki porastała mu miękka blond szczecina. Wsiadłem, ruszyliśmy w stronę Śródmieścia. Pod przednią szybą leżała blankietowa przepustka na całą dobę, seria AE, rządowa, wszystkie strefy miejskie.

Za oknem miasto połyskiwało deszczowo w pomarańczowym świetle.

— Zimno? Może włączyć grzanie?

— Chętnie.

Dmuchnęło ciepłem, zjechaliśmy w Belwederską.

— Tata chce żeby pan poszukał mojej siostry?

— Mhm. A wiesz gdzie jest?

— Nie, tym razem nic nie mówiła — zmieszał się trochę i przyspieszył.

Na Sadybie skręciliśmy w boczną uliczkę, drugą, zatrzymaliśmy się przed sporym domem otoczonym ogrodem.

— No to jesteście.

Wsiadłem i rozejrzałem się. Rzadko rozstawione latarnie odbijały się w kałużach na pozapychanych odpływach. Młody starannie zamknął samochód i weszliśmy na posesję.

Wszedłem pierwszy i zatrzymałem się w progu przedpokoju. Parter domu był jednym wielkim salonem oświetlonym niebieskawym światłem zimnych merkińskich lamp. Po mojej lewej stronie błyszcząca chromem otwarta kuchnia, na odległej ścianie jaśniał dwumetrowy prostokąt wielkiego wyświetlacza telewizyjnego.

Poza ścianami, dywanem i częścią mebli nie było tu chyba nic naszej produkcji.

Z półokrągłej kanapy pośrodku pokoju zerwał się wielki facet. Nie gruby, po prostu wielki. Mam metr siedemdziesiąt dziewięć, przewyższał mnie o głowę. Jego tkwiła na byczej szyi, owiniętej ciasno zapiętą białą koszulą i krawatem. Kto do cholery nosi koszulę i krawat we własnym domu, o jedenastej wieczorem?

Rozpiąłem płaszcz, w tym domu było ciepło.

Podszedł do mnie szybkim krokiem, wyciągnął dłoń wielkości szufli do odsnieżania. Podałem mu rękę, uścisk miał silny, ale nie miażdżący.

— Witam, witam.

— Szczepański. Jestem — powiedziałem tylko.

— Solidna firma, co?

— To już chyba pan wie — uśmiechnąłem się lekko.

— Proszę się rozebrać, Jarek, weź palto od pana — to było do młodego stojącego niezdecydowanie przy wejściu — chodźmy do mnie, będzie można spokojnie porozmawiać — wskazał na schody. Oddałem płaszcz i kapelusz, poszedłem schodami.

Na piętrze było już normalniej, żadnych artefaktów.

Przeszliśmy krótkim korytarzem, kierując się do drzwi z podwójnymi zamkami. Za drzwiami był gabinet jak wyjęty z filmu o życiu przed Najazdem. Stare biurko, za nim skórzany fotel, z boku jeszcze starszy stolczyk z wygiętymi nóżkami. Po obu stronach stoliczka stały dwa klubowce do kompletu z fotelem za biurkiem. Wskazał mi jeden z foteli. Usiadłem, założyłem nogę na nogę.

— Coś na rozgrzewkę?

— Chętnie. Pada.

Ściany były pokryte regałami książek, z borku wkomponowanego pomiędzy półkami wyjął butelkę, nalał dwa kieliszki.

— Zdrowie!

— Zdrowie!

Wlałem do gardła płynny ogień, udało mi się nie zakrztusić, zacisnąłem gardło, zmusiłem się do oddychania nosem.

— Śliwowica?

— Łącka!

— Niezła. Co mnie do pana sprowadza?

Milczał chwilę.

— Moja córka uciekła z domu, potrzebuję, żeby ktoś ją odszukał.

— To sprawa raczej dla milicji.

— Zabrała ze sobą bardzo cenną rzecz, dość specjalnego rodzaju, artefakt właściwie.

— Zaginione artefakty trzeba zgłosić w dwunastym wydziale.

— Artefakt nie był rejestrowany. — stwierdził takim tonem, jakby mówił, że jego żona ma fajne cycki. A za niezarejestrowanie artefaktu jest dwa lata, praktycznie z automatu, czasem więcej.

Patrzył na mnie uważnie, zauważył, że się zawahałem, pół sekundy, ale się zawahałem.

— Jasne. Jaki to był artefakt?

— Komunikacyjny, trikoder.

— Typ?

— Nie wiem, nie znam się na tym. Taki płaski, czarny, czarno-srebrny.

— Skąd pan go miał?

— Wie pan, ja z nimi pracuję.

— Z Merkinami?

— Tak. Jestem dyrektorem departamentu kontaktowego w MSW. Reprezentuję rząd w negocjacjach z nimi. Dostałem od nich, jako prezent, żebym miał bezpośrednią łączność ze swoim odpowiednikiem u nich. Miałem go zarejestrować, ale nie chciałem, żeby Instytut mi go zabierał, poza tym te przesłuchania, kontrole, żona histeryzuje, no to w końcu tak wyszło, że go nie zarejestrowałem.

W czasie mojej służby w SB łapaliśmy dwóch takich miesięcznie, ale nigdy tak wysoko.

— Dobrze, mogę poszukać pańskiej córki i tego trikodera, niekoniecznie w tej kolejności. Salomon uprzedził pana, ile to kosztuje?

— Tysiąc dziennie.

— On chyba ma krótką pamięć, bo płacił mi dwa.

— Wyraźnie mówił o tysiącu.

— Niech stracę. Tysiąc sześćset dziennie i piątka premii na

zakończenie. Dwa dni z góry.

— Tysiąc trzysta i cztery na koniec.

— Tak tanio ceni pan swoją córkę?

— Pewnie siedzi gdzieś u jakiegoś chłopaka.

— I on grzebie w pańskim trikoderze. Jak złapie ich milicja, albo patrol z wykrywaczem, będą dużo większe kłopoty. I dla pana, i dla niej.

— Niech będzie tysiąc pięćset. Jeden dzień z góry, cztery tysiące na koniec. Kiwnąłem głową.

— Pasuje. Ale jak mamy zacząć, to muszę wiedzieć za co.

Wstał, wyjął z biurka kopertę, odliczył piętnaście czerwonych setek, położył na blacie stolika. Skinąłem głową i sięgnąłem po teczkę.

— Najpierw musimy ustalić, co właściwie zginęło.

— Jasne, jasne.

— Dostał to pan w jakimś pudełku? Etui?

— Coś było, ale chyba już wyrzuciliśmy.

— A-ha.

Samo opakowanie po artefakcie, nawet jeśli nie artefaktyczne, czasami było sporo warte, zwłaszcza jeśli była tam instrukcja po polsku. Powstrzymałem się od wzruszenia ramionami i wyjąłem z teczki klucz Fejmana, przewodnik do oznaczania artefaktów, tom merkiński. Otworzyłem na urządzeniach do komunikacji.

— Wymiary urządzenia? Pokazał rękami.

— Dobrze, czyli jakieś dziesięć-dwanaście centymetrów długości, sześć szerokości, grubość?

— Koło centymetra, może więcej, ale nie więcej niż dwa.

Oznaczanie takich małych przedmiotów zaczyna się od grubości. Znalazłem w tabelce „1-2cm”, strona 430. W tabeli na 430 znalazłem proporcje 2: 1. Strona 812. Na 812 tabelka była krótka.

— Zasilanie?

— Co „zasilanie”?

— Ładuje pan go jakoś? Karmi? Wymienia ogniwa zasilające?

— Nie, nic.

Zasilanie: brak. Takiej pozycji nie było. Artefakt nie opisany u Landaua i Fejmana, prawdopodobnie nowy. Nieźle, naprawdę nieźle.

Nie gwizdnąłem, tylko wziąłem notes. Zapisałem to co podałeś, jakbym wypełniał kartę katalogową w laboratorium Instytutu.

— Kolor?

— Z jednej strony czarny, ze światełkami, z drugiej srebrny.

— Jakież oznaczenia?

— Z tej srebrnej strony jest taki symbol, kółko z wyciętym łukiem, jak półkolem, jak częściowe zaćmienie.

Zapisałem.

— Sterowanie?

— Głosowe. Tam są też jakieś światełka do pukania palcem, ale to tylko córka umie.

— Zna pan jego adres?

— Jaki adres?

— Każdy komunikator Obcych ma kod identyfikacyjny, znając ten kod można się z nim połączyć z podobnego urządzenia.

— Nie znam żadnego kodu.

— Szkoda. To jak pan go używa?

— Albo oni mnie wzywają, albo ja wywołuję kogoś z nich po nazwisku.

— Syn miał dostęp do tej rzeczy? Zwykle po glifach, po tych światełkach jak pan mówi daje się dojść do adresu. Gdyby ktoś z pańskich znajomych miał podobny trikoder, możnaby się skontaktować z pańską córką.

— Nikt nie może się dowiedzieć o tej sprawie, poufność, rozumiemy się? — Aż poczerwieniał.

— Jasne. A syn?

— Syn się tym za bardzo nie interesował, on woli samochody. Uśmiechnąłem się, zamknąłem notes, złożyłem razem z katalogiem Fejmana i schowałem do teczki.

— Jak ma na imię pana córka?

— Gaja.

— Wiek?

— 17 lat.

— Gdzie się uczy?

— Chodzi do Bednarskiej.

— Koleżanki?

— To żona wie, ale już wszystkie obdzwoniliśmy. Żadna nic nie wie.

— A jak wyglądało zniknięcie?

— Nie wróciła dzisiaj ze szkoły.

— A skąd pan wie, że zabrała trikoder?

— Noszę go w teczce, albo trzymam w biurku, w biurze chciałem z niego skorzystać, w teczce go nie było, w domu też nie, jak sprawdziłem. Pewnie wyjęła mi go z teczki rano jak ją odwoziłem do szkoły.

— Ma pan jej zdjęcie?

— Tak, oczywiście — sięgnął po odbitkę leżącą na biurku, podał mi. Zdjęcie było odcięte od większego, dziewczyna w

wojskowych glanach, drelichowych spodniach i maskującym kształty podkoszulku z napisem „Pani Śmierć” wrogo wpatrywała się w obiektyw. Głowę miała otoczoną aureolą cienkich warkoczyków poprzątkanych koralikami. Zdjęcie było zrobione gdzieś na świeżym powietrzu.

— Ma chłopaka?

— Miała, ale ostatnio się pokłócili o coś.

— Ma pan jego nazwisko, jakieś zamiary?

— Tak, ale on też nie może dowiedzieć się, co się stało.

Uniosłem brwi.

— To Sergiusz Blania-Bolnar.

— Syn ministra Bolnara? Rozumiem.

— Właśnie! Rozumiemy się!?

Kiwnąłem głową.

— Jeśli będę z nim rozmawiał, to tylko o pańskiej córce.

— Mam nadzieję. Poufność. Za to panu płacę.

— Ma pan jakiś kontakt do niego?

— Telefon do jego rodziców, zaraz panu zapiszę — wstał i podszedł do biurka, poszukał czegoś w notesie, zapisał, podał mi mały kartonik.

— Ma pan tu moją prywatną wizytówkę, z bezpośrednim telefonem do domu i do pracy, proszę mnie informować o wszelkich postępach. Coś jeszcze?

— Mogę zobaczyć pokój córki?

— Zobaczyć tak. Ale bez przeszukiwania. Nie chcę, żeby coś zauważyła jak wróci, że ktoś grzebał.

Kiwnąłem głową i wstałem.

Wyszliśmy z gabinetu i wróciliśmy do schodów, jeszcze wyżej. Poddasze, dwoje drzwi. Na jednych znak ostrzegawczy ksenoskażenia, na drugich plakat Sobiesława Zasady. Otworzyłem drzwi oznaczone kanciasnymi, splecionymi spiralami i weszliśmy do niewielkiego pokoju, gospodarz przekręcił włącznik.

Trójkątna ściana dookoła drzwi zabudowana była półkami z książkami. Dalej, pod skosem łóżko zaścielone pomarańczowym kocem, zasłane maskotkami, na skośnym suficie naklejony plakat Maanam. Przyjrzałem się

wielkiemu pluszowemu brunatnemu niedźwiedziowi wciśniętemu pod skos w rogu. W kroczu miał zamek błyskawiczny, ale nie sięgnąłem aby sprawdzić, oczywistego przedmiotu ukrycia. Znajomy prywaciarz takie szył, były przebojem wśród dorastających panienek pewnego rodzaju. Nie był to najlepszy moment na informowanie zleceniodawcy, że jego córka we śnie przytula się do pluszowego niedźwiedzia mającego solidnego, chowanego, dwudziestocentymetrowego kutasa.

Naprzeciwko łóżka biurko ze schludnie poukładanymi podręcznikami i zeszytami, obok kosz na śmieci. Przykucnąłem przy nim. Macyniuk wycofał się do drzwi, ale obserwował mnie uważnie.

— Mogę?

— Proszę.

Ostrożnie wybrałem pogniecione strzępy. Większość stanowiły kawałki chyba wypracowania, rozłożyłem je na podłodze i próbowałem odczytać. Coś o stosunkach politycznych z Obcymi. Na dnie kosza drobniej, regularnie podarte w kwadraty kawałki szorstkiego, szarawego papieru. Wybrałem je na biurko, wypracowanie zgarnąłem do kosza. W szarych strzępach odnalazłem kawałki nagłówka wybitego nierówno z maszynowych liter, dopasowałem je do siebie.

— Bibuła.

Macyniuk poczerwieniał.

— Nie wie pan skąd to wzięła? — Pokręcił głową. — Szkoda.

— Co to jest?

— Paręnaście lat temu potworaki wzięli do siebie chłopca spod Lublina, a potem zaraz oddali. To było jeszcze przed Merkinami. Jedyne człowiek, jakiego oddali żywego. Zebrała się dookoła grupka świrów, wydają to — wskazałem na rozrzucone kawałki.

— Nie wsadzicie ich?

— Mamy w końcu wolność zrzeszania się. Poza tym, ja już nie jestem w Służbie — uśmiechnąłem się. — Córka interesowała się polityką?

— Trochę, ostatnio pokłóciliśmy się o moją pracę.

— O coś konkretnie?

— Mówiła, że wysługuję się najeźdźcom. Wie pan, nastolatka, czarne jest czarne a białe jest białe, zero pomiędzy.

— Myhm, coś poza tym? Jakieś konkrety? Zapowiedź ucieczki?

— Nie. To była długa rozmowa o postawach życiowych, potem trzasnęła drzwiami i zamknęła się w pokoju na noc. Rano była już taka jak co dzień.

— Kiedy to było?

— Z tydzień temu, w sobotę albo w niedzielę.

Złożyłem kawałki „Głosu” w plik.

— Wezmę to ze sobą. Ale, chciałbym jeszcze porozmawiać z pana żoną.

— Po co?

— Może córka zwierzyła się jej z czegoś?

— I ja bym o tym nie wiedział? Bzdura! Żona wszystko mi mówi, a zresztą teraz śpi.

— Jak pan chce. To chyba tyle na dzisiaj, tutaj.

Zeszliśmy do gabinetu, strzępki bibuły zapakowałem do teczki, pieniądze do marynarki.

— Jarek pana odwiezie.

Po zejściu na dół, Macyniuk zamienił kilka słów z synem. Młody zerwał się z kanapy, narzucił skórzaną kurtkę. Stary podał mi rękę, tym razem prawie zgniótł mi dłoń. Wyszliśmy do samochodu.

*

— Teraz podjedź na Plac Bankowy, do Grubej Kaśki.

— Po co?

— Chciałem pogadać.

Kiwnął głową, jechaliśmy przez puste miasto. Na wysokości Królewskiej zatrzymał nas posterunek. Pokazałem swoją przepustkę, młody pokazał swoją. Sprawdzili papiery wozu i, starszy ZOMO-wiec zasalutował do uszanki, wrócili do ciepła koksownika.

— Masz przepustkę na pełny dostęp?

— Nie, tylko na Warszawę, taką tata załatwił.

— Siostra też taką ma?

— Nie, wogle nie ma. Miała dostać już niedługo dostać, na

osiemnastkę, ale teraz żadnej. Ciągłe się kłóci o to z tatą.

Wykręcił zręcznie koło kina, zaparkował na chodniku.

*

Przy „Grubej Kaście” o tej porze było już pusto. Bufetowa popatrzyła na nas krzywo. Usiedliśmy w kącie, ja wziąłem herbatę z wódką, młody herbatę bez.

— Na pewno się nie napijesz?

— Prowadzę przecież. O czym pan chciał rozmawiać?

— O twojej siostrze. Mówiłeś, że uciekała już z domu.

— Tak, dwa razy.

— Dokąd?

— Raz nie mówiąc rodzicom pojechała do babci, pod Grudziądz. Ale to dawno było, z rok temu.

— A drugi?

— Miesiąc temu, wzięła ją na sobotę i niedzielę.

— Gdzie była?

— Nie powiedziała. W piątek nie wróciła ze szkoły, a w poniedziałek przyszła do domu ze szkoły jakby nigdy nic.

— Tata się wkurzył?

— I to jeszcze jak! Prawie ją wyrzucił z domu. Ale mama jakoś go ugłaskała.

— A ty wiesz gdzie była?

Spojrzał w bok, zamieszał herbatę łyżeczką, bardzo dzwoniąc.

— Nikomu nie powiem. Zwłaszcza rodzicom.

— Noobra...

Bufetowa szczęknęła kasą.

— Dwunasta, zamykam!

Podniosłem się szybko, podchodząc do baru wyjąłem portfel a z niego pięćdziesiątkę.

— Szefowo, jeszcze dwa razy to samo dla mnie, bez herbaty i dla młodego człowieka soczek, reszty nie trzeba. I pół godziny pani bezcennego czasu.

Przyjrzała się zielonemu banknotowi, podejrzliwie jakby nigdy nie widziała Pierwszego Polaka W Kosmosie. W końcu „generał” zniknął pod zaplamionym fartuchem a na blacie pojawiła się literatka napełniona mętnawą cieczą. Obok niej wyrosła niezbyt czysta szklanka napełniona różowym sokiem z butelki. Walnąłem szybko jeden kieliszek, drugi i szklankę młodego wziąłem do stolika.

— To jak, opowiesz mi co się właściwie stało?

Chłopak pociągnął soku.

— Nie wiem gdzie była. Słyszałem tylko jak dzwoniła do jakiegoś faceta i umawiała się.

— Może do chłopaka?

— Nie, on też nic nie wiedział i nie chciała mu powiedzieć gdzie była, dlatego ją rzucił.

— A gdzie była?

— Nie wiem, słyszałem jak umawia się na wyjazd, ale nie mówiła dokąd, jakby to już było ustalone.

— A wy nie macie przypadkiem dwóch telefonów na jednej linii?

Poczerwieniał.

— Ja tylko chciałem zadzwonić do kumpla i włączyłem się przypadkiem!

— Ehe. Nikt nie mówi inaczej. I co ten facet?

— Po głosie, to starszy był, i umawiał się, że odbierze ją z dworca kolejowego w Lublinie, i dalej to już razem pojedą.

— Tylko tyle?

— Tak.

— Słowo harcerza-zdobywcy?

— Tak!

— A teraz nie wiesz gdzie jest?

— Nie.

— A nie wiesz skąd miała bibułę?

— Jaką bibułę?

— Nielegalną gazetkę.

— Myśli pan, że wplątała się w coś nielegalnego?

— Ja nie myślę, teraz wiem to na pewno. A twój tata płaci mi za wyciągnięcie jej z tego. O tym co powiedziałaś, będę milczał jak grób. Sztama? — Wyciągnąłem rękę.

— Sztama.

*

Zanim położyłem się spać, wyjąłem atlas. Rozłożyłem mapę Polski, nałożyłem kalkę z zaznaczonymi Strefami i zarejestrowanymi bliskimi spotkaniami i poszukałem Lublina. Obok niego na kalce czerwieniał duży X. Emilcin. Wydarzenie trzeciego rodzaju.

Nie lubię spraw politycznych. Złożyłem mapy i z tą myślą poszedłem spać.

*

Rano zacząłem od formalności. Zadzwoiłem do pracy, że jestem chory i podjechałem na Wolską do znajomego neurologa, żeby wystawił mi zwolnienie na tydzień. Mamy prosty układ. On mi wystawia zwolnienie, jeśli tego potrzebuję, a ja mu sprzedaję leki Obcych — jeśli jakieś wpadną mi w ręce — po połowie ceny czarnorynkowej. Nie, żeby ze stratą. Później pojechałem do Narodówki, pokazałem

legitymację Instytutu i zaszyłem się w dziale wydawnictw nieoficjalnych. Pisemka takie jak ten „Głos” nie są prawnie zabronione, ale nie mają szans wejść do oficjalnego obiegu. Co nie znaczy, że Narodówka ich nie ma. Niestety, okazało się to podwójną nieprawdą, w czytelnicy specjalistycznej mieli „Głos z Emilcina”, ale tylko do numeru 12, wydanego pięć lat temu. Zastanowiłem się, czy nie zadzwonić do kogoś znajomego z Mysiej czy ze Służby, z nadzoru rynku prasy, ale zawsze istniała szansa, że oni też tego nie mają, a wtedy musiałbym mieć dobrą podkładkę na to, dlaczego myśl o istnieniu dalszych numerów przyszła mi do głowy. Poszedłem więc do papierniczego.

Dookoła wejścia do sklepu kłębił się tłum ludzi spragnionych papieru toaletowego, przez ciżbę co chwilę przebijali się spełnieni szczęśliwcy obwieszani łańcuchami rolek. W pierwszym odruchu odszukałem koniec kolejki, ale przypomniałem sobie, że mam jeszcze na dnie szafy cztery rolki na czarną godzinę, mogłem dzisiaj odpuścić. Potem zawsze pozostaje „Trybuna”. Odkleiliśmy się od kolejki, autobusem podjechałem do sklepu Skali na Świętokrzyskiej, bez problemu nabyłem klej w tubce, arkusz kalki i poszedłem do pracy. Zamknąłem się w pokoju i zabrałem się do wyklejania. Wyklejankę na kalce podrzuciłem do światłokopiowania i poszedłem odstać swoje w kadrach. Po dwóch godzinach w dusznym korytarzyku wyglądałem na tak chorego, że kadrowa opieprzyła mnie za przynoszenie zwolnienia samodzielnie. Potem jeszcze odebrałem z kopiarni

wyklejanke i kopie, i pojechałem do domu.

wolny GŁOS Z EMILCINA numer 23

w numerze: rozmowa z Adamem Popiołkiem – jak rozpoznać polskiego agenta – wspomnienie o Janie Wolskim – aktualna lista agentów Obcych w rządzie! – co wiadomo o Obcych a co nasz rząd UKRYWA! – HUMOR!

Najpierw odszukałem HUMOR!, rysunek był przedarty w pół, ale przedstawiał chyba otwarty latający spodek z którego dwóch odwróconych tyłem „zielonych ludzików” z obowiązkowymi antenami na głowach sikało na kulę ziemską. Podpis był nieczytelny. Podziemie nigdy nie było znane ze szczególnie wyszukanego dowcipu.

Rząd UKRYWAŁ! istnienie dalszych gatunków Obcych, poza potworakami i szarymi miały istnieć jeszcze takie gatunki jak humanoidalni blondyni i jaszczury.

Rozmowa z Popiołkiem była nawet ciekawa, jako dziecko widział przelatujący pojazd potworaków którzy uprowadzili Wolskiego i twierdził, że wyglądał jak autobus z worami, nie, z wirami po bokach. Co nie brzmiało jak opis panczerki potworaków; jak wygląda panczerka potworaków wiedzą wszyscy, w szczególności żadnych wirów po bokach nie ma. Ani worów. Aż sięgnąłem na półkę po odtajnione przez IPN

zeznania Wolskiego. Z opisu, obcy którzy go porwali wyglądali na zwyczajnych zielonych, typowych potworaków, tylko ten pojazd, opis się zgadzał. Autobus z wirami po bokach, cokolwiek to było.

Jak rozpoznać nolskiego agenta, to chyba już gdzieś czytałem, tylko gdzie...

Wspomnienie o Wolskim zaczynało się od historii jego uprowadzenia, potem opisywało jak zaczął zbierać uczniów, kończyło się na tym jak jego jaźń zlała z kosmiczną Mocą. Jaźń. Jaźń to częste słowo w tych traktatach.

No i wreszcie lista agentów. Przeleciałem ją szybko wzrokiem, jedno nazwisko było zamazane. Sięgnąłem po oryginał, wyjąłem lupę, popatrzyłem pod światło. Na szczęście czarny tusz przebijał przez niebieski długopis.

Nazwisko brzmiało Stanisław Macyniuk. Sprawdziłem na otrzymanej wczoraj wizytówce. Motyw.

Obejrzałem jeszcze raz gazetkę. Teksty podpisane były inicjałami, wspomnienie o Wolskim — LZ, poradnik rozpoznawania „nolskich agentów” i satyryczny rysunek — JM, wywiad z Popiołkiem — KM. Dwa pozostałe — WO. Wspaniała konspiracja.

Wyjrzałem na dwór, padało. Narzuciłem marynarkę,

prochowiec, założyłem kalosze i kapelusz. Zszedłem do kiosku, kupiłem carmeny, w drodze powrotnej zahaczyłem o pocztę. Złotówka zadzwoniła w automacie.

— Hydrobudowa, słucham.

— Chciałem prosić inżyniera Stokowskiego.

— Nie ma go, coś przekazać?

— Proszę mu powiedzieć, że szalunki dojadą jutro o jedenastej.

— Zapisałam, przekażę jak tylko się pojawi, do widzenia.

Sprawdziłem godzinę, wróciłem do domu i przepisałem do notesu opis biuletynu. Odliczyłem osiemset złotych z wczorajszych pieniędzy i poszedłem do parku. Pokrążyłem chwilę po pustych, ociekających wilgocią alejkach, potem skierowałem się w stronę Górczewskiej. Po drugiej stronie, w pawilonach był bar mleczny, gdzie czasem jem obiad. Zamówiłem leniwe z cukrem i usiadłem w kącie, przy przyściennym blacie. Spojrzałem na zegarek, jeszcze kwadrans. Domówiłem herbatę.

Stokowski przyszedł pięć minut przed ustaloną godziną. Zobaczyłem go wracając od bufetu z talerzem leniwych. Ustawił się w kolejce, coś zamówił, potem usiadł na

sąsiednim stołku. Mozolnie przeżułem mączystego leniwego. Cukier był śladowy. Stokowski przewiesił sobie płaszcz przez kolana i oparł się o blat.

— No?

— Potrzebuję sprawdzić w kartotece ludzi z takiego pisemka
— wyjąłem z kieszeni złożoną kartkę z notesu i długopis, wykaligrafowałem GŁOS Z EMILCINA — ale nie wszystkich.

— Kogo?

— Kto się podpisywał tak — pod spodem dopisałem: KM, JM, WO.

Kiwnął głową.

— Trzysta, na jutro.

— Na dzisiaj potrzebuję.

— Nie dam rady dzisiaj.

— Spróbuj.

— Dobra, ale jak dzisiaj to pięćset.

— Zgoda. Gdzie?

— Zostawię ci wiadomość na centrali. Sprawdź o dziewiątej wieczorem.

— A i jeszcze...

— Co?

— Jakie są kwity na człowieka — na drugiej stronie kartki dopisałem „Stanisław Macyniuk”.

— Dwie stówy ekstra.

W złożoną kartkę dyskretnie wsunąłem dwie stówy, kiwnąłem głową na pożegnanie i zsunąłem się ze stołka. Przy wyjściu obejrzałem się. Pochylał się nad moim talerzem i wyjadał z niego resztkę leniwych.

*

Przed wejściem na bazar Różyckiego dopiąłem płaszcz pod szyją i ciasniej dociągnąłem pasek. Przepychając się przed tłum znalazłem stoisko ze starzyzną. Gruby Franek uśmiechnął się na mój widok.

— Witam pana porucznika! W czym pomóc?

— Masz coś nowego?

— Nic czego porucznik by nie znał. Czerwone korale, cztery sznurki. Po stówie. Dwie kostki, ale to pewnie porucznik nie weźmie. Wibrospinka, dwie stowy. Pięć szklanek, po trzysta pięćdziesiąt.

— Słabo.

— Słabo. Jak chłopcy co przyniosą to zaraz przychodzi taki jeden i co ciekawsze rzeczy wykupuje, bez targowania.

— Znam?

— Nie, nie od was. Jakiś wariat, ale ma flotę to co mu będę odmawiał. A jutro będzie świeżutka dostawa z Bornego Sulinowa, pan porucznik rano przyjdzie i będzie do wyboru do koloru.

— Słuchaj Gruby, a nie przyłaził nikt ostatnio żeby ci coś sprzedać?

— Eeee, wszyscy wiedzą, że ja prosto od stalkerów biorę. Nic gorącego, co już na mieście było.

— Łziesz w żywe oczy, Gruby, pamiętam jak cię zwinęliśmy z czarną muszlą.

— A to wypadek przy pracy był. Głupota moja.

— Za tę głupotę masz dwa lata w zawiasach, jeszcze na trzy, mogę wezwać patrol i za to — pokazałem w dół, gdzie między starymi klamkami i przednajązdowymi, wielkimi kluczami leżała wibrospinka — wylądujesz ciupasem we Wronkach.

— Panie poruczniku! Ja tak do pana z sercem na dłoni, a pan...

Autentycznie był oburzony.

— Dobra, powiedz tylko do kogo teraz przychodzą ludzie z towarem z miasta, z gorącym. Skoro nie do ciebie.

Zmarszczył czoło.

— Na bazarze pod rakieta taki jeden jest. Książkami handluje. Podobno bierze jak leci.

— Jak się nazywa?

— Kazik.

— A dalej?

— Nie wiem, na oczy go w życiu nie widziałem.

— Mam wezwać patrol?

— Pan da spokój, panie poruczniku. Nie znam tamtego, tylko mi mówili, że bierze wszystko. I że z walizki książki sprzedaje.

— Jak mnie wkręcasz to odsiedzisz te dwa lata i jeszcze pięć za handel artefaktami, rozumiemy się?

Cofnął się o krok, nabrał łapczywie powietrza.

— Jak Boga kocham, panie kapitanie, czy ja pana oszukałem kiedyś?

— Jeszcze nie. I nawet o tym nie myśl. Trzymaj się, Gruby.

*

Bazar rozrósł się na płycie szkliva otaczającego rakiety potworaków. Kiedy siadała tu pięćdziesiąt lat temu, wypaliła na szklisty żużel kilka kwartałów. A później wysypały się z niej pancerki, jak szarańcza.

Teraz statek Obcych był opuszczony, i stopniowo oczyszczany przez grupy oficjalnych stalkerów. Może kiedyś uda się go zburzyć, albo przerobić na biurowiec. Na razie mamy bezpieczną strefę na piętnaście metrów od głównego wjazdu, i kilkadziesiąt bezpiecznych ścieżek w głąb. Jedna ma nawet z dwieście metrów i dwa piętra w górę.

A wokół obwołu obronnego codziennie kłębi się tłum.

*

Kiedyś poszedłbym jak po sznurku do gościa, pokazał mu blachę, jakby się stawał, kazałbym go zwinąć na Rakowiecką. Teraz, okrążyłem całe targowisko kilka razy, w końcu namierzyłem bukinistę z walizką. Z budy obok wziąłem zapiekanekę z pieczarkami, serem i ketchupem i pogryzając gumowatą bułę spokojnie mu się przyjrzałem. Owalna twarz, nijaka figura, na nogach sofixy, wyżej spodnie moro z podpinką, bura kurtka na sztucznym misiui, czapka uszanka. Przed nim rozłożona walizka z książkami. Z okienka budy wziąłem słoik soli z podziurkowaną gwoździem pokrywką, dosoliłem zapiekanekę. Nie zrobiła się od tego smaczniejsza. Pieprzu nie mieli.

W końcu podszedłem i przykucnąłem nad rozłożonymi tomami. Przejrzałem co miał wyłożone, zawahałem się.

Nachylił się do mnie.

— Szuka pan czegoś konkretnego?

— Tak, ale wie pan...

— No?

— Raczej rzadkich wydań...

— Na przykład czego?

— Lema...

— Takich rzeczy nie mam.

— A Znicza pan ma?

— Panie! Ja nie bawię się w politykę! Idź pan stąd!

— Franek mnie przysłał.

— Jaki Franek?

— Gruby Franek z Różyca.

— Masz pan coś?

— Nie, ale kupię.

— Książki?

— Nie tylko książki. Podobno na mieście jest coś, czego nie ma u Fejmana i Landaua. Kupię.

Popatrzył na mnie krzywo.

— Hajs jest?

— Jest.

— Pokaż pan.

— No przecież, że nie noszę przy sobie. Będzie fant, będzie kasa.

Zamyślił się.

— Teraz nic nie wiem. Przyjdź pan jutro rano. Rozpytam się. Za rozpytanie stówa z góry, żebym wiedział, że pan jesteś poważny.

Kiwnąłem głową. Dyskretnie podałem mu czerwony banknot i wstałem. Podaliśmy sobie ręce.

Kiepski był, z tej rozmowy można było nakręcić parę haków i mieć figuranta ustawionego. W wydziale każdy — i jego pies też — by to umiał zrobić.

Zresztą, pewnie już ktoś to zrobił.

*

Wieczorem z miasta zadzwoniłem do „Hydrobudowy”. ale na centrali nie było żadnej wiadomości dla pana Koniecznego.

Wrzuciłem do telefonu drugą złotówkę i wykręciłem domowy numer Macyniuków. Odebrał młody, przekazał słuchawkę ojcu.

— Słucham! No, co pan dla mnie ma?

— Niewiele. Penetruję czarny rynek artefaktów, na razie bez wyników i badam powiązania pańskiej córki.

— Moja córka nie miała żadnych powiązań z półświatkiem!

— Aha, a bibułę do kosza na śmieci podrzucili szpiedzy potworaków. Niech pan da spokój. Postaram się ją z tego wyciągnąć, ale najpierw muszę ją znaleźć. Chyba, że woli pan przekazać sprawę milicji.

— Mhm.

— Na razie mam dwa tropy, jeden to ta gazetka, drugi to paserzy artefaktów. Jak będę miał jakieś konkretne rezultaty, poinformuję pana, dobranoc.

Odwiesiłem słuchawkę. W „Piotrusiu” było pustawo, pani Zenia negocjowała przy bocznym stoliku z potencjalnym klientem, zdesperowany musiał być. Pani Zenia jest przemiłą kobietą, ale jej uroda najlepsze lata ma już dawno za sobą. Dokończyłem wuzetkę, dopiłem herbatę, rzuciłem na stółk dwadzieścia złotych, nałożyłem palto i wyszedłem w ponury

wieczór. Wilgotne powietrze chlasnęło mnie w twarz jak płetwiasta łapa potworaka.

*

Rano pojechałem do Grubego Franka. Pochylony nad straganem konferował z nieznanym; facet był wysoki, chudy, o twarzy trudno było coś powiedzieć bo uwagę przyciągał przede wszystkim wielki nochał. Poza nochałem twarz poorana była fioletowym i brązowym liszajem. Długie włosy spiął kawałkiem drutu w czarnej izolacji. Na mój widok Gruby coś mu szepnął i tamten spłynął w tłum.

— Cześć Gruby, kto to był?

— Witam pana porucznika! To Duży Bart, przywiózł towar z Torunia.

— Mówiłeś, że z Bornego będą.

— Psy ich zwinęli po drodze, o przepraszam, wie pan, człowiek się przyzwyczaja.

Machnąłem ręką. W Bornem mają ciekawsze rzeczy niż w toruńskiej Strefie, tę obcy wyczyścili dokładnie przed opuszczeniem.

— Co masz?

— Nie za wiele. Trzy kafelki, tykaczka, siedem radyjek, biały krążek, parę wiader czerwonej rtęci, wszystko.

— Ile masz rtęci?

— Z pięćdziesiąt litrów.

— Ile za całość?

— Dziesięć litrów jest na zamówienie, już zapłacone, a za resztę, jak dla pana porucznika to pięć tysięcy.

— Po co komu dziesięć litrów czerwonej rtęci?

— A czy ja pytam pana porucznika, po co panu? Klient zamówił, płaci, to ma.

Westchnąłem i pokręciłem głową.

— Pan już idzie, panie poruczniku, klienta mi pan płoszy — wskazał ruchem głowy.

Obejrzałem się za jego wzrokiem. Dwa stragany dalej kręcił się rozczochrany facet z długimi ciemnymi włosami, brodę miał jeszcze dłuższą i bardziej zaniedbaną niż włosy. Gdzieś go już widziałem.

Po wyjściu z bazaru zadzwoniłem do „Hydrobudowy”,

centrala odpowiedziała, że dostawa desek dla pana Koniecznego dojedzie we wtorek. Sprawdziłem w notesie, deski to Zodiak, wtorek — 17.30. Kupa czasu. Pojechałem do centrum. Nad miastem wisiał opar tak gęsty, że rakietka Obcych rozmywała się w szarości gdzieś od dziesiątego piętra. Dzisiaj znowu będzie wieczór gorzkiej mgły.

*

Bukinista był na stanowisku. Podszedłem, przykucnąłem przy walizce książek. Nachylił się, szukając czegoś w stojącej obok torbie.

— Jest coś?

— Sektoidzki promiennik, bez klasyfikacji Fejmana.

Gwizdnąłem w podziwie.

— Ile?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

— To nie dla mnie. Ja szukam trikodera.

— Poszukiwany towar, ale nic takiego nie ma. Tylko ten promiennik.

— Poszukiwany? — Sięgnąłem do kieszeni marynarki, wyjąłem generała — kto jeszcze szukał?

— Komunikatora? Jakiś taki świr, prorok na niego mówią. Włosy, broda, jak u jakiego wernyhory.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem. Dużo kupuje, płaci ile mu się powie. Tylko merkińskie bierze.

— Jak go znasz to wiesz jak na niego mówią.

— No mówią. Prorok albo zjeb mówią.

Chciałem westchnąć z rezygnacją, a potem przypomniałem sobie gdzie poznałem włochacza. Podałem paserowi pięćdziesiątkę i wstałem.

— Wpadnę za kilka dni. Dalej szukam merkińskiego trikodera. Nie promiennika.

*

W dzień uliczka na Sadybie była mniej przygnębiająca. Odnalazłem na słupku bramy przycisk dzwonka i wcisnąłem dwa razy. Po chwili wyjrzała starsza kobieta, przyjrzała mi się, podeszła do furtki.

— Ja do pani Macyniuk.

— Pan kto jest?

— Tomasz Szczepański, pracuję dla pana Macyniuka.

Przyjrzała mi się jeszcze raz z bliska, podejrzliwie. W końcu zdecydowała się, pociągnęła nosem i otworzyła furtkę.

— Pan wejdzie. Kręcą się tu tacy różni, wie pan — mruknęła.

Kiwnąłem głową, że wiem. Weszliśmy do domu. W dzień światła i wyświetlacze były pogaszone.

— Poczeka tutaj — wskazała mi fotel w salonie. Zdjąłem płaszcz, przewiesiłem go przez boczne oparcie i usiadłem. Stara zniknęła na schodach do góry, ale wróciła po dwóch minutach patrząc na mnie podejrzliwie.

— Pani Macyniukowa zaraz zejdzie.

Znowu kiwnąłem tylko głową. Stara zniknęła za moimi plecami, sądząc po odgłosach poszła do kuchennej części pomieszczenia i zaczęła zmywać naczynia. Wykręciłem się do tyłu i popatrzyłem na nią. Zamarła w pół ruchu.

— Zrobiłaby mi pani herbaty? Zimno jak cholera.

Teraz ona kiwnęła tylko głową, zaczęła się krzątać. Ze schodów dobiegły kroki.

Pani Macyniukowa okazała się zadbaną, przystojną kobietą, wprawdzie na szyi zbierały się już koncentryczne zmarszczki, ale mężczyźni dalej mieli powód, żeby się za nią oglądać. Ubrała się w szarą wełnianą sukienkę z symbolicznym dekoltem, owinęła szalem, jakby jej było zimno. Rozglądała się lekko nieobecny wzrokiem, jak przebudzona z głębokiego snu.

— Słucham pana...?

— Pani mąż mnie zatrudnił do znalezienia pani córki, chciałem z panią porozmawiać.

— Znalazł pan ją? — Pytanie zostało zadane powolnym, nieobecnym głosem.

— Nie — pokręciłem głową — ale może powie mi pani coś, co pomoże mi znaleźć Gaję.

Patrzyła szklanym wzrokiem w kąt pokoju.

— Ja? A co ja wiem... nic nie wiem, nic nie mogę... Wszystko mój mąż, a ja nic...

— O co pokłóciła się pani z córką?

Wróciła wzrokiem do mnie, zmrużyła oczy. Linie zmarszczek wzdłuż nosa pogłębiły się. Już nie wyglądała na trzydzieści pięć.

— To nie pana sprawa.

— Może jednak, przez to uciekła.

— Była nieposłuszna ojcu. Nakrzyczałam na nią.

— Kiedy to było?

— Przedwczoraj.

— O co poszło?

— Powiedziałam już, o nieposłuszeństwo.

— Ale w czym była nieposłuszna?

Zawahała się, jej spojrzenie przeskoczyło znowu gdzieś w bok.

— Jej ojciec załatwił jej stypendium na merkińskie uczelni.

— I nie chciała jechać?

— Nie.

— Co powiedziała?

— Wyzwała męża od współpracowników.

— Rozumiem. A on?

— Chciał ją wyrzucić z domu — nagle rozplakała się. — Ja już tak nie mogę, każdy w swoją stronę, a ja, co ja mam robić?

Zza moich pleców pojawiła się gosposia z tacą. Postawiła przede mną herbatę i cukier, przed Macyniukową talerzyk z małą fioletową kapsułką i literatkę — mam nadzieję — wody.

— Pani lekarstwo — powiedziała sucho.

— Znowu? Przecież wszystko dobrze, nie chcę brać lekarstwa, nie chcę — ciekące nagle po policzkach łzy zabrały ze sobą starannie rozpaczliwy makijaż. Teraz nie wyglądała na atrakcyjną kobietę w średnim wieku, ale na zmęczoną życiem pięćdziesięciolatkę. Wyciągnęła paczkę papierowych chusteczek i zaczęła wycierać twarz. Patrzyłem w bok.

— Lekarz kazał wziąć. Proszę wziąć, bo zadzwonię do pana. A pan zadzwoni do szpitala i przyjadą po panią. Znowu.

Macyniukowa zapadła się w sobie, odrzuciła zmięte chusteczki drżącą ręką podniosła kapsułkę do ust, popiła

wodą, połknęła. Stara obserwowała ją uważnie.

— No, teraz dobrze będzie, i po co się tak szarpać? No po co. Lekarstwo brać jak doktor kazali i dobrze będzie.

Głos miała jednocześnie zrzędlawy ale i pełen satysfakcji.

— Co pani bierze?

— A na wariactwo swoje bierze, proszki jej lekarz przepisał, kosmiczne. Śpi potem ale spokój jest. Idziemy do pokoju — rzuciła twardo w stronę swojej chlebowdawczyni. Ta wstała posłusznie, lekko się zataczając, i została zdecydowanie zaprowadzona na górę.

Stara po chwili wróciła, zakręciła się w kuchni, ale zaraz usiadła na przeciw mnie.

— To artystka jest — powiedziała z nieoczekiwaną zajadłością — w teatrze powinna grać.

— To nieszczęśliwa kobieta. Mąż ją dobrze traktuje?

— A dobrze, a co ma źle traktować, ptasiego mleka jej tu nie brakuje. I dzieciom też.

— O Gai coś pani wie?

— Co mam wiedzieć? Ja nie gadam o tym co widzę, brudy się pierze w domu.

— No ale może wie pani gdzie jest, albo z kim?

— Z kim? A z gachem swoim którymś, ciągle tu przyłazą nowi, krótko ostrzyżeni, z długimi kudłami, muzycy, artyści, nawet syn jednego ministra był, ale długo z nim nie wytrzymała. Poznała jakiegoś nowego i w kraj poszła, wróci jak się jej pieniądze tatusia skończą.

— Było już tak?

Wzruszyła ramionami.

— Było, nie było, to będzie, co ja pierwszy raz taką sikse widzę? Jej mamunia taka sama była, i widzi pan co z nią jest.

— Ehe. Pani to się naogląda tutaj.

— Ja tam nie gadam co się w domu dzieje, ale ja przy nich od dwudziestu lat jestem i swoje widziałam, i te jego sekretarki i tych jej przyjaciół co na noc zostają jak on w delegację jedzie, nawet im osobne łóżka ściele, ale zawsze rano nie ruszone i w dużej sypialni pościel zmieniać muszę; ja tam swoje wiem, ja tam swoje widziałam.

— Jasne — sięgnąłem po wizytówkę, zawahałem się, wyjąłem

i schowałem setkę — jakby Gaja się nagle pojawiła, to pani najpierw zadzwoni do mnie, dobrze? Pani ją dobrze zna, wie pani kiedy potrzebuje pomocy, prawda? Żeby się z ojcem dogadywała lepiej, pomoże mi pani?

— No przecież od małości ją wychowałam — kiwnęła głową, wizytówka zniknęła w kieszeni fartucha.

— Dzięki za herbatę — dopiłem — muszę wracać na ten ziąb, do widzenia.

Odprowadziła mnie do drzwi; kiedy domykałem za sobą furtkę, zasłonka w kuchennym oknie zafalowała.

*

Do Bolnarów zadzwoniłem z domu. Po dwóch sygnałach w słuchawce rozległ się bezosobowy głos: „po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość”. Słyszałem o tym, ale jeszcze nie miałem do czynienia. Po dźwięku dzwonka odchrząknąłem i odezwałem się.

— Moje nazwisko Szczepański, dostałem kontakt do państwa od Stanisława Macyniuka. Szukam zaginionej Gai Macyniuk i chciałbym porozmawiać z państwa synem na jej temat. To wszystko.

— Dziękuję, wiadomość została zapisana i zostanie

przekazana państwu Macyniukom kiedy tylko stanie się to możliwe. Czy chce pan zostawić numer telefonu kontaktowego?

— Mmm, tak, Mój numer to 38251.

— Telefon zostanie przekazany razem z wiadomością. Dziękuję i do usłyszenia panie Szczepański.

— Do widzenia — odpowiedziałem bez sensu i odwiesiłem słuchawkę.

*

Oddzwonili po godzinie, akurat siedziałem w kuchni, i przez otwarte drzwi podglądałem popołudniową powtórkę wczorajszej „Sondy” z telewizora w pokoju Górnych. Odebrała młodsza Górna, mizdrząca się jak zwykle przed lustrem w przedpokoju, zawołała mnie do telefonu i wróciła do malowania rzęs i nadstawiania ucha. Tym razem głos w słuchawce należał do istoty żywej. Ostry głos, przyzwyczajony do wyrażania jasno opinii i oczekiwań. „Prośba ma skutek natychmiastowy.”

— Pan Szczepański?

— Przy telefonie.

— Joanna Blania-Bolnar, dostałam wiadomość, to pan chce rozmawiać z Sergiuszem? W jakiej sprawie?

— Tak, to ja. W imieniu Stanisława Macyniuka poszukuję jego córki i sądzę, że rozmowa z państwa synem może się przyczynić do jej odnalezienia.

— Gaja zaginęła? Nic mi o tym nie wiadomo.

— Przedwczoraj nie wróciła ze szkoły. Jej ojciec prosił mnie o pomoc w znalezieniu jej.

— Mhm, no dobrze, proszę do nas przyjechać, tak się składa, że akurat jesteśmy w domu.

— Rozumiem. Jaki adres?

— Złota 44, proszę się zgłosić w recepcji i dalej zostanie pan skierowany — powiedziała zimno.

— Będę za pół godziny, do zobaczenia.

— Do widzenia.

*

Mieliśmy jedną rzecz cenną dla Merkinów; potworaki brali ją siłą, Merkini kupowali za wiedzę i towary. Nawet nie

kupowali, dlatego woleli dzierżawić na sto lat. Ziemię. W zamian za pierwszą falę pomocy wydzierżawili kilka kwartałów gruntów w centrum, kwartałów ruin pozostałych jeszcze od Pierwszego Lądowania. Na jednym osadzili wielki habitat, stumetrowa konstrukcja z czarnego szkła spłynęła z nieba w biały dzień i bez dźwięku osiadła na przygotowanych fundamentach.

Złotą 44 wybudowali inaczej, najpierw wkroczyła tam przeszkolona przez Nich ekipa budowlana ze specjalnym sprzętem, zbudowali trzypiętrowy postument z którego w niebo wbijał się trzystumetrowy betonowy trzon, zwężając się igłą przecinający chmury. Od trzonu w bok odchodziły nie obudowane pokłady pięter. W tym etapie na budowę weszli Merkini i ich roboty, tydzień później szkielet okrył się pochłaniającym światło płaszczem zmiennokształtnego pola siłowego. Od zewnątrz przypominał zamrożoną fontannę. Boczne pasma pola rozszczepiały światło zachodzącego słońca tysiącami krwawych tęcz widmowego rozproszenia. Z zewnątrz budynek był piękny. Nie znam nikogo, kto byłby w środku, kto wiedziałby co jest w środku. Budynek był eksterytorialny, jak poselstwo i habitat.

Trzy dolne kondygnacje są normalne, jakby postument dla fajerwerku wyższych pięter. Szklane drzwi rozsuwają się, kiedy do nich podchodzę. Za nimi wyłożony czerwonym granitem hall, pulpit z matowego stopu glinu, za pulpitem dystyngowany starszy pan w ciemnej marynarce z jasnymi

guzikami. Podchodzę.

— Dobry wieczór, czy jest pan umówiony?

— Tak, mam spotkać się z państwem Blania-Bolnar.

— Pana godność?

— Szczepański.

Recepcjonista wykonuje dłonią kilka ruchów, rzuca spojrzenie w dół, w jego oczach odbija się ukryta przed moim wzrokiem konstelacja kolorowych świateł. Unosi wzrok.

— Zapraszam, panie Tomaszu, kabina numer osiem. — Wskazuje rząd stalowych drzwi w ścianie. Nad jednymi łagodnie pulsuje zielone światło. Kiedy podchodzę bliżej, rozsuwają się z sykiem, za nimi owalna kapsuła z przydymionego szkliwa. Na szczęście podłoga jest pozioma. Odwracam się i kręci mi się w głowie, zamiast drzwi którymi tu wszedłem widzę w dole uciekający „postument” dolnych pięter. Opieram się ręką o przejrzystą ścianę i rozglądam się.

Winda jedzie pewnie, otacza ją pęk różnokolorowych świetlnych promieni, ani drgną, mimo że chwilami mam wrażenie, że ściana budynku się oddala, a kabina swobodnie unosi się w powietrzu. Nie czuję żadnych przyspieszeń. Dookoła ścian przebiega stylizowana liczba 32, rozlega się

gong, kabina zatrzymuje się gwałtownie, ale bez wyczuwalnego szarpnięcia. Kawałek ściany rozsuwa się, dalej dwa kroki czarnego korytarzyka i hall. Przechodzę tam i oglądam się. Przez przezroczystą nieścianę widać jak winda rusza z powrotem w dół, odległa od ściany budynku na jakieś dwa metry i niczym nie związana z resztą konstrukcji.

Pierwsze co przychodzi mi go głowy, to to, że właściwie cały budynek powinno się zaarrestować jako artefakt. Rozglądam się po hallu. Chyba jest większy, niż całe nasze mieszkanie. Pod ścianą, w jaśniejsze plamie światła, obła kanapa, na której zmieściłoby się z pięć osób. Siadam. Światło przygasa, i widzę, że to nie hall, to półzamknięty taras, Nad częścią bliższą ściany zewnętrznej nie ma dachu.

Za moimi plecami szmer, jakby westchnięcie. Odwracam się, w gładkiej przed chwilą ścianie, obwiedziony świetlną linią portal, w nim sylwetka kobiety.

Wstaję, ruszam w jej stronę. Wyczuwam zapach dymu, kobieta pali papierosa.

Z bliska widzę jej twarz, kiedyś była piękna, teraz pozostały skrzyżowane trójkąty ostrego podbródka i bruzd mimicznych dookoła szerokich, mocno umalowanych ust. Niebieskie oczy mierzą mnie uważnie. Usta uśmiechają się lekko, kobieta zarzuca blond grzywką i wyciąga do mnie rękę. Jest mojego wzrostu.

— Witam. Joanna Blania-Bolnar.

— Tomasz Szczepański, do usług.

— Zapraszam do salonu — odwraca się i wchodzi w głąb mieszkania. Teraz widzę, że wzrost zawdzięcza ponaddziesięciocentymetrowym szpilkom z jakiegoś przezrystego tworzywa, koturn pod palcami stopy powoduje wrażenie, że kobieta stoi na palcach w powietrzu. Ubrana jest w obcisłą bluzkę w beżowe cętki, czarną mini, rąbek koronki wychylający się spod spódniczki w rytm kroków sugeruje pończochy.

Po takim wstępie salon wygląda przeraźliwie zwyczajnie, stół ma cztery nogi a fotele stoją na okrągłych podstawach jak stopy od wielkich kieliszków. Podłoga jest gładka ale nie błyszcząca, brązowa, miejscami wpadająca w karmin i fiolet. Po chwili widzę, że barwy bardzo powoli się zmieniają. Gospodyni odwraca się w moją stronę.

— Proszę siadać. Coś do picia? Wodę? Herbatę?

— Wodę, albo kawę, jeśli pani ma.

— Oczywiście. — Prychnięcie.

Siadam i odwracam się w jej stronę, odwrócona tyłem, pochylona manipuluje przy oszklonej kopułce stojącej w rogu

salonu. Kiedy odwraca się z filiżankami w rękach, w pośpiechu naciągam na twarz uśmiech uprzejmego zainteresowania.

Gospodyni stawia filiżanki, siada naprzeciw mnie w fotelu, wystudiowanym, niewątpliwie wielokrotnie przećwiczonym ruchem zakłada nogę na nogę. Przejrzysty obcas filuternie kieruje w moją stronę.

— A więc słucham pana.

— Tak jak mówiłem przez telefon, chciałbym porozmawiać z państwa, pani synem o Gai, o jego dziewczynie.

— Byłej — podkreśla z naciskiem — dziewczynie.

— Byłej — kiwam głową.

Kobieta patrzy na mnie uśmiechając się samymi ustami. Ja patrzę jej w oczy, bez uśmiechu. W końcu przejrzysty obcas drga.

— Pozwolę panu porozmawiać z moim synem, ale pod warunkiem, jednym warunkiem.

— Jakim?

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego odszedł pan ze Służby

Bezpieczeństwa.

— To żadna tajemnica. Moje poglądy przestały pasować do oficjalnej linii. Uważałem, dalej uważam, że uzależnianie się od technik Merkinów i Szuszwoli bez poznania zasad ich działania, jest nierozsądne.

— I to był jedyny powód?

— Przecież pani wie. Nie lubię takiego droczenia.

— Głuptasie. Służba bezpieczeństwa nie podlega Ministerstwu Kontaktu, tylko Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Mój mąż nie ma dostępu do pańskich akt.

— Jasne. Jak mogłem przypuszczać inaczej.

— Skoro nie znam pana akt, to jednak chciałabym się dowiedzieć co spowodowało pańskie odejście ze służby.

— Incydent podczas wizyty ambasadora.

— Mówiącego Z Ludźmi?

— Tak.

— Och, Mówiący Z Ludźmi nie jest ambasadorem w naszym rozumieniu. Jest elementem Wspólnoty wyspecjalizowanym

biologicznie i mentalnie w kontaktach z humanoidami naszej klasy biologicznej, we włączaniu rozproszonych memesfer do Wspólnoty.

— Szanowna pani, nie jestem wyznawcą teorii szkoły krakowskiej. Teoria Wspólnoty, mimo wielokrotnych prób, nie została nigdy udowodniona eksperymentalnie.

— Och, co za bzdury pan opowiada, panie Tomaszu. Wielokrotnie widziałam jak Oni współdziałają, to by nie było możliwe, gdyby nie tworzyli Wspólnoty.

— Widziała pani, tam?

— Oczywiście. Jak byliśmy na placówce. A ten incydent?

— Podczas spotkania dyplomatycznego, podległy Mówiącego Z Ludźmi rozprawdzał wśród naszej delegacji substancje psychoaktywne o nieznanym naszej nauce działaniu.

— Akło?

— Tak.

— Akło to nic groźnego, to po prostu środek umożliwiający osobnym umysłom, takim jak nasze, włączenie się we Wspólnotę. Wielokrotnie z niego korzystałam, to po prostu niesamowite, jakie możliwości daje nawet zwykłemu

człowiekowi.

— Dalej uważam za nierozsądne zażywanie tego przez naszych negocjatorów.

— I co pan zrobił?

— Byłem koordynatorem bezpieczeństwa naszej delegacji; uznałem, że doszło do zagrożenia i ogłosiłem alarm ksenoskażenia. Merkini wrócili do swojego habitatu, a nasi dyplomaci zostali poddani dekontaminacji i kwarantannie.

— I?

— Nasza strona uznała to za incydent dyplomatyczny, została złożona nota z przeprosinami, mimo że Merkini na temat całego zamieszania nie pisnęli ani pół bitem informacji. Po tym złożyłem podanie o zwolnienie ze służby, przyjęte natychmiast. Zaspokoilem pani ciekawość?

— Z nawiązką, panie Tomku.

— Więc chciałbym porozmawiać z pani synem.

— Dobrze.

Kobieta przesuwa palcami po szerokiej bransolecie na lewym nadgarstku i odzywa się cicho.

— Synku, wpadniesz do salonu na chwilę? Jest tu ktoś kto chciałby z tobą porozmawiać.

Słysząc niewyraźną odpowiedź, po dłuższej chwili promień światła obiega kawałek ściany w rogu pokoju, ściana gaśnie, wchodzi wysoki chłopak. Podnoszę się.

— Sergiusz — śmiało patrzy mi w oczy i wyciąga rękę. Wyższy ode mnie, szczupła, owalna twarz, wydatny nos — raczej po ojcu — ciemna karnacja ładnie kontrastuje ze śnieżnobiałą koszulą, elegancko rozpiętą na jeden guzik pod szyją. Czarne spodnie, zaprasowane w kant, dają zabójczy kontrast. Widzę co dziewczęta w nim widzą, i mam ochotę dać mu w mordę, taki jest śliczny. Wyciągam rękę.

— Tomasz Szczepański.

— Pan chce rozmawiać o Gai? Mama mówiła, że pan przyjdzie.

— Jej ojciec prosił mnie o pomoc w odnalezieniu jej, uciekła z domu, szukam wszystkiego co może mnie do niej doprowadzić. Opowiesz mi o niej?

— Gaja to dzieciak, strasznie miły i fajny, ale dzieciak.

— Jesteście w jednym wieku, nie?

— Tak, ale ja zupełnie inaczej patrzę na świat.

— Jak?

— Świat jest grą, a gry należy wygrywać.

— Jaka jest twoja strategia otwarcia?

— Zdobyłem miejsce na uczelni na Ich — intonacja nie pozostawiała miejsca na wątpliwości o kim mowa — świecie, jedynej przyjmującej studentów z całego znanego wszechświata. Chciałem żeby Gaja pojechała razem ze mną, żeby też miała szansę, a ona stwierdziła, że tam stanę się Obcym i będę pracował przeciwko własnemu gatunkowi.

— A ty jak uważasz?

— To bzdura! Moim zdaniem współpraca międzyplanetarna to postęp, a postępowi nie ma co dawać kontry.

— Czy ta... różnica poglądów była jedynym powodem zebrania?

— Powiedz panu, synku jak cię oszukała ta zdzira — wtrąca się zajadle matka. Jeśli mąż jej słucha, to chyba Macyniuk nie będzie miał dobrych układów w Ministerstwie Kontaktu.

— Ależ mammo... nie mów tak.

— Powiedz mu.

— Mamo...

— Bądź szczery, pan musi wiedzieć jaka naprawdę jest ta żmijka.

— No dobrze, widziałem jak spotyka się z jakimś obcym mężczyzną.

— Widziałeś go?

— Tak jak pana widzę.

— Mógłbyś go opisać?

— Starszy, może w pana wieku. Niski, niższy i ode mnie i chyba od pana, nie gruby, nie chudy, kompletnie łysy.

— Łysy?

— Jak kolano.

— Coś jeszcze możesz mi o nim powiedzieć? Jak był ubrany?

— Nie pamiętam... zwyczajnie jakoś.

— A gdzie go widziałeś?

— Raz Gaja urwała mi się na przerwie, szukałem jej po całej szkole, zobaczyłem ją przy bramie jak rozmawia z tym gościem. Zanim podszedłem zwinął się, a Gaja mi wcisnęła jakąś bajeczkę, o znajomym ojca co podrzucił jej książki po drodze.

— Co to były za książki?

— Kilka ich było, nie pamiętam już wszystkich.

— A jakie pamiętasz?

— Coś Lema było, chyba *Człowiek z Marsa* czy jakoś tak, i drugie też takie krótkie nazwisko, chyba na R.

— Znicz?

— Tak!

Nie wiem czemu, ale wszyscy mówią, że Znicz jest na R.

— A tytuł pamiętasz?

— Incydent, czy zdarzenie, i jakaś miejscowość, ale nie pamiętam jaka.

— *Wydarzenie w Emilcinie*?

— Możliwe. Okładkę bym poznał, ale za nic nie pamiętam jak się nazywała.

— I to był jedyny raz co tego faceta widziałeś?

— Jeszcze drugi raz, z bliska.

— Gdzie to było?

— Jechałem spotkać się z Gają do domu jej rodziców i widziałem jak spod jej domu rusza samochód, tam jest bardzo wąska ulica i musieliśmy zjechać na chodnik, żeby się wyminąć, wtedy go widziałem, tak jak pana teraz widzę. O, wiem do kogo był podobny!

— Do kogo?

— Do tego faceta z powstańczej telewizji!

— Do którego?

— No tego ze strzałką, co pokazuje jak z puszki po kawie, kulek z łożysk, saletry i cukru zrobić w domu bombę odłamkową, i różne takie. Tego co mówi „przygotowałem sobie tutaj przed programem”.

— A, to wiem o kogo chodzi. Ale już go w końcu złapali, tego Słodowego.

— Ale podziemni ciągle puszczają te jego kawałki, „zrób to sam dla ruchu oporu”.

— A jesteś pewien, że to był ten sam gość?

— Jak dojechałem do niej do domu, to okazało się, że właśnie przyszła, mimo że się wypierała, że nigdzie nie wychodziła. Wtedy się pokłóciliśmy, nie umiem być z kimś, kto jest nieszczerzy.

— To całkowicie zrozumiałe.

— A teraz pan mówi, że uciekła z domu — włączyła się mamusia. — Możesz już wracać, do swoich zajęć, synku. Pocałuj mamusię.

— Na razie mogę powiedzieć, że zaginęła.

Sergiusz wstaje, podaje mi rękę, cmoka blondynę w policzek, wychodzi, ściana pojawia się na swoim miejscu.

— Tak to wygląda, panie Tomku, co pan na to?

— Wie pani, na razie zbieram kawałki układanki...

— Ale pewnie widzi pan jakiś obraz.

— Mhm, wolałbym nie wchodzić w te kwestie bez zgody

swojego pracodawcy, rozumie pani chyba, współpraca opiera się na zaufaniu, a zaufanie na poufności.

— Rozumiem. W takim razie, to chyba już wszystko? —
Wstaje. — Odprowadzę pana do windy.

*

Stokowski czekał na mnie w Zodiaku. Dosiadłem się, kelnerka w zielonym chałacie i poplamionym fartuszką przyjęła zamówienie na duże jasne.

— Masz dla mnie?

— Mam, ale jedna taka rzecz.

— No?

— Sprawdziłem ci tego kolesia, tego na em. Moje szczęście, że zostałem po godzinach, jak był tylko dyżurny.

— A co się stało?

— Wbiłem tego gościa w końcówkę i włączył się alarm. Wisisz mi jeszcze dwie stówy dla dyżurnego, za skasowanie tego z dziennika pracy.

Szlag. Pojawiła się kelnerka, gwałtownym gestem postawiła

przede mną kufel. Prawie się wychlapało. Podziękowałem, i poczekałem aż się oddali.

— Dobra, ale masz jego teczkę?

— Nie, alarmowanych nie można wydrukować bez zezwolenia kogoś z uprawnieniem 217. Ale spisałem ci najważniejsze punkty ze starego archiwum. — Wyjął wymięty notes.

— Wal. — Sięgnąłem po kufel i upiłem piwa. Chrzczone było.

— Imię, nazwisko, urodzony, bla bla. Pięćdziesiąt dwa lata. Na studiach działacz młodzieżówki Klubu Kontaktów Kosmicznych, po studiach przeszedł do Komitetu. Po drugim najeździe jedna z głów tej grupy, grupy osiedla Za Żelazną Bramą, która z dawania dupy potworakom przerzuciła się na obciążenie sektoidom. — Przerzucił kartkę. — Obecnie podsekretarz stanu w MSW, i, to już nie z kartoteki i za to stowa ekstra, Merkini załatwiają mu status konsula honorowego.

Wyrwał kartkę z notesu i położył przede mną. Przysunąłem ją do siebie.

— Konsula? Po co? Przecież mają swoje poselstwo.

— To załatwiają tym którzy im najlepiej robią, facet

praktycznie będzie miał ich obywatelstwo. Nieźle się wjebałeś.

— Na szczęście to zleceniodawca.

— I tak uważaj w nocy na światła na niebie.

— Ehe. A goście od tego pisemka, masz?

— Mam — z sąsiedniego krzesła wziął na kolana wypchaną teczkę, wyciągnął plik składanki, pchnął w moim kierunku.

— Masz tu wszystko co na nich jest na moim dostępie.

Spojrzałem na pierwszą stronę.

XXXX MERA PROMIS SYSTEM V. 3. 12 XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

ZAPYTANIE „głos z emilcina” I („wo” LUB „jm” LUB „gm”)

XX

WYNIKI DLA „głos z emilcina” i „wo”

*** wiesław ostrowski SYGNATURA kr 039/3/21

WYNIKI DLA „głos z emilcina” i „jm”

*** jan mucha SYGNATURA kr 9/23/W

WYNIKI DLA „głos z emilcina” i „gm”

BRAK DANYCH

Dalej szły dane z kartotek.

— Dobra.

Zwinąłem do teczki gruby zygzak papieru pokrytego rzędami niewyraźnych liter z wierszowej drukarki, wyjąłem portfel i odliczyłem siedemset złotych. Stokowski zgarnął pieniądze, przeliczył i schował do portfela starannie układając nominały w kolejności.

— Dobra, jak coś to wiesz gdzie mnie łapać. Żona mnie zabije, że się drugi dzień gdzieś szlajam...

Dopił wódkę i nabił na widelec ostatnie dzwonko śledzia po żydowsku. Pożarł je łapczywie i wstał wkładając płaszcz.

— Serwus!

Skinąłem mu ręką na pożegnanie i pociągnąłem piwa. Przeliczyłem pieniądze w portfelu, i, po spojrzeniu na zegarek, zrezygnowałem z golonki. Przed Rotundą odstałem swoje w kolejce do telefonu i zadzwoniłem do Instytutu. Odebrała Halina, sekretarka szefa naszej katedry.

— Witam pani Halinko, Szczepański z tej strony, jak tam humor profesora dzisiaj?

— Krzyczy. Pierwszy rok miał dzisiaj poprawki z FPK,

dziewięćdziesiąt procent oblało, więc jak pan coś do niego ma, to teraz nie jest najlepszy moment.

Fizyczne podstawy ksenologii to zawsze jest rzeźnia. Aż trudno uwierzyć ilu ludziom problem sprawiają równania różniczkowe.

— Nie, nie mam sprawy do niego, mam do pani, taką małą rzecz...

— Jaką?

— Pamięta pani tego wariata co przychodził z petycją, żeby rozebrać „zielony obelisk”?

— Takiego włochatego?

— Tego takiego włochatego, no tak, tak.

— Panie Tomku, no jak mam nie pamiętać, profesor kazał go spławiać i ja musiałam się z tym wariatem użerać.

— Mówi pani o tym świrze, czy o profesorze?

Zaśmiała się.

— O świrze, a co z nim?

— On zostawiał ten swój manifest każdym razem, wyrzuciła pani to już?

— Powinnam to mieć, raz uparł się, żeby to przyjąć na dziennik.

— O, to świetnie, a może mi pani sprawdzić jak on się nazywał i jaki adres podał?

— W tej chwili nie da rady panie Tomeczku, profesor zaraz ma spotkanie z panią dziekan i muszę się nimi zająć.

— Pani Halu, nie nerwowo, ja bym zadzwonił za dwie godziny, pani spokojnie tego poszuka, dobra?

— W dwie godziny to znajdę bez problemu.

— No to ja zadzwonię później.

— Dobrze, panie Tomeczku, pan zdrowieje, a ja tego poszukam.

Skrzywiłem się, Halina wiedziała wszystko i zawsze, ale nie dałem tego poznać po głosie.

— Do usłyszenia, pani Halinko.

*

W domu zrobiłem sobie herbaty z wódką, i zabrałem się do przeglądania teczek skopiowanych przez Stokowskiego.

Wiesław Ostrowski, urodzony 12 stycznia 1968 w Warszawie.

Kontakty: Ryszard Stalin, Lucjan Znicz, Jan Mucha.

Jan Mucha, urodzony 23 maja 1946.

Kontakty: Lucjan Znicz, Wiesław Ostrowski, Jan Wolski.

Docent Mucha... Docenta Muchę znali wszyscy z branży. Facet był autentycznym docentem, pracował nawet kiedyś w Instytucie, bodaj czy nie w sąsiednim pokoju. W trakcie pracy nawdychał się oparów „czerwonej rtęci” i mu szajba odbiła. Zaczął pisać sążniste, bełkotliwe traktaty o tym jak NAPRAWDĘ działa ksenotechnika, o tym jak Obcy nas kontrolują i jak z nimi walczyć. Podpisywał się zawsze „Docent Jan Mucha” albo „Jan Mucha, docent”. Stąd w branży znany był jako Docent Mucha, przez niektórych zwany też Muchadocentem. W Służbie był nawet człowiek wydelegowany do pilnowania co porabia Muchadocent, podobno w dwunastce to była przechodnia kara. Jak spieprzyłeś, dostawałeś zadanie streszczenia trzech ostatnich traktatów Muchadocenta. Wszyscy analitycy wyمیękali na tym bełkocie.

Z następnych stron spisałem adresy i zadzwoniłem do Instytutu. Halinka znalazła elaborat włochoatego jaskiniowca w archiwum, zapisałem dane: Ryszard Stalin, ulica Batuty

12. Trzeba jechać na Pragę. Zadzwońm po radio-taxi.

*

Po jednej stronie dziurawej ulicy, ku katastrofie budowlanej chylił się rząd zabiedzonych czynszówek, po drugiej, za dziurawym płotem, na samotnym torze rdzewiał rząd kolejowych lor ze stożkowymi zbiornikami. Tabliczka z napisem „ul. Henryka Batuty” zwiwała smętnie na jednym rogu. Ulica upamiętniająca jednego z założycieli Komitetu Kontaktów Kosmicznych, nie przynosiła mu chwały. Odnalazłem numer 12, obwiedziony na wysokości pierwszego piętra falbanką siatki ochronnej mającą łapać osypujący się tynk, wyglądał na nie remontowany od Najazdu. Wejście do budynku tonęło w cieniu, na ulicy paliła się co druga-trzecia latarnia. Wsłuchałem się w noc, zza okien parteru dobiegały dźwięki czołówki „Teleturnieju dla całej rodziny”, większość narodu czekała na pierwszy dowcip w wykonaniu Karola Strasburgera. Wszedłem w bramę, w środku na moje kroki odpowiedziało rozpaczliwe skrzypienie desek podłogi. Odnalazłem Stalina w spisie lokatorów, wspiałem się na trzecie piętro. Nie zapalałem światła, brudne szyby klatki schodowej wychodziły akurat na jedną z działających latarni, pomarańczowy blask wystarczał.

Drzwi do siódemki były uchylone. Rozejrzałem się jeszcze raz po wysmarowanym wrzutami korytarzu, poprawiłem rękawiczki i wszedłem.

W środku wyglądało jak po przejściu trąby powietrznej, albo jak po rewizji wydziału dwunastego. Ciuchy na kupie w kącie przedpokoju, reszta podłogi bezładnie zasłana butami. Przeszedłem głębiej, w salonie książki hałdami pozwalane z półek, na miejscu telewizora stało biurko wystające połową blatu spod sięgającego podłogi Giewontu papierów, na drugim końcu blatu niebezpiecznie wysunięta za krawędź balansowała Krzywa Wieża brudnych talerzy, zwieńczona pod-wieżyczkami zaschniętych szklanek po kawie zalewajce. Przy biurku dwa krzesła, na jednym rzucone obrzydliwie żółtobrązowawe bokserki i szary od brudu podkoszulek przewieszony przez oparcie; na drugim pusty plastikowy pojemnik. Podeszedłem bliżej, pochyliłem się ostrożnie, od pojemnika biło ostrym chemicznym zapachem, przebijającym się przez, wiszący w całym mieszkaniu, słodki zapach brudu i stęchlizny. Dotknąłem krawędzi, na dnie zatańczyło kilka srebrnorudych kulek. Cofnąłem się do przedpokoju, znalazłem wejście do kuchni. Było tak samo jak w salonie tylko bardziej, w zlewie stos zapleśniałych talerzy wstawiony w stos równie zapleśniałych garnków, po podłodze rozbiegły się karaluchy; coś zachrupało mi pod podszewą. Zajrzałem do szafek, pusto.

W łazience wiara w starokawalerskie nawyki gospodarza została nagrodzona, na półce pod lustrem leżało kilka pustych buteleczek po lekarstwach. Woda na szczęście była, opłukałem jedną, osuszyłem papierem toaletowym i wróciłem do salonu. Delikatnie przelałem srebrne krople z

plastycznego pojemnika do fiolki. Chowałem buteleczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, kiedy zadzwonił telefon. Przyjrzałem się czarnemu, bakelitowemu aparatowi i podniosłem słuchawkę. Dziewczęcy głos zapytał nieśmiało.

— Halo, Rysiek?

Ułamek sekundy namysłu.

— Zatrął się pasztetową i siedzi od godziny w kiblu. Coś przekazać?

Głos stracił nieśmiałość.

— Rysiek? Pasztetową? Przecież on nie je mięsa! Co jest? Przecież czekamy aż przywieziecie sprzęt do bunkra, od godziny tu siedzimy, czekamy, a on co? Z kim ja rozmawiam? Halo?!

Szlag.

Odłożyłem słuchawkę i zatrzymałem się w pół kroku. Zajęty telefonem przeoczyłem narastające, pulsujące buczenie. Z góry zza okna zjechało źródło światła, pomarańczowe prostokąty blasku przesunęły się po wypełniającym mieszkanie pobojuwisku. Na schodach zadudniły kroki, trzasnęły drzwi wejściowe. W obrys drzwi do pokoju wskoczył kłęb falowania kolorów, na sekundę zamarł

rejestrując moją obecność, przesunął się w głąb pokoju, zapadł w sobie i tak już został, za nim w przedpokoju przewinął się drugi omiatający pozostałe pomieszczenia. Stałem nieruchomo, odsuwając ręce od ciała. Przy mutonach w trybie bojowym nie ma co ryzykować, najpierw rozwalą, a potem co najwyżej przeproszą. Wdowę. Moja była by się najwyżej ucieszyła.

W drzwi weszła nie zamaskowana kobieta. Stukając cienkimi obcasami błyszczących czarnych butów za kolana podeszła do mnie i spojrzała mi w twarz. Odpowiedziałem jej tym samym, ale moje spojrzenie ześlizgnęło się w bok z osłaniającego jej oczy, ciągłego pasma czarnego lustra z wycięciem na prosty, ostry nos. Z boku czarny wizjer zbiegał się w wąskie zauszki kończące się w kryjących uszy muszlach z tego szarego, opalizującego zielono-złoto tworzywa, którym Merkini obudowują swoje urządzenia. Czarne włosy miała ściągnięte z tyłu. Dłoń w segmentowanej rękawicy uniosła się, w ni to salucie, ni to powitaniu, a wizjer bez dźwięku uniósł się nad czoło kobiety. Miała zimne, szare oczy; usta pociągnięte szarogranatową szminką.

— Gdzie jest Stalin, panie Szczepański?

— Nie mam pojęcia — uśmiechnąłem się najszczerzej jak potrafiłem. — Sam go szukam.

— Po co?

— Ktoś zapłacił mi, żebym go znalazł.

— Kto?

— Chyba panie nie myśli, że powiem?

— Mogę pana aresztować, mam takie prerogatywy od wasz..., od rządu.

— Myślę, że tych dwóch mutonów — wskazałem na przyczajone cienie — może mnie też odparować bez osmalenia pani munduru, ale to nic nie zmienia.

— Ma pan rację, w obu sprawach. Ale chyba tym bardziej nie warto robić sobie z nas wrogów. Wzruszyłem ramionami i opuściłem ręce. Kobieta spojrzała za siebie, uniosła dłoń i machnęła palcami w skomplikowanym geście którego nie dojrzałem. Wtopiony już w tło cień trzymający mnie na muszce zszarzał i zmienił się w przyczajonego humanoidalnego olbrzyma, mierzącego mnie wzrokiem równie nieruchomym co otwór wylotowy skierowanej ku mnie broni. Maskujące kameleonowe frędzle wchłaniały się już w powierzchnię pancerza. Olbrzym wstał, odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz, za nim drugi. Zwróciłem wzrok ku kobiecie.

Na obcisły, granatowy kombinezon narzuconą miała ażurową kamizelkę-uprząż pokrytą kieszeniami, kaburami i oplecioną

przewodami, spiętą luźno w talii. Kombinezon, mimo, że niewątpliwie bojowy, miał interesujący, głęboki dekolt. Odnalazła mój wzrok i zaciągnęła dekolt kciukiem. Znikł bez szwu.

— Czego naprawdę pan tu szuka?

— Tego co i wy. Gospodarza.

— Po co?

— A to już naprawdę sprawa między mną i moim klientem?

Wzruszyła ramionami.

— Jeśli pan chce to tak rozegrać, pana sprawa.

— Moja — kiwnąłem głową.

— Kiedy pan znajdzie Stalina, niech pan da mi znać — podała mi prostokąt twardego tworzywa, wielkości 2/3 wizytówki. Spojrzałem: holograficzny portret na całą wysokość, patrzyła skupionym wzrokiem, bez uśmiechu, prosto w oczy oglądającego wizytówkę. Jak pierwowzór wizerunku. Obok klasycznymi literami: Krystyna Krakowska-Skrzypek, a poniżej: fe80::21d: 60ff: fe86: 41ea.

— Nie mam dostępu do waszej łączności.

— Och, nie wątpię, że znajdzie pan jakiś sposób — powiedziała zimno, jakby wyzywająco.

Przepisałem kod adresowy do notesu i oddałem jej wizytówkę. Odmówiła gestem.

— Może pan ją zatrzymać.

— Mogę, ale nie chciałbym zbyt obciążać waszych namierników.

Zmrużyła oczy, odebrała mi wizytówkę i schowała do górnej kieszeni kombinezonu. Sztywny prostokąt napiął jeszcze bardziej błyszczący materiał.

— Nie muszę pana namierzać, żeby wiedzieć, gdzie pan teraz pójdzie.

— O, to bardzo interesujące co pani mówi, bo sam nie jestem pewien.

— Jestem pewna, że pójdzie pan do miejsca skąd dzwoniли przed chwilą, mam rację? Mogę panu powiedzieć skąd dzwoniли, oszczędzi pan sobie fatygi i łapówek, tylko proszę powiedzieć.

Spojrzałem na zegarek.

— Przyszło mi to do głowy, ale mam też inne możliwości. I pomogła mi pani dokonać wyboru metody wyboru — wygrzebałem z kieszeni dwudziestozłotówkę, obróciłem w palcach, orzeł i reszka, podrzuciłem.

Nowotko.

— Następne w kolejce do odwiedzenia, mam mieszkanie innego podejrzanego, więc muszę panią rozczarować. Mogę iść?

— Nie rozczarowują się tylko nie mający oczekiwań. Może pan, proszę, chłopcy pana przepuszczą. Do zobaczenia.

— Do widzenia.

Minąłem ją, i wyszedłem na klatkę. Jeden z merkińskich wojowników tkwił nieruchomo na podeście, drugiego minąłem dopiero na ulicy, obok wiszącego nad krawężnikiem dużego transportera. Szybkim, coraz szybszym krokiem doszedłem do Grochowskiej, złapałem taksówkę.

— Dokąd? — „Złotowa” patrzył na mnie podejrzliwie ponad oparciem fotela.

— Stegny, Zielonogórska.

Mruknął coś i wrzucił bieg. Stara warszawa przyspieszała

grzechocząc.

— Jedna rzecz, panie starszy — rzuciłem nagle — nie wie pan gdzie by tu można było ćwiartkę kupić, o tej porze?

— Może to i wiem — mruknął — a co tak pana szanownego nagle przypiliło?

— Bliskie spotkanie z nolakami, dziesięć minut temu jeden muton trzymał mnie na muszce.

— I puścili? No to musisz się pan napić, musowo. Się znajdzie.

Skręcił w Saską Kępę, wjechał w Zwycięzców, skręcił w bramę.

— Tutaj drugie piętro, pan powie, że do Bożeny. Ja poczekam.

Wspiąłem się po skrzypiących schodach, na drugim piętrze jedne drzwi, dzwonek. Uchyliły się minimalnie, za nimi przygarbiona sylwetka w burej podomce, przez szparę jedno oko patrzyło na mnie podejrzliwie.

— Szukam pani Bożeny.

— A wejdz kochaniutki — drzwi otworzyły się szeroko. —

Zaraz zobaczymy co mi wnusio zostawił. Byłeś tu już u mnie kochaniutki?

— Nie.

Wszedłem. Za drzwiami niechlujny przedpokój z obłazącą z wysokiego połysku szafką na buty, dziurawą wykładziną i smrodem gotowanej kapusty ciągnącym z kuchni. Z zamkniętych drzwi do pokoju stłumione stękanie.

— A co potrzeba?

— Szczeniaczka.

— A jaka rasa? Czysta? Kartoflanka? Jarzębiaczek? Jałowcówka? Żytnia? Żołądkowa? Może coś na myszach?

— Żytnia.

Baba sięgnęła do szafki, wyciągnęła ćwiartkę żytniówki.

— Ile?

— Pięćdziesiąt, syneczku, pięćdziesiąteczka. Popitkę jaką chcesz?

— Przydałoby się — wyciągnąłem pieniądze. Stara obejrzała banknot pod światło i schowała je do kieszeni. Smród

mieszkania narastał, drapał w gardle.

— Zara przyniese — poczłapała w głąb mieszkania. Popatrzyłem za nią, weszła w brudne drzwi, przez szparę zobaczyłem damskie pośladki unoszące się i opadające w charakterystycznym rytmie, dobiegły mnie zdławione, gardłowe jęki. Stara wróciła zamykając za sobą drzwi i podała mi słoik wypełniony mętną cieczą.

— Kompecik jak ta lala, kochanieńki, napij się. Śliwkowy. A jakbyś potem chciał sobie ulżyć to córcia zaraz wolna będzie — mrugnęła do mnie spod przetłuszczonej grzywki — zajęta teraz jest ale skończą zara.

Odstawiłem kompot na półkę pod pociemniałym lustrem.

— Nie trzeba, śpieszę się — gardło miałem ściśnięte — muszę iść.

— A to biegnij syneczku, biegnij, a wpadnij znowu do ciotki Bożeny jak cię coś przycisnie.

Zbiegłem po schodach ściskając zdobycz. Taksówkarz stał oparty o swoją gablotę i palił.

— Poszło dobrze?

Kiwnąłem głową, oparłem się o framugę i odkręciłem

zakrętkę. Wódka paliła w gardło, ale przynosiła ulgę. Przełknąłem trzy łyki, otarłem usta, zakręciłem flaszkę.

— Możemy jechać.

Taryfiarz zdusił peta obcasem, wsunął się za kółko.

— Ja to już myślałem, że pan tam dłużej zostaniesz.

— Czemu?

— Ta jej Kryśka to jak się rozkręci, to człowiekowi chuja do sucha potrafi wyżyć. Sam tam czasem tam do niej wpadam jak mam parcie.

— Zajęta była.

— To może gdzieś zajadę? Znam tu po drodze, na Cybulskiego dwie takie studentki...

— Nie mam teraz czasu na takie zabawy.

— Jak pan tam chcesz. Ja zawsze mam spokojniejszą głowę, jak z krzyża spuszczę, wie pan.

Odmrukiwałem coś niejasnego na wszystkie jego kwestie, ale zamknął się dopiero na Moście Siekierkowskim.

*

Zielonogórką zabudowano klockowatymi blokami postawionymi potworackim sposobem, z betonowych płyt. Pociągnąłem do siebie niezgrabne, stalowe drzwi z mętną, zbrojoną szybą, i po omacku zacząłem szukać włącznika światła. Znalazłem przełącznik ukryty pod grubą wodoszczelną obudową, wcisnąłem. Zapaliła się jedna naga żarówka, chyba piętnastka, a do tego na palcach został mi nieprzyjemny poślizg. Powąchałem rękę. Trochę śmierdziała, na szczęście niczym konkretnym. Wytarłem dłoń w chusteczkę, pomogło, ale niewiele, wewnętrzny wstręt pozostał. Czekaając na windę sprawdziłem piętro w spisie lokatorów. Siódme.

Winda w końcu przyjechała, półotwarty model z tych co obcinają głowy, jak się zewrze dwa druty wetknięte w odpowiednie punkty. Ale na siódme dojechałem bez przygód, styki szybu stukały rytmicznie, co piętro. Siódme przegrodzone było niechlujnie pomalowaną ramą pospawaną z płaskowników, w którą wstawiono szyby takie jak w drzwiach wejściowych. Zza szklanego przepierzenia dobiegały odgłosy meczu. W przepierzeniu zamknięte drzwi, trzy przyciski dzwonka. Nacisnąłem ten oznaczony 68. Raz, drugi, trzeci. Coraz dłużej, przytrzymując, aż echo wibrującego dzwonka zagrało w pustej klatce. Nic.

Zadzwoiłem do sąsiadów, raz. Dźwięk telewizora ucichł, po

chwili z odrapanych drzwi do mieszkania wynurzył się łysy koleżka w koszulce na ramiączkach i dresowych spodniach. Uchylił stalowo-szklane drzwi.

— Dzień dobry!

— 'dobry... Co jest?

— Nie wie pan co się dzieje z Wieśkiem Ostrowskim?

— Z kim?

— Pod 68 mieszka, kolega mój. Piotrowski jestem — wyciągnąłem dłoń.

— Miśkiewicz — odruchowo podał mi rękę. — Panie kochany, tu wielka jakaś awantura była, dopiero jak poszedłem i powiedziałem, że milicję wezwę, to się zamknęli i zaraz poszli.

— A dużo ich było?

— A ze trzy chyba, ten cały co tu mieszka, pana kolega, ten no...

— Wiesiek? Ostrowski?

— O, ten, no, no to on był i jeszcze dwoje jakichś.

— Może znam? Jak wyglądali?

— A jeden taki jaskiniowiec, włosy długie, broda...

— O, Rychu! — Ucieszyłem się.

— Też kolega?

— No ba! A trzeci kto?

— A dziewczyna, taka młoda, ładna, z warunami, ale powiem panu coś, jak dla mnie to ona za młoda była dla nich.

— To siostrzenica Ryśka, niech pan się nie przejmuje.

— Aa... no to w porządku.

— A nie wie pan dokąd poszli?

— Nie — pokręcił głową.

— O bunkrze żadnym nie mówili?

Potań przedramię dłonią. Spojrzał w bok, w drugi.

— O sprzęcie?

— Nooo... kłócili się o jakiś sprzęt w bunkrze, ale co gdzie,

nie wiem, chciałem, żeby tylko ryja przestali drzeć.

— No, z Rychem i szwagrem pieczarkarnię chcemy założyć, Rychu miał załatwić miejscówkę, ale z tego co pan mówisz to ruchnąć mnie chcą, z Wieśkiem tylko geszeft zrobić.

Zaśmiał się.

— Zawsze mi się wydawało, że to taki mały skurwysynek. Ja to jednak znam się na ludziach, widzisz pan.

— Ja już sobie z nimi dalej poradzę, dzięki za pomoc — wyciągnąłem rękę. Przybił mi ją mrugając lewym okiem, współpiskowiec.

*

Na Sobieskiego złapałem „łebka” do centrum, za piątkę podrzucił mnie pod palmę. Akurat podjechało 117, wyskoczyłem na placu Konstytucji, cofnąłem się do Hożej, odszukałem bramę na właściwe podwórko, minąłem ażurową budkę śmietnika z wejściem zagrodzonym przewróconym walcowatym pojemnikiem, wylewał się z niego cuchnący język odpadków, urwana tłoczona kłapa leżała na środku podwórza, potknąłem się o nią w półmroku, zadzwoniła blachą. Do wejścia do oficyny musiałem zejść w dół trzema schodkami. Przeszklone drzwi, od środka kraciaste zasłony. Przez brudnawe szyby i materiał przebijało się pojedyncze

słabe źródło światła, gdzieś w głębi. Cofnąłem się po schodkach, wychyliłem, suterenowe okno nie było zasłonięte, w środku ktoś poruszał się dookoła stołu z płonąca słabą lampką. Wróciłem do drzwi i zastukałem mocno, poniżej tabliczki „Klub elektronika OPORNIK”. Za drzwiami coś zaszurało, lampka zgasła, zapadła cisza.

Zastukałem, drugi raz, trzeci, czwarty. W końcu uchyliły się, w szparze zamajaczyła blada twarz Rafała.

— Zamknięte! Co chcesz?

— Żebyś dla mnie otworzył.

— Całą budę?

— Nie. Kawalek. Potrzebuję ustalić jedną rzecz. Z tych co ty wiesz.

— Ciiszej, bo sąsiedzi usłyszą.

— No to usłyszą!

— Ciii! No czego chcesz? Chodź do środka — cofnięciem zrobił miejsce w drzwiach, zamknął je za mną ostrożnie, żeby nie trzasnęły. Szczęknął zatrzask, zapaliło się słabe górne światło.

Niewiele się tu zmieniło od mojego ostatniego pobytu; pod oknami stoły warsztatowe zastawione miernikami i rozbebeszonymi urządzeniami w różnych etapach powstawania. Na jednej ścianie rzędy półek zastawionych kartonami z elektronicznym złomem który może się jeszcze przydać, i drobnymi pojemnikami z częściami, w głębi, na wyróżnionym miejscu chluba: stanowisko oscyloskopu i analizatora częstotliwości, schludnie sprzątnięte, z dosuniętym krzesłem. Pośrodku drugi rząd stołów warsztatowych, teraz pustych, w kącie z boku umywalka, elektryczny czajnik, taca szklanek w blaszanych koszykach i puszka kawy Inka.

Rafał machnął na mnie z wejścia do kanciapy.

— Chodź, no co się tak rozglądasz, nie ma tu nic ciekawego dla ciebie.

Ominąłem porzucone na środku przejścia krzesło, potknąłem się o przeciągnięte przez przejście kable, oparłem o zabałaganiony stół warsztatowy, mały przedmiot wskoczył mi między palce. Rafał zgasił górne światło, teraz jedynym oświetleniem była poblask idący z drugiego pomieszczenia.

W kanciapie stał rozpruty telewizor, obok na stole siatka zielono-złoty płytek pączkujących częściami, połączonych kablami, z kilku płytek solidne grube kable sięgały do wąpłów ślepego telewizora, obok drugi telewizor, włączony

z ekranem pokrytym kratą rozmytych białych linii pomiędzy którymi powoli przepływały plamy różnie intensywnych szarości. Rafał zdjął ze stołka plik pożółkłych Młodych Techników, wskazał bym usiadł, sam siadł na rozwieruchtanym krześle z giętego drewna, które kupiono chyba do jakiegoś dobrego mieszczańskiego domu przed Najazdem. Usiadłem ostrożnie, zaskrzypiało, ale nie załamało się.

— Nie miałeś racji.

— W czym?! — Porzucił grzebanie w stosie wystawionych z biurka szuflad i odwrócił się do mnie szybko, patrząc podejrzliwie.

— Że nie ma tu nic interesującego — uniosłem zwinięty z warsztatu przedmiocik, obróciłem w palcach — o, proszę, sprzęg.

Rafał popatrzył na mnie spode łba.

— No i?

— Jak jest sprzęg, to pewnie i czerwona rtęć się znajdzie. Albo i więcej.

— Kurwa, powiedz czego chcesz zamiast lecieć w chuja. To jest legalne — wskazał sprzęg.

— Tak jak zamknięcie budy dla sprawdzenia czy nie ma tu nic *nielegalnego*.

— Powiedz czego chcesz i wypierdalaj.

— Muszę wiedzieć kto dzwonił dwie godziny temu do jednego mieszkania.

— Trzeba było tak od razu, zamiast bawić się w chuja i marchewkę. Stówa. Adres masz?

— Mam, i nazwisko właściciela czy lokatora — drugą ręką rzuciłem na stół przygotowaną wcześniej setkę, zatrzepotała wypłowieła czerwienią i wylądowała pomiędzy zielonymi płytkami.

— Aha — odwrócił się na krześle, zgarnął stos oporników i scalaków z blatu, do podstawionej szuflady, zdjął blat, kciukiem przerzucił włącznik ujawnionego w ten sposób dalekopisu — dawaj.

— Ryszard Stalin, Batuty 12 mieszkania 7.

Wystukał coś na klawiaturze dalekopisu, zamarł w połowie.

— Ryszard Stalin?

— Tak.

— Znasz gościa?

— Mhm, widziałem go ze dwa razy w życiu. Taki włochaty jaskiniowiec.

— Taaa... A wiesz co robi?

— No, w artefaktach robi, w mojej działce.

— Heh, nie tylko.

— Co jeszcze.

— Łamie, buduje, znany koleś, czarodziej. Chce umieć zacząć rozmawiać z artefaktami.

— Merkińskimi?

— Też.

— Skąd wiesz?

Zawahał się chwilę, w końcu wskazał leżący na blacie sprzęg.

— To jego.

— Po co mu dokładnie?

— Nie wiem — zawiesił głos, wystukał kilka znaków — dawaj jeszcze raz adres.

— Batuty dwanaście siedem.

Rafał wbił adres w dalekopis, dodał kilka znaków i nacisnął klawisz przeniesienia. Dwa razy wcisnął klawisz z boku maszyny, głowica przejechała całą szerokość kartki wystukując minusy, potem jeszcze raz.

— Coś nie tak?

— Spoko, Rozmawiam z bankiem danych, teraz czekamy na odpowiedź.

— Jak się podłączyłeś?

— A widzisz. Przekonałem maszynę cyfrową w centrali, że jestem zapasową centralą w Ząbkach, w ten sposób mam dostęp do rozliczeń rozmów i zapisów kto gdzie dzwonił.

— Niezłe. Do zapisów samych rozmów też?

— Rozmowy się nie nagrywają, nagrywa ubecja równoległym obwodem zestawianym z Rakowiecką, jak chcą. Ty zresztą to powinieneś wiedzieć.

— Mhm. Masz w ten sposób dostęp do całej sieci?

— Oprócz rządówki i Merkinów. Do rządówki muszę się wbijać przez bramkę. Do Merkinów... — wzruszył ramionami.

— Niezłe, naprawdę niezłe.

— To? To złom! Jakby mieć porządne złącze to można by się wpiąć do układu Merkinów od razu, a nie tak...

— Porządne złącze, jak trikoder?

— Noo... człowieku, jakby mieć trikoder to wszystkie przekazy nasze.

— I co byś zrobił?

— Zobaczyłbym co na nas, o nas mają, a potem, gdzie można pójść dalej, może przechwycić jakiś statek? To by było ekstra!

Milczący dalekopis ożył, wystukał kilka słów. Rafał pochylił się nad kartką.

— To linia specjalna, nie ma oficjalnego adresu skąd idzie. Ale mogę ustalić adres skrzynki łącznikowej, jeszcze chwila.

Wystukał kilkanaście znaków. Dalekopis odpowiedział od razu kilkoma linijkami.

— Ulica Widok, numer 26. Samo centrum. To oznaczenie skrzynki łączności kryzysowej, więc tam będzie jakiś schron, albo coś w ten deseń.

— A jeszcze jedno — wyjąłem następną setkę — na tydzień potrzebuję bezpiecznej linii telefonicznej, żeby nie dało się wysledzić skąd dzwonię, jak ostatnio.

Rafał przyjrzał się setce i zakręcił palcem w nosie, w lewej dziurce. Prawym. Zahaczył coś paznokciem, wyciągnął, przyjrzał się krytycznie znalezisku i strzepnął je na podłogę.

— Podrożało. Kablarze łązą i sprawdzają czy wolne pary nie są gdzieś pospinane. I psy zaczęły łapać za pajęczarstwo, Wybieraka ostatnio posadzili.

— Tego łysego?

— No, tego samego.

Wyjąłem drugą setkę. Rafał przerzucił się na eksplorację drugiej dziurki. Wyjąłem jeszcze pięćdziesiąt.

— Z domu chcesz dzwonić?

— Ochujałeś? Z automatu!

— Nigdy dwa razy z tego samego, pamiętaj. Dobra,

zapamiętaj kierunkowy 232, potem kręcisz ten numer co ci zaraz dam — wyjął z kieszeni czarny wygnieciony kapownik — potem dziewięć dziewięć i masz sygnał, to samoczynna centrala międzymiastowa, bez telefonistki, i tam już normalnie kierunkowy i numer. Zapamiętasz? — Na rogu biurka na kartce wyrwanej z notesu przepisał sześć cyfr.

— Zapamiętam, dwa trzy dwa, potem to z kartki, potem dziewięć dziewięć, potem kierunkowy i miejski.

— No — wyciągnął mi z ręki pieniądze i włożył tam kartkę — Będzie działało do końca miesiąca. Jak będziesz potrzebował na dłużej to trzeba będzie coś innego wykombinować. Powodzenia. Muszę iść — zaczął gasić sprzęt, głośno, rytmicznie szcękając przełącznikami.

— Jeszcze jedno.

Odwrócił się do mnie.

— I jedno i jedno, i jedno, co jeszcze?!

— Co kombinuje Stalin?

Westchnął ciężko, wrócił do wyłączania sprzętu, ale nie spuszczał mnie z oka.

Sięgnąłem po portfel, wyjąłem pięćdziesiątkę.

— Niech będzie — zabrał mi ją z ręki, uniósł pod światło — o Legionie Zagłady słyszałeś?

Pokręciłem głową.

— Stalin był u mnie, robił coś z tym sprzęgiem i szukał kontaktu z kimś, kto ma sprzęt do łamania tajnopisów. Dałem mu namiar na nich, koleś wchodzi głęboko w sieci łączności, dużo głębiej niż to — machnął ręką w kierunku dalekopisu. Jeśli ktoś ma coś takiego, to oni.

— Namiar?

— Piramida na Łuckiej. Na domofonie 1708, jak ktoś odbierze mówisz, że Heniek cię przysłał. Wjeżdżasz na siedemnaste, a dalej to ci powiedzą, albo nie. Dam im znać, że przyjdiesz. Późno jest, musisz już iść. Odprowadził mnie do drzwi.

*

Widok 26, ponury i odpychający blok wciśnięty między dwie stare kamienice. Szukając numeru wszedłem w cień betonowego kłoca. Drzwi wejściowych nie było, na zaśmiecone podwórze szczyrzyła się osmalona framuga. Za nią schody w górę i zejście w dół. Skierowałem się do piwnicy, złamane w pół drzwi wisiały na jednym zawiasie. W połowie schodów zatrzymałem się, i wyjąłem VIS-a.

Przeładowałem po cichu, przytrzymując zamek, i wsadziłem go do zewnętrznej kieszeni płaszcza.

Zszedłem do końca schodów i rozejrzałem się w półmroku, jednocześnie starając się oddychać ustami. Kiedyś były tu drewniane boksy z siatkowymi ścianami i regałami, na których porządni obywatele trzymali marynaty na zimę. Ale to było dawno, boksy rozwalono, regały spalono, a na pustej przestrzeni urządzono chaotyczne obozowisko. Teraz było pusto, tylko w jednym rogu stały jeszcze szczątki boksu, obudowane dodatkowo dyktą i tekturą. Podeszedłem bliżej, ale w pół kroku zatrzymał mnie bijący stamtąd fetor. Polowa latryna.

Kopnięta w pół kroku puszcza poleciała w kąt. Coś zachrząściło mi metalicznie pod butem, przykucnąłem. Łuski, rozgarnąłem śmieci. Pięć sztuk, obok złamany nylonowy wianuszek szybkiej ładowarki do bębenkowca.

Na końcu pomieszczenia znalazłem uchylone pancerne drzwi. Za nimi żółtawy blask pojedynczej żarówki zabezpieczonej kratową obudową. Przez próg wiódł wydeptany cuchnącym błotem szlak śladów butów.

— Do podziemnych kurwa poszli — jęknąłem do siebie na widok „kotwicy” namalowanej na wewnętrznych drzwiach do schronu. Przeszedłem przez wysoki próg śluzy, zaparłem się o stalowy uchwyt i pchnąłem je. Coś zgrzytnęło i ustąpiły,

bardzo powoli. Pchałem dalej, i kiedy zrozumiałem, jaki w tym leży błąd, było już za późno na hamowanie. Drzwi walnęły o ścianę z siłą, która, miałem wrażenie, zatrzęsała całym budynkiem. Huk odbił się echem, które dopiero po kilku sekundach wróciło z głębin podziemi.

Teraz nie było już czasu na subtelności. Na tym poziomie było ciemno, wyjąłem latarkę i poświecając ruszyłem przed siebie. Łupnięcie drzwiami śluzy uniosło kłęby betonowego pyłu, światło latarki wycinało w nim granatowy, drgający stożek.

Po kilkunastu metrach betonowy korytarz kończył się idącą w dół studnią o dziesięciometrowej średnicy, po ścianie schodziły ażurowe, trochę pordzewiałe schody. Poza schodami i łańcuchem na wielokrążku zwisającym ze sklepienia korytarza, nie było drogi w dół. Ostrożnie wszedłem na schody, w duchu gratulując sobie głupoty. W studni nikt nie usłyszy mego krzyku, jeśli mi się noga powinie. Poświeciłem w dół. Dwadzieścia pięter, zero poręczy. Zacisnąłem zęby i ostrożnie postawiłem stopę na pierwszym stopniu w dół.

Na dole moje buty zahuczały na solidnej stalowej platformie z ryflowanej blachy. Wyjścia na trzy strony, środkowe zamknięte stalowymi drzwiami z ryglami i kłódkami. Pociągnąłem za jedną, szarpnąłem mocno, przekreśliła się ze zgrzytem. Tego raczej nikt ostatnio nie otwierał. Obok dwa

owalne otwory korytarzy, ciemne i zachęcające. Poświeciłem na ścianę. Obok jednego na ścianie farbą z rozpylacza nakreślono, równoboczny trójkąt przecięty trzema poziomymi liniami, poniżej odbity z wzornika napis „tunel średnicowy”. Przy drugim wejściu podobny napis „rotunda”.

Ustawiłem się między wejściami, zgasilem latarkę i przez chwilę trwałem w bezruchu wyciszając oddech. Jakieś szmery z lewej. Poszedłem więc w kierunku Rotundy, poświecając sobie ostrożnie. Tunel lekko obniżał się, rowkiem pod ścianą ciurkała woda spływająca ze ścian.

Po jakichś stu metrach doszedłem do końca. Woda ciurkająca kanalikiem rozlewała się w lodowate, ciemne jezioro wypełniające całą szerokość betonowego owalu. Dalej był tylko zawał. Pewnie od czasu wybuchu.

Zgasilem na chwilę latarkę, i rozejrzałem się. Pomachałem sobie dłonią przed nosem, ale ręka sama skoczyła mi do latarki, przez sekundę paniki szarpałem się z opornym przełącznikiem.

Nigdy przedtem nie byłem w takiej ciemności, nawet w czasie awarii zasilania podziemnej windy w Ośrodku 43. Wtedy paliły się chociaż małe jarzeniówki obwodu zasilania awaryjnego; teraz nie było nic, czerń doskonała, gęsta jak melasa, wlewająca się w człowieka wszystkimi otworami ciała, zagnieżdżająca się w środku, trawiąca od

wewnątrz, jak jad pająka.

Palce odnalazły w końcu plastikowy suwak, przesunąłem go raz, drugi, w końcu zaskoczyło, łapy ciemności puściły i schroniły się tuż poza granicami pola widzenia. Odetchnąłem głęboko i otarłem czoło, spociłem się jak mysz. Trzeba wrócić do rozgałęzienia.

Drugi korytarz był suchy, miejscami szedł pod górę. Tu już nie było pyłu, powietrze było świeże, wyczuwałem nawet lekki powiew. Po pięciu minutach marszu tunel skręcił, wyjrzałem za zakręt i cofnąłem się. Zgasilem latarkę, przykucnąłem i wychyliłem się ostrożnie.

Tunel rozszerzał się, tworząc długą przestrzeń oświetloną rzędem sufitowych lamp podłączonych do baterii samochodowych akumulatorów. Tylną ścianę pomieszczenia tworzył ukośny rząd spękanych na krawędziach betonowych płyt, wyraźnie odróżniających się od lanego betonu pozostałych ścian. Pod prawą ścianą metrowy występ tworzył półkę na długość pomieszczenia, na brudnym śpiworze leżał tam włochaty facet, którego wcześniej widziałem u Grubego Franka. Spał chyba, z przekrzywioną głową i otwartymi ustami.

Podszedłem bliżej. Leżący miał w skroni głęboką zwęgloną dziurę od której biegła czerwona krecha oparzenia. Sprawdziłem brak pulsu, trup był zimny, ale jeszcze nie

sztwywny. Śmierć nie dodała mu uroku, szczyrzył zęby z grymasie przerażenia podkreślany przez szeroko otwarte, schnące już oczy.

Ktoś jednak kupił od bukinisty ten promiennik za sto pięćdziesiąt kaflí. Pewnie był to sam Stalin. Przejrzałem mu kieszenie. Stary portfel z wygniecionej skóry, w środku dowód na nazwisko Ryszard Stalin, zero pieniędzy, w drugiej kieszeni klucze. Włożyłem rzeczy umarłego z powrotem do jego kieszeni i starannie przejrzałem pomieszczenie. Pod ścianą z płyt płatanina kabli z błyszczącymi miedziano końcówkami, jeszcze nie zdążyły zaśniedzieć, na ziemi kolorowe strzępy jedwabnej izolacji.

Przyjrzałem się ścianie, w jednej ze szczelin coś pulsowało słabym światłem. Podniosłem z ziemi kawałek drutu, i wygarnąłem ze szczeliny drobne odłamki betonu, wydmuchnąłem pył. Między płytami płynęło pulsująco zielonkawo, niebiesko i fioletowo, kolory płynęły w obie strony przeplatając się. Dotknąłem drutem kolorowego szkliwa, do strumienia kolorów dołączyła się fala żółtoczerwonego blasku rozbiegająca się od miejsca dotknięcia, po sekundzie wybiegła poza granice szczeliny. Szturchnąłem ją znowu, fale rozbiegły się ponownie, jednak po sekundzie wróciły koncentrując się w punkcie dotyku drutu, wyładowanie ukłuło mnie w rękę.

Odrzuciłem drut, strzepnąłem dłonią, rozpracowałem

porażone mięśnie; pogratulowałem sobie głupoty. Instalacje Obcych często miały odruchy obronne. Obszedłem jeszcze dookoła całe podziemie, w kącie odnalazłem na ścianie poszarpany rowek śladu wyładowania. Obejrzałem się, Stalin szczyrzył się do mnie nieuszkodzoną częścią twarzy, to nie było to wyładowanie, które poszło w niego. Chyba, że przeniesiono go po śmierci. Wróciłem do zwłok i przyjrzałem się śladom w pyle, kilka wzorów podeszew, w tym moje, ale brak śladów wleczenia. Coś białego wystawało spod niego, wyciągnąłem plik odbitych na powielaczu kartek, odnalazłem stronę tytułową: Docent Jan Mucha, *Rozprawa 14 o własnościach statków powietrznych o napędzie magnetycznym*. Schowałem kartki do kieszeni i wyjąłem latarkę. Odszukałem masę zestawu akumulatorów, włączyłem swoją latarkę i starając się nie dotykach gołego metalu poluzowałem klemę. Oświetlenie przygasało powoli, ja odszedłem cicho korytarzem wiodącym w dół, lecz do świata żywych.

*

Dysząc dotarłem do dwudziestego piętra studni. Usiadłem ciężko na pierwszym stopniu i rozpiąłem koszulę, podkoszulek miałem przesiąknięty, jakbym się kąpał. Łapiąc oddech przebiegałem promieniem światła po ścianach bunkra. Pomiedzy zarośnięte brudem i pajęczynami rury wciśnięto, wklejone niekształtnymi kleksami szarej żywicy, chropowate, twarde przewody. Podniosłem się na nogi i

podszedłem do miejsca gdzie czarno połyskujący wężyk pionowo szedł w podłogę. Pomacałem, szarpnąłem, ani drgnęło. Poszedłem za czarną rurką, doprowadziła mnie do ukrytej we wnęce rozbebeszonej skrzynki transformatora. Nałożyłem rękawiczki, ostrożnie, wierzchem palca uchyliłem oznaczone trupią czaszką drzwiczki. W środku, zamiast przemiennika, łącznicy i zestawu bezpieczników, kłębowisko kabli, dwa rzędy styków, do dwóch podłączona czarna słuchawka z tarczą w uchwycie, porzucona na dnie szafki. Poświeciłem bliżej i pochyliłem się ostrożnie, czarna rurka wchodziła w kłębowisko połączeń i ginęła w ścianie, po drodze wychodziła z niej rozgałęzieniem pętla zielonego, elastycznego przewodu zakończona walcowatą złączką wpiętą w płataninę połączeń wypełniających szafkę. Wiecznym piórem szturchnąłem złączkę, zakołysała się raz, przykucnąłem i poświeciłem z dołu chcąc się upewnić. Opisana była po merkińsku. Ostrożnie przymknąłem szafkę i ruszyłem do wyjścia.

*

Na zewnątrz pada drobny zimny deszcz. Otrzepuję płaszcz i kapelusz z kurzu, i wychodzę spod betonowego okapu. Nawet nie zapinam płaszcza, deszcz wałący w pierś przez koszulę budzi, przywraca do świata, do ciała. W przejściu podziemnym kupuję parówkę w bułce i papierowy kubek cytrynady, potem opieram się o ścianę koło lady, i żując powoli, patrzę na przechodzących. Urzędnik z teczką wraca z

nadgodzin, rozluźnił krawat, wymachuje aktówką, po chwili orientuje się, że na niego patrzę, zamarza w formie statecznego marszu jak pięciolatek przyłapany na zabronionej zabawie. Dwóch barczystych młodzików w skórzanych kurtkach, sukiennych spodniach, wysokich butach i wojskowych czapkach, idą gdzieś zdecydowanym krokiem. Drogę przecina im cwaniak w cyklistówce holujący panienkę, panienka zatacza się lekko, cwaniak uważnie lustruje otoczenie, spręża się widząc młodzików, ale po chwili odpuszcza i ściąga panienkę z drogi tamtym; panienka zatacza się mocniej, wpada na ścianę, unosi nogę, ze stopy spada jej jeden z głęboko wyciętych kierpców, ostatniego krzyku mody. Cwaniak przytrzymuje ją, kiedy szuka buta stopą, przytrzymuje ją i twarz mu się wykrzywia, półgłosem opierdala ją od pijanych szmat, których nie można puścić samopas bo zaraz rozłożą nogi przed pierwszym co się nawinie. Przetykam niedopieczoną bułkę, panienka wreszcie wsuwa stopę w but i odbiega od cwaniaka, wpada na przeciwległą ścianę; jej towarzysz dogania ją, i szarpiąc za rękę wyciąga za zakręt korytarza, znikają mi z oczu, tylko jeszcze przez chwilę od sufitu odbija się jego zgrzytliwy głos, coraz mniej zrozumiale.

Plecami i głową odpycham się o ścianę, odgryzam ostatni kawałek parówki z bułki, dopijam cytrynadę, suchą piętękę wyrzucam do pierwszego kosza. Podziemny tunel poza skrzyżowaniem robi się coraz brudniejszy i cuchnący, beżowe płyty pokryte zaciekami po płynach uwolnionych i z

przechodniów i z ciekących w suficie rur, mijam wnękę, potem drugą w której zamarły cuchnące ciała, tylko oczy śledzą moje kroki, przyspieszam, jeszcze jedno gniazdo włóczęgów, wnęka w której kłęb cuchnących włosów i szmat akurat przykucnął pod ścianą zwracając naturze co od niej wziął, wąskimi, ciemnymi schodami wychodzę w końcu na peron, schody, korytarz, drugie schody, korytarz, mijam kurwę holującą klienta do swojej nory, jeszcze jedne schody, w końcu jestem na zewnątrz, na Marchlewskiego, na deszczu.

*

Wysiadłem z dziesiątki przy Norblinie, piramida cięła niebo czterysta metrów dalej. Z bliska wrażenie znika, to nie jest piramida, to płaska kromka wycięta ze środka piramidy, poprzębiana anonimowymi korytarzami, podziuplowana większymi i mniejszymi pokojami, mieszkaniami, biurami, burdelami i geszeftami, trzy dolne piętra to wielkie hale magazynowe. Wejścia od Prostej nie ma, muszę obejść budynek od drugiej strony, zrobiłem skrót przez zrujnowaną parcelę, prześlizgnąłem się pod płotem prosto w niezasypany od lat lej po bombie wgryzający się stopniowo w chodnik, stał tu kiedyś budynek, pozostał po nim drobny gruz i zarysy fundamentów. Wspiąłem się po nich na drugą stronę leja. Brama na Łucką była kiedyś zamknięta na kłódkę, ale dawno temu przyszedł człowiek z nożycami i rozciął łańcuch. Przejście zarastało perzem i barszczem, zamknąłem je za

sobą na ile się dało.

W wejściu do piramidy jest portiernia, zobaczyłem siebie w odbiciu na przyciemnionej szybie; oklapnięty od deszczu kapelusz, ubłocony płaszcz, wzruszyłem ramionami, wszedłem do środka.

Po lewej okienko portiera, lustrzana szyba, po prawej panel domofonu. Wystukałem 1708 na wytartych klawiszach z czarnego tworzywa, po chwili wewnętrzne drzwi odzywają się bzyczeniem. W środku białe ściany, prawa zabudowana rzędami skrzynek pocztowych. Mokre buty ślizgały mi się po podłodze z wypolerowanego kamienia, z ulgą dotarłem do wytartego chodnika rzuconego między wejściem i windami. Wcisnąłem przywołanie, winda przyjechała chyba po pięciu minutach. Drzwi rozsunęły się, pod tylną ścianą stał zwałisty, łysy facet w marynarce na czarnym golfie.

— Na górę — uniosłem brwi?

Kiwnął głową. Wszedłem do kabiny i zorientowałem się, że facet zasłania tabliczkę z przyciskami.

— Na które?

— Na siedemnaste — powiedziałem.

Odwrócił się, wcisnął jakiś klawisz i przekręcił klucz wbity w

tabliczkę sterowania. Drzwi windy zamknęły się, ale nie ruszyliśmy, odwrócił się do mnie.

— Ręce na ścianę.

— Co?

— No już. Albo wysiadka, albo tak.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni po blachę, zanim przypomniałem sobie, że w tym życiu już jej nie mam, po czym odwróciłem się grzecznie, i pozwoliłem się przemacać. Nie był zbyt dokładny. Przekręcił klucz i pojechaliśmy.

Na wysokości jedenastego piętra coś zabrzęczało, winda zatrzymała się gwałtownie, światło przygasło, rozbłysło ponownie przyciemnione, żółtawym ognikiem. Gdzieś nad nami w szybie windy rozległ się dzwonek, dwa krótkie, potem długi, pozostawiający po sobie dzwoniący pogłos.

Ochroniarz zaklął, szarpnięciem przekręcił klucz, prawie wyłamując zamek, wcisnął stop.

— Co jest?

— Psy, z góry i z dołu. Spieprzamy.

Winda przejechała może jeszcze z metr i zatrzymała się.

— Razem — rzucił, wbijając palce w szczelinę między płytami drzwi. Pociągnąłem z drugiej strony, ruszyły z szurgotem, rozsunęły się niechętnie. Staliśmy między piętami, w metrowym przekroju stropu czerniała kratowa kłapa, szarpnięta odskoczyła z brzękiem.

— Szybko, zanim ze sterownika ruszą bo ci nogę albo i głowę upierdoli.

Łysy rzucił się głową w czarny otwór, poszedłem w jego ślady. Tunel był ciasny, na czworakach zapierałem się plecami o szorstki beton, ręce po nadgarstki brodziły w kurzu i pyle.

— Kłapę zamknij, bo będą nas tu szukać.

Popatrzyłem między kolanami, sięgnąłem stopą, jakoś udało mi się zahaczyć kłapę krawędzią buta, szarpnąłem, zatrzasnęła się z brzękiem odcinając światło, ryknął napęd windy, światło kabiny ruszyło w dół, zapadła ciemność.

— Druga w lewo.

Przypadłem do podłoża, rozkaszałem się uniesionym kurzem, walcząc ze skurczami gardła ruszyłem powoli za głosem, co kilka kroków macając boczne ściany. Po kilku metrach wymacałem odnogę w lewo, potem następną, przez ciasny zakręt musiałem się przeciskać na boku. Z przodu coś

szczęknęło, do tunelu wpadło trochę pomarańczowego światła. Ochroniarz wyczołgał się z tunelu, przewinął się w bok, zrobiło się jaśniej. Dotarłem do końca i wyjrzałem ostrożnie, oświetlony małymi jarzeniówkami kanał techniczny, przewody, rury, wodne, ściekowe, w otulinie z błyszczącej folii, z boku wbity w ścianę rząd klamer. Mój towarzysz był już kilka metrów niżej.

Złapałem się klamer wyczołgując się z czarnej czeluści, podciągnąłem się w górę, udało mi się uwolnić jedną nogę ale uciekła mi z klamry w bok, zawisłem na rękach, plecami zaparłem się o rury, poczułem narastające gorąco i smród palonej tkaniny, druga noga odnalazła podparcie, przytuliłem się do ściany. Nie patrzeć w dół.

Odnalazłem stopą niższą klamrę i zacząłem schodzenie.

Na dole duszny korytarz, mój przewodnik przestał zwracać na mnie uwagę, w bok wnęka wymiennika ciepła, pod plątaniną rur wybita w murze nieregularna dziura zastawiona drewnianą paletą, nurkuję za nią, stary korytarz, jakaś piwnica zawalona zakurzonymi skrzyniami z potworackimi oznaczeniami, na ścianie potworacki symbol skażenia, schody w górę, ukośne piwniczne drzwi i jesteśmy w leju po domu na sąsiedniej działce. Łysol w pochyleniu doskakuje do wyjścia na ulicę.

Rozglądam się szybko, nad szczytem piramidy wisi stary

potworacki transporter desantowy, wychylam się lekko w górę, na ulicy przed wejściem kilka pancerek i suka. Z pancerek i transportera łukowe lampy wałą w okna jednego z mieszkań w piramidzie.

Wyczucie i takt dwunastki trudno pomylić z czymkolwiek innym.

Prześliznąłem się znanym wyjściem na Prosta, doszedłem do Towarowej, nie zdecydowałem się czekać na tramwaj, taksówki też były zbyt ryzykowne. I nie wpaść na patrol, ani posterunek, trzeba będzie przemknąć się parkiem. Po drodze wyrzuciłem płaszcz, tak był przesiąknięty pyłem z kanału wentylacyjnego. Próbowałem sobie przypomnieć kiedy spadł mi kapelusz, ale nic mi nie przyszło do głowy. Papierosy na szczęście miałem w marynarce, nadawały się do palenia. Dopiero po drugim aromacie tytoniu zabił stęchliznę kurzu.

*

Byłem zmęczony, wchodząc do swojej klatki spojrzałem na zegarek, prawie północ, myślałem już tylko o puszcze paprykarza szczecińskiego w lodówce, o gorącej herbacie i o łóżku. Uniosłem rękę do włącznika światła, ktoś zarzucił mi na głowę ciężką szmatę, ktoś inny równocześnie walnął mnie w brzuch. Nie zdążyłem się zwinąć, a już miałem ręce skute z tyłu. Fachowa robota.

Zgiętego w pół powlekli kilka kroków w tył, poprawili w żołądek, coś uderzyło mnie w głowę, świat zakręcił się i walnął mnie w bok, huknęła blacha. Bagażnik. Paradoksalnie uspokoiło mnie to trochę, wiedziałem gdzie jestem i z kim mam do czynienia. Teraz zawiozą mnie albo do siebie, dobrze, albo do lasu, źle.

Brzuch bolał.

Jazda była krótka, częste zakręty. Raczej nie do lasu. W końcu przystanek, kłapa odskoczyła. Ku mojemu zdziwieniu ściągnęli mi też koc. Żebym wiedział gdzie jesteśmy. A może nie chciało im się mnie prowadzić. Wyciągnęli mnie z bagażnika na spękany beton szarego wewnętrznego dziedzińca. Nie rozkuli. Dookoła rzędy obojętnych okien; w żadnym nie paliło się światło.

Znałem to podwórze, zawsze skąpane w zimnym, zgniłozielonym świetle jarzeniówek.

Postawili mnie na nogi, weszliśmy w szerokie drzwi. Jak na dół, to jestem aresztowany.

Poszliśmy na górę, trzy piętra. Potem korytarz, drugi, buro wymalowana poczekalnia z twardą ławką, nie kazali mi siadać, gabinet. Za biurkiem szary człowiek w szarym garniturze. Jego też znałem. Pułkownik Jankowski, szef wydziału dwunastego. Zaczął na miękko, rozkuli mnie i

wyszli. Miły, nic nie kosztujący gest. Jak nie danie w mordę. Umiem to docenić.

Jankowski wskazał mi krzesło, usiadłem, roztarłem nadgarstki. Powiedział coś do głośnika na biurku, coś tam zgrzytnęło, po chwili weszła sekretarka i postawiła przed nami dwie kawy, śmietankę, cukier. Zabieliłem kawę, on pił czarną, gorzką. Sekretarka wyszła obciągając w drzwiach kusą spódniczkę za małą o dwa numery, tak, żeby było widać brak majtek. W końcu odezwał się.

— Tak na dobry początek, napijcie się?

Z biurka wyjął kieliszki, pół litra, słoik ogórków w occie.

— Nie piję po służbie.

— Kiedyś to może nie piliście, ale teraz to nie ściemniajcie. Palić też zaczęliście dla legendy a teraz ile przerabiacie?

— Dwie paczki tygodniowo, ale mogę przestać w każdej chwili.

Zaśmiał się sucho.

— Ćpuny co przerabiali i to, i to, mówią, że łatwiej odstawić kompot niż fajki.

Wzruszyłem ramionami, wyjąłem paczkę.

— Mogę?

— Jasne; i mnie poczęstujcie.

Wyjąłem jednego, podałem mu paczkę, przypalił sprawnie, podał mi ogień. Odpaliłem, zamknąłem zapalniczkę, obróciłem ją w palcach, oddałem.

— Po co po jednego fajka wysyłać kocowych?

— Wiecie jak jest; góra naciska, trzeba pokazać że sprawa jest poważna.

— Mhm.

— Jest taka propozycja na wasz temat, Szczepański. Nie chcielibyście wrócić do Służby?

Dość tego lizania się po fiutach.

— W zamian za co?

— Prosta rzecz, zostawcie zlecenie Macyniuka w spokoju, my sami się tym zajmiemy.

— Wziąłem już pieniądze.

— To oddacie, zresztą nawet możemy wam to pokryć, jak macie być tacy stratni. I wracacie na etat specjalisty w dziesiątce. Oficerski.

— Dziesiątka o tym wie?

— Wie.

— A co wam do tego właściwie? Dwunastka przecież nie zajmuje się łapaniem stalkerów i dilerów?

— Nie wasza sprawa. Układ jest układ, nie wpierdalacie nam się, i wracacie do dziesiątki. Rozumiemy się?

— Rozumiemy się. Ale jeśli się zgodzę, to muszę się jakoś wykręcić z układu z klientem.

— Coś wymyślicie.

Milczałem chwilę. Dopilem kawę, to zawsze daje chwilę do namysłu.

— Mogę już iść?

— Możecie.

Wstałem, i kiedy byłem już przy drzwiach powiedział coś niezbyt głośno, czego nie dosłyszałem. Odwróciłem się jego

stronę.

— Słucham?

— Powiedziałem, że mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że ta marchewka oczywiście ma też drugi koniec.

Koc na łeb i do lasu, albo do Wisły, „na Popiełuszkę”.

Wzruszyłem ramionami i wyszedłem.

Na korytarzach nie spotkałem nikogo, kto by okazał, że mnie rozpoznaje. Odwdzięczałem im się tym samym. Na wartowni też mnie nikt nie zatrzymał, wyszedłem na ulicę jak wolny człowiek.

*

Później krążyłem ulicami, sprawdzając czy ktoś mnie nie śledzi. MJ chyba puścił za mną dwóch młodzików, ale zgubiłem ich na Odyńca, wskoczyłem w taksówkę, i kazałem się zawieźć na Targówek. Odszukałem na Kołowej budkę telefoniczną, zadzwoniłem do Macyniuka. W domu nikt nie odbierał, w ministerstwie odbiłem się od ogólnej sekretarki. Poszukałem drugiej budki, zadzwoniłem do „Hydrobudowy”, i zostawiłem Stokowskiemu wiadomość o pękających szalunkach.

Rozłączyłem się z „Hydrobudową” i wtedy automat zadzwonił. Jak normalny telefon. Przypatrzyłem się chwilę. Drrryń-drryń ustało. Zwidy? Nie, zadzwonił znowu. Wyciągnąłem rękę i podniosłem słuchawkę. Ostrożnie, jakby miała mnie ugryźć. Nie da się zadzwonić do automatu.

— Tak?

— Pan Szczepański?

— Tak. Z kim mam przyjemność?

— Spotkaliśmy się w mieszkaniu Stalina. Raczej trudno nas pomylić.

— Zaiste. Czegóż to szanowna pani sobie życzy?

— Pan szuka córki Macyniuka? I trikodera?

— Mhm...

— Macyniuk nam przekazał. Nie mogliśmy się z nim skontaktować, i dopiero wtedy powiedział co i jak.

— Nawet jeśli, to umowa między mną i nim zabrania mi dyskutować o szczegółach z osobami trzecimi.

W słuchawce śmiech.

— Zawsze pan jest taki przejęty rolą?

Westchnąłem ciężko.

— Pracuję za darmo, forszę biorę za przejmowanie się.

— Cóż za profesjonalizm.

— Staram się, proszę pani.

— Niech pan wpadnie do mnie do biura, może ja też skorzystam z pańskiej staranności.

— Wy zdaje się robicie sobie tak starannych ludzi jak wam potrzeba. A ja nie prowadzę dwóch spraw na raz.

— Nikt do tego pana nie nakłania. To raczej propozycja... współpracy, dla obustronnych korzyści. Porozmawiajmy o tym twarzą w twarz. Zgadza się pan?

Przez głowę przebiegły mi wszystkie możliwe permutacje układów sił. Nie miałem dobrego powodu, żeby odmówić.

— Halo? Jest pan tam?

— Jestem. Myślę, że tak.

— Rozumiem, że dzisiaj może pan być... niedysponowany,

proponuję jutro z rana, na przykład o 12.

— Może być.

— Aleje Ujazdowskie 29, główne wejście, wartownia pana wpuści dalej. Do zobaczenia.

— Wiem gdzie to jest. Do zobaczenia — odpowiedziałem machinalnie, i odłożyłem słuchawkę. Potem podniosłem ją jeszcze raz, wyszukałem w kieszeni jeszcze jedną monetę, zadzwoniłem po taksówkę. Dwunastka już mnie zwinęła, Merkini mnie namierzyli. Przynajmniej wrócę do domu jak człowiek.

*

W domu rozebrałem się, poszedłem do kuchni i opadłem ciężko na krzesło. Chyba przysnąłem na chwilę. Potem przymknąłem drzwi, zapaliłem światło, zajrzałem do lodówki, na mojej półce została puszka paprykarza szczecińskiego i paczka macy. Poszukałem otwieracza, Górni nigdy nie odkładają go na miejsce, w końcu poddałem się, i zabrałem wszystko do pokoju, puszkę w końcu pokonałem swoim niezbędnikiem. Usiadłem na łóżku, wyjadając słoną masę nożem, potem odstawiłem na szafkę, chciałem jeszcze wstać się umyć.

*

Obudziłem się z, jak to było? Ból głowy to może mieć Irena Dziedzic, a pana, to zwyczajnie łeb napierdala. Mój łeb odpuścił trochę po śniadaniu z reszty paprykarza; i kielichu, trzymam na takie okazje butelkę winiaku. Po goleniu, natrysku i drugiej kawie poczułem się prawie jak człowiek. Wyszukałem w szafie ostatnią wyprasowaną koszulę, zawiązałem krawat, zamówiłem taksówkę. Od drzwi wróciłem jeszcze do szafy, zimno w głowę. Za zimową czapką i pudełkiem z butami do garnituru leżał kapelusz z szerokim rondem. Zawahałem się, dostałem go od Magdy. Ostatni prezent przed rozwodem. Zaraz potem zaczęło się sypać. Wzruszyłem ramionami, założyłem go na głowę i zszedłem do taksówki.

Kierowca nie odezwał się przez całą drogę od momentu, kiedy podałem adres docelowy, do nieoczekiwanego przystanku na Brackiej, ulicę przegradzał rząd milicyjnych suk. Zomowiec z mankietami drogówki machał rękami i wołał — jechać, jechać — skręciliśmy w Nowogrodzką, wysiadłem przy Kruczej.

Zapomniałem o manifestacjach, przestałem już śledzić czy to studenci żądają zniesienia cenzury, stoczniowcy obniżenia cen wołowego bez kości, pielęgniarzy podwyżek, albo górniczy chrupiących bułeczek. Albo Górniczy zwrotu majątku zabranego przez potworaków. Poszedłem Kruczą, z nadzieją, że boczne wejście od Pięknej nie będzie odcięte. Nie było, tylko daleko pod Sejmem w rytm okrzyków falowały

nieczytelne z tej odległości transparenty, w małym parku z pomnikiem Ofiar Pierwszego Kontaktu stały zaparkowane dwie suki i polewaczka, wiatr od Wisły niósł gryzący swąd gazu łzawiącego. Poszedłem więc do głównej bramy.

*

Poselstwo w Alejach Ujazdowskich zajmowało kilka budynków. Narożny był starą willą, za nim postawili kilka tych swoich szklano-betonowych zwierciadlanych struktur. Między nimi, wycelowane w niebo, zabudowane na solidnych podwoziach podłużne pudła o kwadratowym przekroju. Osłona przeciwbalistyczna. Mało subtelne.

Wartownik, człowiek, spisał mnie, odebrał odcisk dłoni na świecącej niebiesko płytce, po czym wręczył mi brelok-przepustkę i kazał iść za migającym światełkiem.

Światełko breloka skierowało mnie do najbliższej lustranobetonowej wieży, podszedłem do pancernych drzwi, rozsunęły się bez dźwięku. Za nimi jasny, bezcieniowo oświetlony korytarz. Wszedłem na miękką podłogę, popatrzyłem w dół. Coś jakby gruby, jednolicie szary dywan. Obejrzałem się. Moje buty nie zostawiały na nim śladów.

Światełko poprowadziło mnie w głąb, ruszyłem korytarzem, minąłem dwie pary zwykłych drzwi, nad każdymi z gładkiego sufitu wychylała się czarna półkula. W głębi korytarza

następne metalowe, płyty, podszedłem do nich, rozsunęły się zapraszająco, wyszedł z nich niski, zgarbiony facet w nieskazitelnym czarnym garniturze, białej koszuli, błękitnym krawacie i ciemnych okularach. Za drzwiami korytarz miał zaokrąglone przejścia między sufitem, ścianami i podłogą, wszystko pokryte było jednolitym, opalizującym szkliwem. Chciałem tam wejść, ale drzwi zamknęły się, kiedy do nich się zbliżyłem, a przepustka zabrzęczała ostrzegawczo. Światelko skierowało mnie w boczną odnogę „normalnego” korytarza, zamkniętą drzwiami z matowego szkła. Na szkle wypiaszkowano napis:

WYDZIAŁ K³I

Nacisnąłem klamkę i wszedłem.

Nie wiem czego się spodziewałem. Biurowe pomieszczenie, białe gładkie ściany, dwa biurka, dwoje drzwi gdzieś dalej. Jedno biurko puste, za drugim pulchna blondynka w typie Kaliny Jędrusik, przed nią na blacie papiery, szklany kubek z herbatą, kilka opalizujących zielono i złoto płytek.

Sekretarka podniosła głowę na odgłos zamykania drzwi, lekko rozchyliła pełne wargi, błysnęła białymi siekaczami. Zafalowały długie kolczyki.

— Dzień dobry panie Szczepański.

— 'dobry. Ja do...

— Za chwilę będzie wolna. Proszę spocząć tam — za mną, w rogu wskazanym przez „Kalinę” stała potężna, poskładana ze skórzanych prostopadłościanów, kanapa. Podwinąłem połę płaszcza i usiadłem ostrożnie. Po chwili zrobiło mi się gorąco, zdjąłem płaszcz i położyłem obok.

— Może coś do picia? Wody? Herbaty?

— Dziękuję, nie trzeba.

Na ścianie nad biurkami płyta białego tworzywa, z daleka wygląda jak biały kamień. Dopiero po chwili zauważam płaskorzeźbę, w płaskiej powierzchni wycięto kwadrat ideogramów, niżej trzy poziome linie i na nich trójkąt, pod spodem: KOORDYNACJA, KONTROLA, KOMUNIKACJA, INFORMACJA.

Krakowska wyszła z bocznych drzwi, zatrzymała się na mój widok, odwróciła do sekretarki.

— Dlaczego mi nie przekazałaś, że pan Szczepański już przyszedł?

— Nie zdążyłam...

— To ważne. Prosiłam, żebyś mnie informowała od razu —

odwraca się w moją stronę — zapraszam do mnie, panie Tomaszu.

Rozsunęła się płyta ściany obok biurka sekretarki, poszliśmy tam. Gabinet okazał się mniejszy, niż się spodziewałem, i zimno-funkcjonalny. Krakowska odwróciła się, podała mi po męsku rękę. Teraz była ubrana nie w obcisły mundur polowy, a w garsonkę, bluzkę i szeroki krawat. Materiał garsonki z daleka wydawał się granatowy, z bliska zmieniał kolor w zależności od kąta patrzenia.

— Dziękuję, że pan przyszedł.

— Nie ma za co.

— Zawsze mógł pan mnie zignorować.

— Nie stać mnie na tak wysoko postawioną niechęć.

— Tak pan to widzi?

— Tak — skinąłem głową i powstrzymałem się od wzruszenia ramionami.

Pod ścianą z podłogi wyrastał niebieski, kielichowato obły, przezroczysty stolik na jednej nodze, obok niego tkwiły dwa owalne siedziska. Wskazała mi jedno.

— Proszę usiąść, napije się pan czegoś?

— Nie odmówię.

— Kawa, herbata? Może koutk?

— Koutk?

— Import.

— Chętnie.

Kiedy usiadłem, płaska płyta zawieszona nad stolikiem na ścianie ożyła, nabrała głębi, rozległa się cicha, atonalna muzyka. Nie mogłem rozpoznać instrumentów, ale w miarę wsłuchiwania się w pozornie losowe dźwięki, ogarniała mnie melancholia. Jednocześnie, wraz z dźwiękami, we wnętrzu płyty zaczęły poruszać się abstrakcyjne, kolorowe kształty.

Najpierw było kłębowisko biało-zielonkawych pasm, jakby ryb sczepionych gdzieś pyszczkami w środku i falujących na zewnątrz ogonami, w pływającej muzyce włączył się wyraźny rytm i pasma zaczęły krążyć w koło i po spirali, przeplatać się między sobą, zmieniać kolory, łączyć się. W muzyce pojawił się następny ton, pasma zawirowały w kilku spiralnych kłębach, na czubkach niektórych zapulsowały małe koncentryczne kręgi w ceglasm kolorze. Tło zszarzało, zzieleniało w turkus, a pasma płynnie przeszły

przez zieleń w fiolet.

Sekretarka postawiła przede mną bulwiastą szklanę obwiedzioną podobnymi skośnymi pasami i napełnioną brązowym płynem; po czym wyszła bez słowa. Prawie podskoczyłem. Krakowska usiadła naprzeciw mnie i zrobiła jakiś gest dłonią; muzyka ścichła, ale pozostała w tle. Pasma znowu skupiły się w falującą w głębi kulę.

— Podoba się panu? Wyglądał pan jak zahipnotyzowany.

— Co to właściwie jest — wskazałem ścienny wyświetlacz.

— Sztuka.

— Jak obraz? To nagranie?

— Nie, ktoś kiedyś zadał ogólny wzorzec wrażeń, nastrój, tonację, palety barw, rodzaj brzmień, dalej to jest matematyka chaosu. Za każdą aktywacją tworzy coś nowego. Ten nazywa się „Ruiny”.

— Sztuka bez twórcy, jakie to obce.

— Nie podoba się panu?

Wzruszyłem ramionami.

— Podoba. Ale sztuka powinna coś przedstawiać.

Popatrzyła na mnie z ukosa.

— Mówi pan, że to jest obce?

— Tak.

— Technologia jest importowa, ale ten egzemplarz zaprogramował człowiek. Moja, mój... partner.

— Partner?

Wzruszyła ramionami.

— Powiedzmy, mąż.

Podniosłem szklankę, stuknęły kostki lodu wrzucone do napoju, pociągnąłem łyk. Całkiem niezłe, słodko-ostre, mocno szczypało w język. Mógłbym to polubić, gdyby nie to, że zawartość szklanki kosztowała pewnie moją uniwersytecką pensję, jeśli nie dwie.

— Chyba nie ściągnęła mnie tu pani, żeby rozmawiać o sztuce i swoim życiu rodzinnym?

— Nie. Żeby i panu i sobie ułatwić pracę.

— A mniej kwieście?

— Gdyby Macyniuk przyznał się od razu, angażowanie pana nie byłoby mu potrzebne, ale cóż, wolał „zakombinować”. — Cudzysłowy pogardy zadzwoniły o ostry ton, jakim to powiedziała. — Mogliśmy wtedy znaleźć jego córkę w dwie minuty, gdyby o to poprosił.

— Teraz też możecie?

— Trioder możemy, ale nie jest już w posiadaniu jego córki.

— A w czym?

— Docenta Muchy.

Zakrztusiłem się koukiem.

— Tego docenta Muchy?

— To jest ich dwóch? — Otworzyła szeroko oczy.

— Mhm, co ten stary wariat knuje?

— Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć z pańską pomocą.

— Sami nie możecie ich zwinąć?

— Nie. Zaczniemy od tego, że w tej chwili Mucha i trikoty są poza naszym bezpośrednim zasięgiem.

— To znaczy gdzie?

— To znaczy w Obszarze 51.

— Córka Macyniuka też?

— Nie mamy takiej pewności. Prawdopodobnie tak, jeśli żyje.

— Mhm. Obszar 51 to strefa kwarantanny?

— Strefa specjalna. Strefa specjalna Wrocław. Poza naszą kontrolą. Domyśla się pan jak brzmi moja propozycja?

— Żeby tam po nią pojechał?

— Dokładnie tak. To pana działka, ksenoskażenie. A co do szczegółów, to na miejscu pana wprowadzą, przed wpuszczeniem do Strefy.

— Stalker ze mnie żaden.

— Tam to wygląda inaczej, nie trzeba być błotnym cichociemnym.

— Mhm.

— Zgadza się pan?

— Muszę to skonsultować z klientem, wejście do Strefy to nie przepytwanie paru paserów.

— Wystarczy telefon?

— Jeśli uda mi się go złapać.

Wstała i ze swojego biurka wyciągnęła dziwną słuchawkę telefoniczną, bez kabla, podała mi. Odwróciłem przedmiot w dłoni, w cokole na którym naturalnie można było ją postawić, była osadzona tarcza i wystający przycisk.

— Tak po prostu?

— Tak. Miasto przez zero.

Wyszukałem w portfelu wizytówkę Macyniuka, wykręciłem numer do domu. Tym razem odebrała żona.

— Męża nie ma — stwierdziła sucho, kiedy się przedstawiłem.

— Kiedy będzie?

— Nie wiem, przesiaduje teraz nocami w ministerstwie.

— W ministerstwie jest nieosiągalny.

— Mnie pan to mówi? Nie wiem gdzie jest mój mąż!

— Jeśli się pojawi, proszę mu przekazać, że wyjeżdżam z miasta w poszukiwaniu waszej córki, wrócę za dwa, trzy dni.

— Po honorarium?

— Przywiozę Gaję. Mam nadzieję, że żywą. Proszę przekazać mężowi. Do widzenia — wcisnąłem przycisk w podstawie aparatu, połączenie zostało przerwane. Ostrożnie odstawiłem słuchawkę obok szklanki, jednak okazała się całkiem stabilna. Pociągnąłem kouku, tak, zdecydowanie mógłbym to polubić. Krakowska odezwała się tonem rozmowy o pogodzie.

— Macyniuk jest w willi ministerstwa w Aninie. Mają tam kursokonferencję dla dyrektorów departamentów.

— I ich sekretarek?

— I kadr pomocniczych, tak. Dzisiaj — przesunęła palcem po obłej, lekko wygiętej płytce trzymanej w dłoni — były cztery godziny wykładów o możliwościach współpracy międzyplanetarnej, a teraz jest pieczenie barana. Jutro wróci do domu.

— To trikoty takie jak Macyniuka? — Wskazałem przyrząd, które chowała właśnie do kieszeni marynarki.

— Nie. To model służbowy, a on dostał jakiś cywilny, dużo ich jest, nie odróżniam. Ale do rzeczy — na ścianie zapłonął obraz. Rozpoznałem plan Wrocławia.

— Trikoty jest gdzieś tutaj — dookoła zachodniego przyczółka mostu Szczytnickiego pojawił się czerwony okrąg.

— Jak pan będzie bliżej, proszę iść wedle wskazań zegarka. Zna pan Wrocław?

— Byłem raz, jako dziecko. Potem już tam była strefa.

— W obrębie strefy kwarantanny będzie musiał pan poradzić sobie sam, nasze możliwości tam nie sięgają.

— Na szczęście nie przywykłem do korzystania ze wsparcia.

— Samotny, biały żagiel?

— Biały za szybko się brudzi. Ale sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, tak. Odpowie mi pani szczerze na pytanie?

— Jeśli tylko będę mogła.

— Po co... był... wam Stalin?

Zakręciła w palcach pisakiem.

— Chcieliśmy z nim porozmawiać; mieliśmy dla niego propozycję, powiedzmy, współpracy.

— Nie do odrzucenia?

— Dlaczego? Myślę że by jej nie odrzucił, bo dla człowieka takiego jak on legalne wpuszczenie tam gdzie próbował się wwiercić przez nasze linie łączności, to wielka okazja. Ale jakby odrzucił to dostałby tylko lekko po łapach za niszczenie naszych instalacji.

— Ale...

— Ale pół godziny po naszej poprzedniej rozmowie, nadzór sprzętu dostał powiadomienie, że zginął zabity tą głupią spawarką.

— Promiennik to spawarka?

— Tak, a co pan myślał? Że to broń?

— Nie tylko ja.

Westchnęła.

— Gdyby to była broń, to nikt niepowołany nie mógłby jej

użyć, i unieczynnilibyśmy ją zaraz po jej utraceniu. Ale narzędzia nie mają takich zabezpieczeń; trzeba będzie dodać — wyciągnęła z kieszeni swój trikoeder, plastikowym końcem pisaka zakreśliła na jego powierzchni kilka skomplikowanych ideogramów. Znaki rozbłysły i zgasły.

— I niech pan powie córce Macyniuka, że to nie ona zastrzeliła Stalina, chyba tak myśli i jest przerażona.

— Co?!

— Ostrowski chciał, czy chce jej to wmówić. Chyba. Niestety, nasz sprzęt zapisuje okoliczności użycia, ale w dość krótkim oknie czasowym.

— Zapisuje?

— Tak. Datę, godzinę, lokalizację, tożsamość używającego, i jeśli zaszło uszkodzenie organizmu żywego, okoliczności społeczne. Niestety dość krótko i nagrało się tylko, a, zresztą pokażę panu po prostu. Podała mi z biurka cienką płytkę wielkości szkolnego zeszytu, obraz był niezbyt wyraźny, po kilku sekundach poruszył się i dołączył do niego zaszumiony dźwięk. Ujęcie przewinęło się po szarej ścianie, rozpoznałem podziemie pod Rotundą, obraz zatrzymał się na leżącej sylwetce, dookoła głowy rozsypane ciemne, splątane włosy. Trzask wyładowania, głowa leżącego podskakuje, na dole obrazu sunie napis: użytkownik Wiesław Ostrowski. Na

skroni leżącego pojawia się ciemna plama. Punkt widzenia wiruje, odnajduje inną leżącą postać, zbliża się do jej ręki, chwieje się i nieruchomieje. Odzywa się męski głos, spięty.

— Obudź się, stało się coś strasznego

— Mhm... moja głowa, co? — Głos dziewczyny, chyba ten który słyszałem w słuchawce

— Obudź się, Rysiek nie żyje.

— Jak to!?

— Tu leży, poraziłaś go.

Punkt widzenia wiruje, zatrzymuje się do góry nogami, odwracam płytkę. W pole widzenia wchodzi dziewczyna, rozpoznaję ją ze zdjęcia, to córka Macyniuka. Opada na kolana przy leżącym.

— Ale jak... — zaczyna szlochać.

— Pociągnęłaś po nim ciągłym wyładowaniem, potem trafiłaś siebie, dlatego straciłaś przy...

Obraz zatrzymuje się. Podnoszę wzrok na Krakowską.

— Pokażecie to w sądzie?

— Nie możemy. Pan też tego nie widział.

— Jeśli Ostrowski zezna, że to ona jest winna, mała może nawet dostać czapkę.

— Jeśli zezna.

Cisza zawisła w powietrzu, jak pętla nad zapadnią w ciasnej celi na Rakowieckiej. Sięgnąłem do kieszeni po papierosy, ale zmusiłem się do ich schowania. Muszę w końcu to rzucić.

— Chyba bierze mnie pani za człowieka innego rodzaju. Takiego, jakich MJ dobiera wam do dwunastki.

Odsunęła krzesło, założyła nogę na nogę. Nie jak Bolnarowa, dla wrażenia, raczej dla zmiany pozycji na bardziej spiętą. Mimo to, efekt był dużo lepszy. Znowu zakręciła pisakiem w palcach.

— Gdybyśmy chcieli, żeby Ostrowski przestał żyć, cokolwiek pamiętać, żeby się przyznał, albo żeby zaczął nas bezgranicznie kochać, to przed orbitalnym laserem neutrinowym nie schowałyby się nawet w najgłębszej kopalni. Powinien pan trochę zmienić towarzystwo, jeśli odruchowo pan uważa, że chcę pana wynająć do mokrej roboty. To nie czasy potworaków i Przemyków.

— Więc czego chcecie?

— Mówiłam. Niech pan znajdzie dziewczynę i trikoder. Jeśli pan znajdzie Ostrowskiego, to już moja w tym głowa, żeby przed sądem powiedział prawdę. Jeśli nie, trudno, załatwimy to inaczej.

— „My” czy „wy”?

— My — wskazała ręką na plakietkę trójkąta na trzech poziomych liniach na ścianie nad biurkiem — pan niech się zajmie dziewczyną i trikoderem. K³I zajmie się resztą. Możemy nawet zaoferować panu honorarium.

Dopiłem resztę kouku, ostatnia kostka lodu zadzwoniła mi o zęby. Rozgryzłem ją, przełknąłem.

— Nie chcę od was pieniędzy.

Hałaśliwie odstawiłem szklankę na stół, wstałem i podszedłem do okna. Kiedy tu wchodziłem, nie było po drodze schodów ani pochylni, ale teraz widok był jak z trzeciego czy czwartego piętra. Piękną przejechał autobus pozostawiając ogon czarnego dymu, w nieruchomym powietrzu spaliny rozwiewały się powoli. Przez szparę w chmurach zaświeciło słońce, ale zaraz zgasło. O szybę zastukał deszcz. Trzeba wybrać, w lewo, albo w prawo. Odwróciłem się. Krakowska siedziała w tej samej pozycji co przedtem, spokojnie patrzyła na mnie.

— Dobrze, pojedę do Wrocławia.

Uśmiechnęła się, i jakby rozluźniła.

— Cieszę się, że jesteśmy po tej samej stronie.

— W tej sprawie tak, ale nie w innych.

— Rozumiem. — Uśmiech znikł, wróciła maska napięcia. — Jeszcze jedno; skoro pan się zgadza to Rensis Likert, mój szef chce pana obejrzeć.

— Szef? Myślałem, że pani jest szefem K³I.

— Tak. Likert to szef całego bezpieczeństwa misji. Był pan kiedyś w kontakcie bezpośrednim?

— Nie, i nie mam zamiaru; nie ma jakichś tłumaczy?

— Do kontaktu bezpośredniego nie potrzeba tłumaczy. Ale jak pan chce, może być paszczowo.

Nie zaśmiałem się z żartu.

— A jeśli nie pójdę?

— To nie rozwiąże pan sprawy Macyniuka.

Wzruszyłem ramionami.

— Zachowywać się jakoś szczególnie? Nie zachowywać jakoś szczególnie?

— Jak na każdym oficjalnym spotkaniu — teraz ona wzruszyła ramionami. Spodobało mi się co zrobiły jej piersi. Zauważyła to, gwałtownie odsunęła krzesło i wstała. Podeszła do drzwi i spojrzała w moją stronę.

— Idzie pan?

Przeszliśmy do głównego korytarza, tym razem wewnętrzne drzwi pozostały otwarte, kiedy się do nich zbliżyłem. Perłowe szkliwo było śliskie nawet dla moich podszew, ale droga nie trwała długo. Minęliśmy kilka rozgałęzień, następne drzwi, wyszliśmy na zewnątrz. Z tyłu budynku z betonowego placzyku wyrastał szary plastikowy bąbel poszatowany jak baleron siatką lin. Z boku wypuczało się krótkie grube jelito z przejrzystej błony. Skierowaliśmy się w tę stronę, moja przewodniczka rozpięła zamek na zamykającej przejście membranie, wcisnęła się do środka. Poszedłem w jej ślady; w środku było ciasno jak w polsportowskim namiocie. Zewnętrzny zamek został zaciągnięty, po rozpięciu wewnętrznej duchoty uderzyła mnie w twarz. Bąbel okazał się półprzejrzysty, w środku panował szarobrązowy półmrok zaciemniany jeszcze przez las borych szypuł, sopli i błękitnych bulwiastych wypuczeń zwieszających się z pączkujących

elipsami kul.

— Jak się panu podoba pomarańczarnia?

— Niezbyt. Nieapetyczne to wszystko.

Weszliśmy w ciemność perystaltyki fioletowosinych, karbowanych jelit zwieszających się pomiędzy większymi wyroślami. Słabe światło dawały dryfujące tu i ówdzie przezryste kule blasku, moja przewodniczka szła przodem, pewnie wybierając drogę. Coś skórzastego ale suchego chlasnęło mnie w twarz w przejściu i zwinęło się błyskawicznie w górę.

Po kilkunastu metrach wyszliśmy na pustą przestrzeń, ogrodzoną siecią jakby ścięgien odciągających na boki natłok rozbuchanych trzewi. Kilka kul światła krążyło bezładnie. Zaduch zelżał lekko, ale do duchoty szklarni doszła nuta czegoś innego, jakby sklepu mięsnego. Staliśmy przez chwilę nieruchomo, poza gąszczem ścięgien coś wypuczyło się, mlasnęło, zapach mięsa nasilił się, i przez szczelinę pomiędzy dwoma ścięgniemi wszedł Obcy.

Kule światła jakby wyczuły jego obecność, zlały się w dwie duże chmury świetlne które zawisły nad naszymi głowami. Odwrócił trójkątną głowę w moją stronę, znieruchomiał. Poczułem szum w uszach i narastający świad i psychiczny ucisk, taki jaki czuje zawsze kiedy cokolwiek znajduje się tuż

przed moją twarzą, nad nasadą nosa. Zmrużyłem oczy, nieprzyjemne uczucie ustało. Po kilku sekundach miękkie podłoże między nami wypuczyło się kanciastym tobołkiem, cieniejące błony pękły i na niewielkim wzgórku pozostał radmorowski wzmacniacz i kolumna głośnikowa.

Spróbowałem spojrzeć mu w oczy. Ogromne owale czarnego połysku nie miały żadnego wyrazu, jakby nie było w nich żadnej struktury. Małe usta poruszyły się prawie niezauważalnie, z głośnika padło mechaniczne.

— Likert Rensis. Pytać. Zaproszenie.

Zastanowiłem się sekundę. Pytać to pytać.

— Panie Rensis, czemu mnie wysyłacie, zamiast swoich... ludzi?

— Likert dziedziczność, Rensis osobnik wskaźnik. Społeczeństwo protokół.

— Panie Likert...

— Wpływ minimalizacja.

— Moglibyście to zlecić dwunastce. Oni za to pieniądze biorą.

— Dwunastka przewaga pragnienie przeczenie. Ingerencja minimalizacja. Równowaga. Społeczeństwo ster dostęp równowaga.

— A jeśli dwunastka straci przewagę? Wtedy ich poprzecie?

— Przeczenie.

Namyśliłem się chwilę, obcy patrzył na mnie bez wyrazu.

— Dwunastka chce, żebym zostawił tę sprawę.

— Dwunastka szef, pragnienie mnogość, plan mnogość. Gromada dwunastka szef plan całość wspierać przeczenie.

— Dlaczego ja?

— Jedynek być. Potwierdzenie być. Wybór zgoda pytanie.

— Zna pan mój wybór.

— Potwierdzenie. Kierowanie pytanie.

Zamyśliłem się. Przez sekundę poczułem znowu nacisk na nasadę nosa, ale zniknął zaraz.

— Podjąłem się sprawy, i chcę ją doprowadzić do końca, po prostu.

— Wynagrodzenie pragnienie pytanie.

— Nic od was nie chcę.

Dwie sekundy ciszy.

— Porozumienie. Pożegnanie społeczeństwo protokół.
Rozmowa koniec. Kontrola szef pozostać rozkaz.

Cofnąłem się dwa kroki, zlany potem. Zakręciło mi się w głowie, nabrałem głęboko stęchłego powietrza, chyba pierwszy raz od wejścia do pomarańczarni.

— Znajdzie pan drogę? — Odwróciła się do mnie — w tamtą stronę, do ściany, służa jest w rogu.

— Spróbuję.

Zbliżyłem się do pulsujących zarośli, okazało się, że kiedy podchodzić powoli, odsuwają się, unikają kontaktu. Prawie po ciemku dotarłem do wyjścia. Mięsny odór zrobił się nieznośny, przez chwilę szarpałem się z zamkami zanim zorientowałem się, że można otworzyć tylko jeden na raz. Rozbolała mnie głowa, w końcu wyrwałem się na powietrze i odetchnąłem głęboko. Poszukałem papierosów, ale paczka była już pusta. Chciałem rzucić ją na ziemię, kiedy za mną zgrzytnął suwak. Obejrzałem się, kobieta już zapinała za sobą jelito służy.

— Chodźmy.

Bez słowa ruszyłem w kierunku budynku. Byliśmy już w środku kiedy zdecydowałem się odezwać.

— O co chodzi z tym jedynakiem?

— To kiepskie tłumaczenie, na coś co jest dla nas nieprzetłumaczalne. Chodzi o to, że pan nie należy do żadnej Gromady i jest w stanie funkcjonować.

— No ale to słowo, co znaczy?

— Istotę pojedynczą, jako przeciwieństwo grupowej. Coś jak sierota u nas.

— Nie wierzę w te ich gromady. Były różne badania, różne eksperymenty, Oni nie mają wspólnej świadomości.

W drzwiach do gabinetu odwróciła się do mnie z dziwną miną, potem wzruszyła ramionami.

— Obowiązku wiary nie ma. W cokolwiek — dorzuciła już znów odwrócona do mnie plecami.

Z biurka wyciągnęła długie, cienkie papierosy, w pokoju zaczęło coś szumieć, poczułem prąd powietrza, zapaliła, zaciągnęła się. Nie poczęstowała mnie.

— Wie pan, było dokładnie wiadomo kiedy zespół Feknera będzie sprawdzać te hipotezy. Byłam wtedy w osłonie.

— Oni... wiedzieli, że prowadzimy taki eksperyment?

— Wiedzieli.

— Czemu nie zaprotestowali?

— Religia, czy raczej filozofia im zabrania. Szanują to, że nie wierzymy oficjalnym danym, a im nie wolno odmawiać innym dostępu do wiedzy. Mieliśmy tylko się upewnić, że Instytut nie spróbuje któregoś pomysłu Docenta Muchy. Niektóre były nieco... agresywne.

Roześmiałem się nagle.

— Pamiętam, że chciał porwać dwóch Merkinów, wypreparować im mózgi, wszczepić elektrody i sprawdzić czy drażnienie jednego spowoduje pobudzenia drugiego. Nikt by się nie zgodził na coś takiego, to jak wypowiedzenie wojny. Weber i Fekner robili rzeczy bardziej pokojowe.

— I powierzchowne. Miałam z tym urwanie głowy, bo nie mogliśmy w żaden sposób wam przeszkadzać, a nie byliśmy pewni co właściwie chcecie zrobić.

— Przecież mogliście uderzyć przez Ministerstwo Kontaktów i

zaraz by nam to zablokowali.

— Pan nie rozumie.

— Czego?

— Kiedy zasada, jak oni to określają, dyrektywa im czegoś zabrania to tego nie robią. Tak samo jak Likert wycofał się z pańskiej głowy kiedy zorientował się, że sobie tego pan nie życzy. Przy okazji, wystarczyło powiedzieć wcześniej.

— Bardzo szlachetne — warknąłem — mówiłem. Chyba nie dość wyraźnie. Może powinienem dać to na piśmie, na dziennik.

— Jasne zasady ułatwiają funkcjonowanie społeczeństwa.

— Te zasady mają jakąś przyjętą formę?

— Tak. Chce pan wiedzieć jak dokładnie brzmi ta o dostępie do informacji?

Kiwnąłem głową. Kobieta przymknęła oczy na chwilę zamyślenia.

— To nie jest dobry przekład pierwszej dyrektywy, ale to idzie tak: „Strzeż się tego, kto odmawia ci dostępu do wiedzy, gdyż śni on o władzy nad tobą.”

— Ładne. Ale mamy tu rozmawiać o filozofii czy o ratowaniu córki Macyniuka?

— Właśnie, mam panu wydać sprzęt — przesunęła palcami po biurku, po chwili do pokoju weszła sekretarka, położyła na blacie białe, podłużne pudełko, i wyszła bez słowa obciągając błyszczącą bluzkę pod biustem.

Nieufnie przyjrzałem się zawartości pudełka widocznej przez przejrzyste wieczko.

— Mam już zegarek, bardzo dobry.

— Proszę przymierzyć.

Przez chwilę szukałem zamka, w końcu pokrywka odchyliła się wzdłuż górnej krawędzi na niewidocznym zawiasie. Wyłuskałem zegarek z gniazda w sprężystym białym tworzywie, przełożyłem rękę przez stalową bransoletę, odnalazłem suwak do jej zaciśnięcia. Zegarek był ciężki i chłodny.

— Ma pan już świetny zegarek, ale ten ma dodatkową funkcję. I nie taką jak pan myśli, wręcz przeciwnie. Proszę przytrzymać wciśnięte kółeczko do nakręcania.

Odszukałem wystający grzybek, wcisnąłem. Wskazówki cofnęły się do bezsensownej kombinacji, sekundowa obiegnęła

całą tarczę i zamarła na 12. Puściłem przycisk, wskazówki wróciły do normalnych pozycji, sześć po w pół do jedenastej.

— Godzinowa wskazuje kierunek, minutowa odległość, skala jest logarytmiczna w metrach, sekundowa liniowo odległość w metrach. Poradzi pan sobie?

— Poradzę sobie. Odległość i kierunek do czego? — Poprawiłem stalową bransoletę na nadgarstku, sprawdziłem jak się odpina.

— Do trikodera Macyniuka.

— Niezłe.

Swój zegarek schowałem do kieszeni.

— Tak myślałam, że się panu spodoba. Jeszcze przepustka, sekretariat panu wystawi. Po przyjeździe do Oleśnicy proszę się zgłosić do biura przepustek przy punkcie kontrolnym C. Wyślę im wiadomość, tam są ekipy zwiadowcze. Przeszkolą pana na ile to jest możliwe i doprowadzą tak blisko jak się da.

— Dalej mam sobie poradzić sam.

Skinęła głową i wstała. Wyciągnęła rękę.

— Powodzenia.

*

W sekretariacie K³I „Jędrusik” w błyszczącej bluzce przebiegła palcami po gładkiej płytce ułożonej na biurku, potem wyciągnęła z małej szufladki kolorowy błyszczący kartonik. Obejrzałem go dokładnie później, idąc do bramy. W tle trójwymiarowy znak Merkinów, bliżej — kolorowe chaotyczne mozaiki opisane jeszcze jakimiś numerami. Schowałem przepustkę do portfela, wziąłem płaszcz i kapelusz, sekretarka nie zaszczyciła mnie więcej ani jednym spojrzeniem. Na wartowni oddałem breloczek i złapałem taksówkę, kazałem się wysadzić na placu Narutowicza.

Pobłądziłem pomiędzy starymi, kanciastymi domami, aż upewniłem się, że nikt mnie nie śledzi i znalazłem automat w pobliżu Hali Kopińskiej. Starannie wykręciłem 232-334398-99-4310838. Sygnał wołania brzmiał inaczej niż normalnie, jakby bulgotliwie. Po ośmiu sygnałach chciałem już odkładać słuchawkę, kiedy po drugiej stronie pajęczarskiego połączenia szcęknięło. Rozmówca dyszał, świstem astmatyka, nie atlety.

— Słucham. Iiiich. Aaaachh.

— Salomon? Możesz?

— Mogę. Aaaach. Wiem. Iiiiiiiich-uuuuuch.

— Facet z Sadyby, dałeś mu numer. Co on ma z dwunastką?

— On gra pod Kura, iiiich, przeciw Bolnarowi. Chhhhh. Dwunastka gra z Bolnarem. Iiiiiich. Nie mogę więcej teraz — świst oddechu i szcęk odkładanej słuchawki.

*

Do domu dotarłem po godzinie, na Zachodnim nie było taksówek. Po drodze zrobiłem zakupy, na obiad odsmażyłem sobie kaszanę bez cebuli, i zacząłem się pakować.

Chciałem wziąć starą skórzaną kurtkę, ale przypomniałem sobie jak kojarzy się cywilom, i odwiesiłem ją do szafy. Jak się ubrać na stalking? Miałem jakieś moro, ale też nie chciałem wyglądać na ZOMO-wca. W końcu zapakowałem się jak na góry. Dołożyłem wystrzępiony wojskowy plecak. Starą tekturową walizkę spiąłem dwoma skórzanymi paskami.

Z biurka wyjąłem drugi portfel, stary, składany w pół, ze znaczkiem Stoczni Szczecińskiej; przełożyłem do niego kolorową przepustkę do strefy, legitymację Instytutu i zezwolenie na broń. VIS-a w szelkach założyłem pod starą sztruksową marynarkę, na wierzch poszła ortalionowa wiatrówka.

Stanąłem przed lustrem, podskoczyłem dwa razy, nic nie dzwoniło. Zmierzyłem się wzrokiem w odbiciu. Lekko łysiejący, szpakowaty facet odpowiedział mi zmęczonym spojrzeniem podkrążonych oczu. Roztarłem palcami skórę pod oczami. Na nos nieśmiało wpełzały mu rozgałęzione czerwone kreski, nie było ich tam jeszcze pół roku temu, jakby pojawiły się w zadośćuczynieniu za utraconą obrączkę. Ręką odszukałem ukrytą we włosach bliznę, jakby się zmniejszyła. Gdzieś w kościach czekało zmęczenie, czyhające tylko na osłabienie siły woli. Poprawiłem broń, dopiąłem marynarkę, przypomniałem sobie, że kupiłem ją jeszcze przed ślubem. Wytarła się, ale dalej się w nią mieściłem, tylko twarz wystająca z kołnierzyka nie była już twarzą pełnego entuzjazmu młokosa, którą pamiętałem z lustra przymierzalni w Państwowym Domu Towarowym. Młokos został gdzieś w przeszłości, w którymś zadymionym pokoju przesłuchań, zgarbiony nad zacinającą się maszyną do pisania, a może zagubił się w pościgu za figurantem w błotnistych zaułkach Starego Miasta. Nie pamiętałem już, gdzie dokładnie.

Z zamyślenia wyrwało mnie bicie zegara u Górnych, spojrzałem na nadgarstek, nowy nabytek załśnił gładką stalą. Czas. Pociąg i tak się pewnie spóźni, ale nie ma co ryzykować.

*

— Oleśnicę proszę. Normalny, druga klasa dla niepalących.

Ręka kasjerki wyciągnęła się do maszynki do wystawiania biletów i zamarła. Kobieta odwróciła się do okienka i popatrzyła na mnie zmęczonym wzrokiem.

— Przepustka jest?

— Jest. — Wyciągnąłem z portfela kolorowy kartonik i położyłem w okienku. Przyjrzała mu się.

— Dowód. Proszę. — Jakby przypominała sobie jak powinna działać uprzejmość.

Wyjąłem, podałem. Wyciągnęła z szuflady paczkę formularzy, zaczęła spisywać dane z dowodu, potem przeciągnęła przepustką nad niewielkim urządzeniem schowanym pomiędzy biurkowym bałaganem. Błysnęło czerwone światełko, rozległ się cichy gong, i z czarnego walca wysunął się zadrukowany pasek papieru. Kwitek został przypięty zszywaczem do formularza, całość wylądowała przede mną.

— Podpisać imieniem i nazwiskiem, czytelnie.

— Przejrzałem dane, rzuciłem okiem na niezrozumiałe literowo-liczbowe kody na małym świstku, dopisałem datę, podpisałem.

— Sto dwadzieścia złotych.

Odliczyłem banknoty, kasjerka wybiła mi bilet i dostałem go razem z przepustką i dowodem. Sprawdziłem czas, jeszcze czterdzieści minut. Zszedłem w podziemia, w kiosku kupiłem zapas papierosów i „Politykę”, gazetę wsunąłem pod spinające walizkę paski. W spożywczym woda mineralna, butelkę „Grodziskiej” upchnąłem do walizki. Nigdy nie jem w pociągu. Trzydzieści minut. Wyszedłem na powierzchnię bocznym wyjściem, od strony rakiety. Dookoła perymetru rozstawiono dodatkowe barierki blokujące jezdnie, na ogrodzeniu błyskały lampy ostrzegawcze. Nad perymetrem uniósł się ciemny kształt dużego transportera i przypomniałem sobie plany Instytutu. Merkini udostępnili nam ciężki sprzęt penetracyjny, dzisiaj miała być pierwsza próba.

Pod transporterem podwieszony był podłużny pojemnik. Podnieśli maszynę jeszcze wyżej, przesunęli bliżej rakiety. Cała ściana, ta skierowana w stronę maszyny, od strony Jerozolimskich zapłonęła na pomarańczowo. Szybko spojrzałem w bok i przedramieniem zasłoniłem oczy, w takich sytuacjach jest pięć sekund ostrzeżenia. Budynek Złotej 44 wyczuł zagrożenie i okrył się lustrzanym cieniem.

Nie błysnęło, zdążyli wycofać. Na szczęście. Przy poprzedniej próbie, z użyczonej przez Merkinów superpancerki został tylko rozmazany cień na szkliwie. Z superpancerki i z trzech

osób załogi.

Nawet do końca nie wiemy jak to działa, po prostu bliżej nie podejście żadna maszyna, ani obwieszony sprzętem człowiek. Człowiek bez sprzętu, zależy. Od człowieka, od fazy księżycy i od nie wiadomo czego. Takich którzy mogą podejść zawsze, jest bardzo mało.

Wróciłem na dół, zajrzałem do bufetu, ale żadne z jajek w majonezie nie wzbudziło mojego entuzjazmu, wziąłem barszcz z pasztecikiem. Wydał mi się najmniej obrzydliwy; zgłodniałem, a tam się jednak długo jedzie. Megafon oznajmił podstawienie pociągu.

Z Warszawy zawsze wyjeżdżam z trzeciego peronu, dokąd bym nie jechał. Nie wiem czemu. Znalazłem przedział z jednym miejscem zajętym, od strony korytarza siedział jakiś facet. Kiwnąłem mu głową, wybrałem miejsce po skosie, przy oknie, plecami do kierunku jazdy, wyciągnąłem gazetę i wodę, walizkę wrzuciłem na półkę. Po chwili dosiadł się jeszcze jakiś młodziak w skórzanej kurtce, to teraz największy szpan, ubierać się jak bezpieczniacy z czasów potworaków. Skóra, cyklistówka, oficerki, spodnie do konnej jazdy. Rzucił w powietrze neutralne „bry”, wrzucił na półkę obdartą wojskową kostkę pomazaną długopisem w kanciaste „TSA” i „Republiki” i wyszedł na korytarz — pod oknem wagonu maśliła się do niego przyjemna — na ile było widać przez brudne szyby — blondynka. Po chwili ruszyliśmy.

Wyciągnąłem gazetę i dyskretnie obejrzałem faceta przy wejściu, raczej nie wyglądał na takiego co ma zniknąć w Kutnie z moją walizką kiedy przysnę. Znoszony brązowy garnitur nie dopinał się na wydatnym brzuchu, wygnieciony, za ciasno zawiązany krawat, koszula w cienkie brązowe paski, popękane buciki błyszczące od pasty „emu”, łysina, okrągłe okulary. Wyglądał jak główny księgowy ze zjednoczenia przemysłu ciężkiego, który kiedyś wynajął mnie, żebym przemówił do rozumu jego synowi. Chłopak razem z kumplami chodził pod rakieta, skrobać mazisty porost pojawiający się na wewnętrznej stronie słupków ogrodzenia perymetru. Opowiadali o kolorowych przywidzeniach jakich dostawali po wtarcu sobie tego w skórę. Załatwiłem im pełne odkażanie na Banacha, po starciu pumeksem naskórka z całego ciała człowiek dobrze się zastanowi zanim zacznie gdzieś wsadzać ręce. Szczęśliwy tatuś załatwił mi talon na „malucha”. Samochód zabrała mi Magda, po rozwodzie.

Z ciągu skojarzeń wyrwał mnie podniesiony głos.

— No, i kto to puścił! — Poczzerwieniały Księgowy machał ręką pokazując w moją stronę. Odwróciłem gazetę, na pierwszej stronie na trzech linijkach rozstrzelono tytuł, obok wmontowane zdjęcie.

KUR

WIE

LEPIEJ

— Niezły tytuł — mruknąłem — z jajem. — Kur był przewodniczącym egzekutywy Komitetu Kontaktów Kosmicznych.

— Ale jak tak można! Jak oni się dowiedzą to będzie incydent, przecież to obraźliwe. Nie można obrażać przewodniczącego KKK! Nie wolno!

— Oni to mają gdzieś co my sobie w gazetach wypisujemy, to nie potworaki, to nasza władza utrzymuje cenzurę, żeby nikt im nie fikał.

— No co pan opowiada! Skąd pan to wie, przecież to oni nam mówią jak budować społeczeństwo.

— Trochę mówią, wie pan. Głównie jak robić geszeft. Reszta to już my sami.

Księgowy nadał się, z bagażu wyciągnął wałówkę: kanapkę w zatłuszczonym papierze śniadaniowym, jajko na twardo i pomidora, i zaczął je obierać i pożerać. Popił herbatą z zapakowanego w postrzępioną gazetę termosu w kratkę, po czym naburmuszony usiadł w kącie, zasłonił twarz zwisającym z haka prochowcem i po chwili zachrapał ostentacyjnie. Przeczytałem wstępniak Rakowskiego,

przeczytałem felieton Urbana i recenzję Wilhelmięgo chlastającego nowy film Wajdy, wciągnął mnie reportaż Hłaski z rekultywacji Strefy w Legnicy. Napilem się wody. Za oknem przedziału szarzało. Przysnąłem w końcu.

Ocknąłem się w Koninie, drzwi przedziału rozsunęły się z hurgotem, przez zasłonki z nadrukowanym godłem PKP wsunęła się głowa w trwałej. Egzaltowany głos zażywnej paniusi zapytał czy to miejsce pod oknem jest wolne. Przetarłem oczy, Księgowy potwierdził. Poprawiłem się na siedzisku, z kolan zsunęła mi się gazeta. Schyliłem się po szeleszczący plik, prawie zderzyłem się z młodym, który zerwał się z siedziska aby szarmancko wrzucić na półkę walizkę starej prukwy. Śmierdzące naftaliną cielsko opadło na ławkę obok mnie, aż ścianka przedziału zajęczała z odkształcenia.

— Przepraszam bardzo, to pańska gazeta?

— Co? Tak, moja.

— Mógłbym przejrzeć, czy czyta pan teraz?

— Nie, proszę — nieprzytomnie machnąłem ręką z gazetą w stronę młodego.

Przejrzał ją szybko, rozłożył na dziale kulturalnym, przysunął do twarzy rozmazany druk, prawie nieczytelny w żółtym

oświeceniu przedziału, uśmiechnął się.

— Coś ciekawego?

— Puszczają w końcu *Wyjście z cienia* Bugajskiego, słyszał pan o tym?

— Mhm...

— Nakręcił to jeszcze za potworaków, ekranizacja Zajdla.

— Myślałem, że na niego jest zapis.

— Na książkę nie. Film uwalili na kolaudacji, ale — uderzył dłonią w gazetę — w końcu puszczają.

— Pan filmowiec?

— Trochę — młody chciał jeszcze coś powiedzieć, ale umilkł nagle pod karcącym spojrzeniem Księgowego. W końcu rzucił tylko.

— Pan do Rawicza jedzie?

Nie mogłem odmówić sobie satysfakcji.

— Nie, do Oleśnicy, a właściwie to do Wrocławia — uśmiechnąłem się szeroko.

Młody zrobił się czerwony, wyjąkał tylko — przepraszam, ja nie...

Machnąłem ręką.

— Nie bądźmy takimi formalistami. Podobno ten młody, jak mu tam, Pasikowski ma kręcić *Małą Apokalipsę*, czasy się zmieniają.

Księgowy popatrzył na mnie z nienawiścią. Stara prukwa rozpakowywała kanapkę, niezainteresowana naszą rozmową. Odpuściłem dalsze drażnienie chłopaka, oficjalnie Wrocław był ciągle jeszcze obłożony kwarantanną po wybuchu epidemii ospy dwadzieścia lat temu. Tych, którzy mieli oficjalne powiązania z miastem, traktowano z pewnym chłodem, zarezerwowanym dla nosicieli rzadkich, groźnych i ale w zasadzie oficjalnie nie zakaźnych chorób.

Nieoficjalna wersja była podobna, Strefa Specjalna, strefa epidemii. Tylko że zamiast Sanepidu ze wsparciem Służby, zajmował się nią wydzielony Czwarty Zarząd, mieli swoich ludzi, których zabierali od nas jak im podpasowało, mieli oddelegowany batalion zabezpieczenia, samych zawodowych trepów. Czasami jakiś młody chciał się dowiedzieć o co chodzi, zaczynał podpytywać, węszyć, grzebać w papierach, zostawać po godzinach. Tydzień, dwa tygodnie później przychodził rozkaz przeniesienia, podpisany przez uprawnienie 219.

Młody wolał nie ryzykować kontynuacji tematu, mi nie chciało się drażnić Księgowego. Patrzyłem w okno, na monotonie płynące pola jesiennego błota w zapadającym zmroku.

*

Młodziak wysiadł we Wrześni, razem z utapirowanym babsztyłem. Przed Rawiczem przeszedł nowy konduktor, sprawdzając bilety i przepustki.

— Dostaniemy osłonę? Od nich? — Wyrwany ze snu Księgowy rozczesywał palcami resztki włosów.

Konduktor pokręcił głową.

— Mówią, że to nasi powstańcy, to sami sobie mamy z nimi radzić. Jest lora SOK-u z przodu.

— SOK to wiesz pan co...

Konduktor wzruszył ramionami i zatrzasnął drzwi do naszego przedziału. Wiedział co. Zasnąłem znowu.

*

Z płytkiego snu wyrwał mnie huk i bolesne uderzenie w głowę. Otworzyłem oczy, ciemno, właściwie półmrok. Coś

błysnęło, huknęło jeszcze raz, wagon podskoczył i z ogłuszającym zgrzytem zamarł przekrzywiony.

Mój zwyczaj siadania plecami do kierunku podróży opłacił się na tyle, że na nic nie wpadłem. Za to na mnie spadła teczka z przeciwległej półki, oraz Księgowy. Któraś jego twarda część walnęła mnie jeszcze w żołądek. Zepchnąłem go z siebie, zamamrotał coś półprzytomnie.

Zapałem się o ukośną podłogę, złapałem półkę, ściągnąłem walizkę. Za oknem błysnął ostry reflektor omiatający całą długość pociągu, zatrzymał się gdzieś w przedzie składu, zaszczękała seria z pm, pojedynczymi strzałami odpowiedziało kilka luf. Nie czekając na efekty bohaterstwa osłony SOK-u przekroczyłem trzymającego się za głowę Księgowego, na korytarzu pusto, nieliczni podróżni kulą się pewnie w przedziałach, licząc na ułaskawiający wyrok statystyki trafień z maszynowej broni palnej.

Młotek bezpieczeństwa oczywiście już dawno komuś się przydał, wyciągnąłem uszczelkę z okna uciezkowego, uderzyłem w nie łokciem, drugim trzeci, nie idzie, poprawiam kolbę VIS-a, w końcu szkło pokryło się siatką pęknięć i dało się wypchnąć z ramy. Wychyliłem się, w dole zajaśniał nasyp. Wyrzuciłem plecak, oceniłem wysokość, skoczyłem w jego ślady. Od strony lokomotywy długa seria z cekaemu, wybuch granatu, potem mocniejszy, powstańcy chyba mieli moździerz. Złapałem plecak i pochylony

ruszyłem w kierunku tyłu pociągu.

Na wysokości ostatniego wagonu odbiłem w las, oczy już całkiem przystosowały się do ciemności i kiedy tylko po prawej zajaśniała smuga przecinki skręciłem między drzewa. Spojrzałem na zegarek, niestety ten nie miał świecących wskazówek. Od strony pociągu jeszcze jeden wybuch, strzelanina ucichła. Zszedłem z przecinki i przytuliłem się do drzewa, uspokoiłem oddech. Przez las przebiły się czerwone odblaski, jeszcze jeden wybuch, chyba płonęła nieszczęsna lora SOK-u. Serią głębokich oddechów przywróciłem jasność umysłu, wsłuchałem się w las. W oddali okrzyki, tu szum. Jeszcze głęboki wdech i ruszyłem biegiem.

*

Przebiegłem może ze sto metrów, kiedy coś podcięło mi nogi, z rozpędu przejechałem kilka metrów po piachu przecinki. Kiedy się zatrzymałem, usłyszałem charakterystyczne szczęknięcie zamka od RAK-a i znieruchomiałem. Po chwili zbliżyły się dwie pary nóg, objął mnie krąg światła.

— Co za jeden?

— A nie wiem, spieprzał i wjechał się prosto na nas.

— Do Wilka go trzeba dać, niech go przesłuchają.

— Ja bym rozwalił, jak spieprza to ma powód. Pewnie ubek albo i co gorszego.

— To już Wilk zadecyduje. Ty tam, wstawaj, słyszysz?

Nie ruszyłem się. Ziemia była twarda i mokra, ale dawała mi stały układ odniesienia, a to cenna rzecz w dzisiejszych czasach.

— No nie udawaj chuju, wstawaj, aż tak mocno cię nie stuknąłem. Nie graj mi tutaj teatru. Liczę do trzech — znowu szczęknął zamkiem — a potem strzelę ci w dupę. Raz...

— Daj spokój, chcesz go nieść?

— No to go rozwalę po prostu, słyszysz chuju? No wstawaj!

Oparłem się o walizkę i powoli wstałem na nogi, przysłaniając oczy dłonią spróbowałem dojrzeć nosiciela latarki.

— No! Bierz toból i idziemy — głos od strony światła przepełniła satysfakcja. Podniosłem bagaż i ruszyłem, plecami do światła.

Po kilkudziesięciu metrach wyszliśmy na inną przecinkę, doprowadziła nas do drogi.

— Jeńca mam! Do Wilka!

Z lewej coś błysnęło, ruszyłem w tamtą stronę, latarnik za mną. Cień wyszedł nam na spotkanie.

— Co to za jeden?

— Uciekał z pociągu, złapałem. I jest.

— Dajcie go na ciężarówkę, i zwińcie czymś, czemu nie związany?

— Nie mielim czym.

— Tam powinny być jakieś sznury, no ruchy, już!

Coś szturchnęło mnie w plecy, ruszyłem dalej. Po kilkunastu krokach w ciemności wyłonił się kształt poobijanego stara, pchnięty zdecydowanie w plecy wrzuciłem walizkę na pakę i wskoczyłem do środka. Przez okienko szoferki biło słabe światło. Za mną wskoczył jeden z leśnych, pchnął mnie w stronę wąskiej ławki w przedzie wozu, zatoczyłem się w tamtą stronę, w zgięciu złapałem porzuconą na pace łopate, z odwinienia walnąłem go w brzuch trzonkiem. Z jęknięciem skulił się i upadł wypuszczając broń. Puściłem łopate, złapałem lecący peem zanim uderzenie w podłozę mogłoby spowodować przypadkowy wystrzał, padłem w bok i przeładowałem. Leżący jęczał cicho, ale umilkł, kiedy

szturchnąłem go w głowę lufą RAK-a. Objął mnie krąg światła z latarki, przeczołgałem się do tyłu za leżącego.

— Zaraz go kurwa zdejmę stamtąd — coś szcęknięło, szamotanina.

— Czekaaj, durniu, trafisz Siwego i co...

— Nie trafię, weź ta ręka, kurwa no, weź, nie przeszką...

— Ja zaraz trafię Siwego — powiedziałem głośno — z przystawienia, w kręgosłup. Rzućcie broń — szturchnąłem lufą leżącego w plecy, aż jęknął — no już.

Dwa ciche łupnięcia. Wyjrzałem na zewnątrz.

— Oświetlcie broń — krąg światła latarki obrysował na ziemi dwa metalowe kształty, jeden po drugim — cofnijcie się pięć kroków.

Latarka zadrgała, cofnęła się.

— Czego chcesz?

— Zabierzecie mnie do Wilka, ale po mojemu. Jako pasażera.

Przyciągnąłem nogą kłęb pasów do mocowania ładunku, spiąłem „Siwemu” ręce i nogi, związałem razem „na świnię”,

zeskoczyłem na ziemię.

— Który prowadzi?

— Ja — powiedział nowy głos gdzieś z tyłu, błysnęło niebieskie światło. W bok ukłuło mnie elektryzujące zimno, poczułem jak wiotczeją mi kolejno wszystkie mięśnie, resztką sił zwałem się w bok, w krzaki, żeby nie walnąć głową w klapę ciężarówki. Ostatnie posłuszeństwa odmówiły powieki.

*

Przytomność odzyskałem dużo wcześniej niż władzę nad ciałem. Leżałem na pace, w wykręcone z tyłu ręce wrzynała się twarda stal, podrzuty na wybojach dawały znać szarpnięciami przywiązanych ciasno do kajdanek kostek. Jechaliśmy tak może z pół godziny, przejechaliśmy przez płynącą wodę, wtedy udało mi się otworzyć oczy, ale nie zmieniło to nic w moim oglądzie świata. Zatrzymanie, jakieś głosy, wóz rusza powoli, na niskim biegu, może dwie minuty jazdy, zatrzymanie stłumione głosy. Łupnięcie otwieranej klapy, ktoś wskakuje na pakę.

— To ten?

— No ten. Kutas złamał Siwemu zebro. — Kopnięcie w bok.

— Czym?

— Łopatą mu jebnął. Dopiero Chujbert załatwił kurwia ogłuszaczem.

— Heh, wreszcie mu się przydała ta zabawka, od pół roku ją brał na każdą akcję. Rozwiąż nogi temu kozakowi, trzeba go do Wilka zaprowadzić.

— Jeszcze może być miętki, godzina nie minęła.

— Poradzim se.

Poczułem szarpanie przy kostkach, szczęknęła klamra, stopy opadły bez mojego udziału, złapali mnie za ramiona i postawili na nogi. Ktoś poklepał mnie po twarzy. Kolana nie mogły złapać równowagi.

— Ty, chuju, możesz chodzić?

Język w ustach był jak szmata, spróbowałem coś powiedzieć ale z wydałem z siebie niezrozumiały bełkot. Zrobiłem krok, drugi, ktoś pchnął mnie w plecy, niezgrabnie spadłem z ciężarówki, wylądowałem na lewej stopie, która zgięła się nienaturalnie. Upadłem na bok. Ktoś się zaśmiał.

Podnieśli mnie za ramiona i poprowadzili, powlekli w stronę kłębowa światła i ruchu. Głowa latała mi na boki, ale udało mi się dojrzeć przykrytą siatką maskującą pancerkę, sylwetki ciężarówek, pod nogami wydeptana w błocie ścieżka

wzdłuż rzędu namiotów, potem zejście w dół, zarośnięty chwastami rów łącznikowy, jeszcze w dół, schody z desek powbijanych w błoto, po bokach ukośnymi skarpami wyrastają ściany, stukot drewnianych drzwi, przejście przez maskującą siatkę. Zatrzymanie, półmrok, posadzili mnie na chybotliwej ławie z trzeszczących desek. Przewaliłem głowę z boku na bok, szyja bardziej sterowalna, spróbowałem utrzymać głowę nieruchomo, pole widzenia prawie nie pływało. Poruszyłem ustami, językiem, nogą, syk bólu nie zamienił się w bulgocący śliną bełkot.

Wnętrze ziemianki było oświetlone pełgającą żarówką zwisającą na gołym drucie nad zasłanym mapami stołem, nad mapami dwóch z dystynkcjami, w tle gadający telewizor. Prowadzace postawili mnie do pionu, jeden zasalutował.

— Panie komendancie, porucznik Jarogniew melduje się z jeńcem po wykonaniu zadania.

— Spocznij. Skąd macie jeńca?

— Spieprzał z pociągu w las, wylazł prosto na posterunek. Złamał żebro Siwemu.

— Co to za jeden? Przeszukaliście?

„Jarogniew” zmieszał się.

— Próbowaliśmy przeszukać, kiedy złamał żebro Siwemu.

— Sprawdźcie mi co to za jeden, teraz.

Obróciłem językiem w gębie, odchrząknąłem.

— Wystarczyło zapytać — odezwałem się, jeszcze lekko bełkotliwie.

Komendant odwrócił się błyskawicznie w moją stronę, twarz mu się zmieniła. Rozpoznał mnie.

*

Kiedyś był wysokim, szczupłym facetem, skakał wzwyż i biegał jak szatan, a kolejki dziewcząt ustawiały się, aby spojrzeć w jego niebieskie oczy pod słomianą grzywką. Teraz nie miał włosów, czaszkę opinała ciasno wełniana czapka. Niżej twarz nieogolona, blada, przecięta głębokimi szramami po doświadczeniach i odłamkach, twarz ściągnięta w maskę wojownika. Rękawy zomowskiej kurtki podwinął do łokci, na jednym przedramieniu rozgałęziona blizna.

— Rozkuć mi go — rzucił do porucznika; porucznik wyczuł zmianę nastawienia, teraz jego manipulacje przy moich nadgarstkach były prawie delikatne. Roztarłem przedramiona, ręce mi drżały.

— Co ty tu robisz, do konia?

— Muszę się dostać do Wrocławia.

Zastępca złapał go za ramię, Lechu wyrwał je z uścisku, spojrzał na tamtego.

— Co, kurwa?

— Panie komendancie, to może być prowokacja...

Uśmiechnął się.

— Kurwa, Mirek, nie przysłaliby na prowoka faceta o którym wiem, że jest ubekiem na sto procent.

— Już nie jest — odezwałem się w nagłej ciszy, starannie nie patrząc na ręce półświadomie poprawiające kabury, ani w oczy obliczające kąty strzałów. Patrzyłem na Lecha.

— Odszedłem ze Służby kilka lat temu, wywalili mnie właściwie. Możesz sprawdzić, pracuję teraz w Instytucie Ksenotechniki.

Zaśmiał się.

— Pokaż papiery. No kurwa, za co cię wyjebali?

— Powiedziałem górze co myślę o włożeniu w dupę sektoidom. Papiery mam w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kiwają głowami, sięgam powoli po portfel, wyciągam legitymację, podaję. Oglądają podejrzliwie.

— Przepustkę do Strefy mam służbowo.

— Spluwę też?

— Mam uprawnienia konwojenta artefaktów, wbite w legitymacji. Sprawdź sobie. Spluwa przysługuje.

— Po co do Strefy?

— Mam coś przywieźć.

Świsnął przez zęby. Zastępca skończył przeglądać starannie moje dokumenty i szepnął mu coś do ucha. Lechu kręci głową.

— Niech będzie. Zygmuntowi się nie podobasz za bardzo, ale... — macha ręką. Trzeba się czegoś napić, a potem odstawimy cię gdzieś dalej.

Podał mi rękę.

— Gdzie tu się można wysrać?

*

Z rozmaitych wygod domyślałem, się że obozowisko w tym miejscu trwa już dość długo, wydeptana przez gęste zarośla ścieżka zaprowadziła mnie do latryn, solidnych, obudowanych słomianymi matami, osłoniętych od góry brezentem. Obok stało nawet wiadro wody z czerpakiem.

Przytrzymując latarkę w zębach wytarłem mokre ręce w spodnie i ruszyłem na dalszy zwiad, ścieżki do latryn zbiegały się z kilku kierunków.

Po zgaszeniu latarki było nawet coś widać, przez drzewa ze wszystkich stron przebijały się światła obozowiska. Niezbyt się przejmowali rozpoznaniem orbitalnym.

Boczna ścieżka łukiem omijała kanciasty kształt po lewej, ostrożnie wyciągnąłem rękę. Chropowato zimny metal. Cofnąłem się, sięgnąłem po latarkę, przesunąłem wyłącznik i zamarłem na dwa uderzenia serca.

Potworacka pancerka. Na wieżyczce jeden z miotaczy celował prosto we mnie.

Ręka mi zadrżała, cienie na pancerzu zafalowały i wzrok odszukał to co nie pasowało do wrytego w pamięć wzorca. Na tylnym pancerzu, trochę cieńszym, owal półtorametrowej przestrzeliny, na wieżyczce oblażąca maskująca farba

poznaczona czarnymi śladami płomieni.

Ostrożnie podszedłem do przestrzeliny, ostrożnie poświeciłem w głąb. Cokolwiek to było, przeszło przez bieguny stojana i uzwojenia jak przez masło, zostawiając gładko wytopione krawędzie. Powiał wiatr, zagwizdały szczeliny wentylacyjne, z przestrzeliny zaleciało spalenizną, gdzieś w tle był ten charakterystyczny ostry smród potworaków. Zebrało mi się na wymioty, odepchnąłem się od pancerza, odszukałem ścieżkę, oparłem się o drzewo. Nabrałem głęboko powietrza.

Gdzieś w pamięci odezwała się dawno zapomniana komórka, wypełniona hukiem płomieni i przeraźliwym wyciem zamkniętych w trafionym skocie ludzi. Wtedy konwój prowadziły Jednostki Nadwiślańskie, nie potworaki, ale „leśni” o tym nie wiedzieli. Zasadzili się na nas zaraz przy zjeździe na Ośrodek 43, mieli ciężki miotacz, którym spalili pierwszą pancerkę, nikt nie wyszedł...

Żołądek skręcił się w nagłym spazmie, opadłem na kolana i rzygnąłem żółcią, ciemność i szum lasu rozplynęła się w czerwonym huku krwi w głowie, świat roztapia w echu wybuchu tamtego reaktora.

*

Do rzeczywistości ściąga mnie szum deszczu bijącego w

gałęzie. Zimne krople rozpryskują mi się na twarzy, unoszę z ziemi ręce jak łopaty, szukam swojego ciała. Udaje mi się wstać, odnaleźć ścieżkę, nie oglądam się za siebie.

Wchodzę między ziemianki, z wejść niedokładnie zasłoniętych kocami, ze szczelin w krzywych drzwiach na ścieżkę padają nieregularne zygzaki migotliwego światła, odbijają się w błotnistych kałużach.

Idę powoli, próbując wytrzeć ręce z błota i ściółki. W końcu wycieram je w kurtkę. Potykam się o wystający ze ścieżki korzeń, nadwerężona kostka daje o sobie znać ostrym ukłuciem. Zatrzymuję się, i rozpracowuję uraz poruszając stopą, ostrożnie przenoszę na nią ciężar ciała. Świetlny zygzak na ścieżce faluje, przesuwa się przez niego pasmo cienia; z którejś z ziemianek słyszę podniesiony głos.

— Jak przychodzę do ciebie, to jestem dobra, tak? A dzieckiem to sama się będę musiała zająć?!

Gaszę latarkę.

— A skąd mam wiedzieć, że to moje, nie tylko do mnie tu przychodziłaś, a co było przed świętami z Zygmuntem i Hubertem?

— O czym ty pierdolisz?

— Nie ściemniaj, Zyga się wygadał po pijaku jakie balety odstawialiście! I jeszcze, że z tą rudą, od pułkownika, jak jej tam, Marzeną. żeście pokaz lizania pizdy zrobiły! To też opowiedział!

Wiem, jak teraz musi wyglądać jej twarz. Chwila ciszy. W końcu dziewczyna chlipie.

— Starzy mnie zabiją, rozumiesz? Ojciec cię lubi, powiedział, że jak wyjdiesz na ujawnienie, to da ci pracę, weźmiemy kredyt, kupimy mieszkanie... jest ta amnestia, po co masz tu siedzieć w lesie... pobierzemy się...

— I będę wychowywał cudzego bachora!

— Twojego — chlipie — to już czwarty miesiąc, lekarz mówił, a to z Zygą, i, i Marzeną, to później dopiero było, przedtem tylko z tobą... proszę cię...

Idę dalej. Znowu gęstwina.

— Stać! Czego tu!? — Młodziak z karabinem wyskakuje na mnie z krzaków przy małej polance, na której krzyżują się ścieżki.

— Hasło!

— Nie znam, przyjechałem dzisiaj, jestem gościem

komendanta. Zgubiłem się.

— Ręce do góry! — Lufa karabinu zatacza nerwowe ósemki.
— Unoszę dłonie na wysokość ramion. Młodziak jest nerwowy, chyba trzyma palec na spuście. Jeszcze mu się omsknie.

Idziemy do szefa warty, cały czas zastanawiam się, kiedy młody się potknie i pośle mi kulkę w plecy. Szef warty wzywa „Zygmunta”, który pojawia się po kwadransie. Dalej się nie lubimy.

— Szpiegujemy, co?

Wzruszam ramionami.

— Zgubiłem się idąc z kibla, nie macie tu poznaczanych ulic, tak jakby.

Mierzy mnie wzrokiem.

— Masz szczęście, że komendant właśnie kazał cię znaleźć.
Idziemy.

Idziemy.

*

Pod zbitą z krzywych żerdzi wiatą, przykrytą deskami, brezentem i siatką maskującą, długi stół, przy stole kilka sylwetek, ostre światło karbidówki prześwituje przez oka siatki. Dosiadam się. Przedstawienia. Ja jestem „Tomasz”, tamci to „Nowak”, „Niedźwiedź”, „Zuzanna”, „Skała”. No i Lechu. „Zygmunta” nie ma. Na stole bateria butelek wódki, jeszcze skwiercząca patelnia kiełbas i kaszanki. Łapię jakiś talerz, widelec, nakładam, dobieram chleba. Dopiero po dokładce uświadamiam sobie jaki byłem głodny. Wódczana konwersacja zamiera, odzywam się.

— Ta pancerka koło sracza, to wasza robota?

— No, ale to dawno, jeszcze za potworaków. Jeszcze jak Borsuk był komendantem.

— Czym żeście ich załatwili?

— A takim miotaczem.

— Potworackim?

— Niiieeee... Ze zrzutów.

— Jakich zrzutów?

— No, merkińskich przecież.

— Merkini wam zrzucali zaopatrzenie?

— No raczej, przecież zanim potworaki się wyniosły i oni tu przylecieli, to co miesiąc mieliśmy transporter z jakimś gównem, konserwy, broń, ciuchy, raz nawet gumki przysłali, lepsze od stomilowych były. Pamiętacie te merkińskie erosy?

— Ryknął do przeciwległej ławy. Odpowiedział chór głosów. Wypito kolejkę za zdrowie. Drażyłem dalej.

— A te miotacze od merkinów to jeszcze gdzieś są?

— Ieee — beknął — jak przylecieli to przestały działać, wyjebaliśmy w pizdu, nic się nie dało z nimi zrobić już. Ale teraz znowu mamy dostawy sprzętu od nich — zaśmiał się charkotliwie.

Po drugiej stronie stołu ktoś kłócił się o wyniki strzelania z sześćdziesiątki czwórki. Ktoś wstawał, ktoś dopijał resztki z butelek — żeby było do czego strzelać. Siedziałem wpatrując się w rozkrzyczanych ludzi. Na końcu stołu ktoś rytmicznie wbijał nóż w stół pomiędzy palcami rozłożonej płasko dłoni, coraz szybciej, aż do krzyku bólu i uniesienia zranionej dłoni. Z żołądka narastało usypiające ciepło. Znad ludzi w jesiennym powietrzu unosiły się kłęby pary.

Maskująca siatka odchyliła się, spojrzałem w tył. Przewieszony przez ławę „Zygmunt” tłumaczył coś Lechowi, ten szybko odwrócił się do stołu.

— Cisza — ryknął. — Lotnik!

Wszyscy nagle przetrzeźwieli o jedną kolejkę.

— Do schronu?

— Nie ma czasu, zasłona dymna. Światła!

Zgasła lampa, w ciemności coś syknęło, stuknęło o dach wiaty, spowił nas ostry chemiczny zapach. Ludzie ucichli.

— Zasłona, nie gaz miał być — mruknął ktoś.

— Morda!

Zapach zrobił się drażniący, naciągnąłem na usta i nos kołnierz kurtki. Przez coraz gęstsze kłęby dymu widać jak gasną światła obozu.

Trwaliśmy tak może z minutę, obok mnie ktoś po omacku odszukał szklanę, zamarł upomniany syknięciem, kiedy szkło stuknęło.

Gdzieś w górze odezwało się głucho buczenie, powoli głośniało, narastało, nie mogłem ustalić kierunku, głuchy huk nadchodził ze wszystkich stron, trwało to może ze dwie minuty, potem zaczęło cichnąć.

Odgłos przelotu roztopił się wreszcie w szumie lasu. Powiał szarpiący wiatr.

— Alarm odwołany!

Zapalono lampę. „Zygmunt” półgłosem ustalał coś z Lechem. Po drugiej stronie stołu ktoś chybotliwie wspinał się na ławę, z której spadł.

W resztkach mgły płomień lampy falował żółtopomarańczowo. Odkaszlnąłem, splunąłem na ziemię. Amoniakalny posmak w ustach nie ustępował. Sztuczny opar rozwiewał się powoli, opadał drobnym gryzącym pyłem.

— Wysoko przeszli.

— A niech zejść niżej, proszę bardzo, jak zejść za nisko to mamy dla nich coś specjalnego, Misiek, skończ po żądło.

— Teraz panie komendancie? — Brodaty olbrzym z ociąganiem odstawił wódkę.

— No już Misiek, biegusiem, to rozkaz!

— Tajes' — wstał powoli, i zataczając się lekko zniknął w ciemności za siatką.

Popatrzyłem na Lecha. Beknął i nalał sobie wódki, pociągnął

łyk, spojrzał na mnie.

— Co? Co się tak wgapiasz?

— Zmieniłeś się.

Wzruszył ramionami.

— Zmieniłem się. I chuj.

— Pamiętam jak nie mogłeś wybrać, literaturoznawstwo czy politechnika.

— I co, po polibudzie skończyłbym jak ty, zbierając śmieci z przydrożnego obozowiska Obcych. Piknik sobie zrobili, a ty skaczesz dookoła i sprzątasz po nich śmieci. Jaśniepaństwo życzy popielniczkę? Już przynoszę. Jaśniepaństwo życzą wódki!? Już przynoszę! Jaśniepaństwo życzy rzygać? Już lecę z wiadrem! Jaśniepaństwo życzy srać? Już lecę po nocnik!

— Wystarczy, kurwa, dotarło, no!

Wrócił Misiek z trzymetrową rurą przerzuconą przez ramię, złożył ją ostrożnie w poprzek stołu, przewrócił przy tym butelkę wódki.

— No jak kurwa uważasz, no jak?

— Pan komendant kazał, to przyniosłem — wzruszył ramionami.

Lechu mruknął coś i pokazał na burozieloną rurę.

— Żądło. Mogę tym zdjąć z nieba każdy pierdolony nolski transporter, ich własną bronią.

Pochyliłem się nad rurą, w okolicach uchwytu pokryta była drobnymi rządkami merkińskich ideogramów. Wyglądało na autentyk.

— Skąd to macie?

Zaśmiał się

— Zajebaliśmy z ich magazynu.

Pokiwałem głową.

— Nieźle. Naprawdę nieźle. Użyliście ich już?

— No, raz czy dwa — zawahał się.

— Na ludzi, czy na nolaków?

— A chuj ich tam wie kto tam siedzi, tam w środku.

Napiłem się wódki, zagryzłem wystygłą kiełbasą. Od ziemi ciągnęło zimnem.

— Pamiętam twoje wypracowanie o tym, że życie ludzkie jest najważniejsze, bo mamy tylko to czym jesteśmy.

Odstawił wódkę, przestał drugą ręką głaskać burą rurę.

— Teraz jest wojna — burknął w końcu i potarł nieogolony podbródek.

— Taka tam wojna...

— A co, mam siedzieć w mieście i lizać dupę Obcym? Tak jak ty?

— Pisałeś niezłe wiersze — mruknąłem cicho znad szklanki.

— Ja to zabiorę, panie komendancie — wtrącił się Misiek — jeszcze ktoś to wypadkiem odpali jak ostatnio, a już tylko dwa zostały.

— A zabieraj, w chuj, i jak będziesz wracał to zawołaj Marzenę, niech tu przyjdzie, napije się z nami.

Olbrzym z wysiłkiem załadował rurę na ramię i odszedł w mrok.

— Nie przypominaj mi tamtego — powiedział nagle Lechu.

— Czego?

— Wszystkiego. To było inne życie. Aż po moich starych przyleciało białe światło. Wiesz, jak to się odbywało? Pancerka pod domem stawia pole paralizujące, potem przylatuje statek-matka, białe światło, i dom pusty, tak ich zabrali. Wiesz jak to się odbywało, pewnie im pomagałeś w takich akcjach, chujku. Pomagałeś, współpracusiu? Pomagałeś, kurwa?! — Zaczął się szarpać z kaburą.

Walnąłem szklanką o deski blatu.

— Potworaki nigdy nie brali ludzi do pomocy, i dobrze kurwa wiesz, że moi starzy zginęli zaraz na początku, w bombardowaniu Woli! Nie miałem dokąd pójść!

Wymamrotał coś niezrozumiale, odwrócił się w bok i wrzasnął.

— Jadźka, dawaj spirytus! Trzeba wypić!

Gwar rozmów przycichł, wszyscy nagle spowaźnieli i zaczęli wstawać. Pojawiła się Jadźka — kawał krótko ostrzyżonej baby w moro — z torby sanitariusza, wyciągnęła baterię kieliszków i butelkę, zaczęła rozlewać.

Nikt się nie ruszał, Jadźka skończyła rozlewać, wyjęła zapalki i podpaliła zawartość wszystkich kieliszków. Wzięła jeden i cofnęła się o krok, uniosła go na wysokość twarzy i wpatrzyła się w płomień. Inni zaczęli brać po kieliszku, na końcu sięgnąłem ja, po mnie Lechu. Uniósł swój wysoko, patrzył chwilę w pełgający ogieniek.

— Za tych co nie dożyli — powiedział cicho, zdmuchnął płomień i wychylił zawartość. Odpowiedział mu cichy pomruk niezgranych głosów, zdmuchnąłem swój płomyk, ciepły spirytus palił i oszałamiał. Odstawiłem kieliszek i opadłem na ławę.

Poczułem na ramieniu lekkie dotknięcie, coś miękkiego i przyjemnie pachnącego otarło się o mnie, i już wciśnięta między nami siedziała ruda dziewczyna o ostrej brodzie. Ubrana w moro, ale czyste i chyba nawet odprasowane.

— Znowu piliście za ludzi, Lechu?

Kiwnął głową.

— Prosiłam przecież żebyś odpuścił, nie do życia potem jesteś.

Mruknął coś niezrozumiale.

— Nie co ja tam wiem, trzeba myśleć o tym co jest tu i teraz.

Przedstaw mnie nowemu towarzyszowi — odwróciła się do mnie, uśmiechnęła zalotnie. Wielkie oczy miała szarozielone, niżej wąski nos, cienkie usta, dołek w brodzie.

— Tom, to jest Marzena, a to Tomasz, mój brat, cioteczny.

— Zostajesz z nami, w lesie?

Pokręciłem głową — jestem... przejazdem.

— Dokąd?

— Do Strefy.

— Stalker?

— Nie. Tak. — Machnąłem ręką — jadę po coś konkretnego, nie na szaber.

— Po co?

— Po człowieka.

— Kogo?

— Taka panna, prysnęła z domu — wzruszyłem ramionami.

— Przejmujesz się.

— Córka znajomego.

— I tak po prostu, głupia panna leci do strefy, a ty zaraz z nią?

— Wiszę mu przysługę.

Pokręciła głowę w niedowierzaniu, odwróciła się do Lecha, stuknęła z nim szklankami. Po drugiej stronie stołu „Nowak” ryknął nagle.

— Która godzina?!

— Dziesiąta zaraz. Co?

— Dajcie urbana. Zaraz będą dawać powtórkę. Misiek, lecisz!

Brodacz zniknął w ciemności i po kilkunastu sekundach wrócił z małym telewizorem, znalazł się samochodowy akumulator, zaśnieżył niebieski ekran, wypłynęła z niego znajoma twarz Suzina, potem plansza Studia Sport.

— Kto gra?

— Powtórka Górnika Zabrze z Widzewem.

Przechyliłem się przez Marzenę, szturchnąłem Lecha w bok.

— No?

— Potrzebuję podwody, gdzieś do cywilizacji. Albo się przespać.

Lechu potarł szczecinę na podbródku.

— Chcesz prosto do strefy?

— Albo do miasta.

— I co, pokażesz się tam jako cudownie ocalony z pociągu?

Myślałem chwilę.

— A jak inaczej?

— Mamy tu jednego zaprzyjaźnionego stalkera. Teraz cię podrzucimy do gospodarstwa niedaleko, tam się prześpisz, rano będzie podwoda do miejsca spotkania z tym gościem, z nim do Strefy. Dobry jest.

— Mhm. Niech będzie.

— Skała, leć po łazika, Tomasza trzeba będzie odwieźć do Marty. A my wypijemy strzemienego!

Wódka rozlała się po stole, zadzwoniły kieliszki, zagryzłem

kawałkiem wystygłej kiełbasy. Na zewnątrz zawinęły reflektory samochodu, podałem kilka rąk.

Samochodem okazał się poobijany żuk ze „Skałą” za kierownicą. W świetle sufitowej lampki okazał się bysiowatym dwudziestoparolatkiem z krótko ostrzyżonymi włosami. Wsiadłem ostrożnie, zatrzęsnałem drzwi.

— Jeszcze trzeba podejść do kwatery komendanta, po moją walizkę.

Skinął głową, ruszyliśmy wolno między ziemiankami, po chwili zatrzymaliśmy się przy znanym mi już zejściu. Chłopak lekko wyskoczył z samochodu, zniknął pod ziemią, po chwili wrócił z moją walizką. Wykręcił sprawnie i wjechaliśmy na wyjeżdżoną ścieżkę. Po stu metrach wyjechaliśmy spoza zabudowań obozowiska, po następnych stu silnik nagle gaśnie, kierowca rozpędem zjeżdża w skośną przecinkę.

— Co jest?

— Benzynę zapomniałem wziąć, zaraz... zaraz wracam — to mówi już stojąc na ziemi, za samochodem. Znika w ciemności. Głowa opada mi do tyłu, przymykam oczy.

*

Nagły zgrzyt, drzwi żuka z łomotem odbijają się od burty

samochoду.

— No i co — „Zygmunt” stoi o krok, jak oświetlony podsufitową lampką duch, patrzy zimno — zebrałeś wywiad i wypierdalasz? Nie dali „pluskwy”, żebyś miał łączność?

— Nie dali. — Kręcę powoli głową.

Szybka kalkulacja, ja nie mogę go zastrzelić, ani postrzelić. On może. Walka na pięści, ja sztywny od porażenia i ze zmęczenia, on wypasiony na leśnym wikcie. I trzeźwy. Robię krok w jego stronę, schodzę z drogi w przecinkę, potykam się o schowany w piasku korzeń. „Zygmunt” cofa się, unosząc broń, ja z jękiem opadam na kolana.

Światła żuka biją w las snopami jasności.

Głowę mam pochyloną, widzę tylko nogi „Zygmunta”, i zwieszoną rękę z lufą broni. Trzeba to dobrze zgrać, nogi, ręka, ręka, głowa... teraz! „Zygmunt” robi krok, zaczyna podnosić dłoń z bronią, moja prawa ręka zaciska się, lewa odbija broń, prawa sypie mu w oczy mokrym piachem, z wybicia całym ciałem walę go z byka w splot słoneczny, z rykiem pcham przed siebie, aż jego plecy z chrupnięciem zatrzymają się na upatrzonym wcześniej drzewie. Coś strzela mi w szyi. Prostuję się, wyrywam mu broń, i zanim odzyska orientację poprawiam kolbą w szczękę. Opada na ziemię powoli, jak pusty skafander bez ciśnienia. Zostawiam go tam.

Z peemu wyciągam magazynek, przeładowuję broń na pusto, wrzucam cały złom na tylne siedzenie, siadam na fotelu kierowcy oddychając ciężko. W końcu zamykam drzwi, odpalam samochód i zawracam.

*

Zatrzymuję samochód przed wiatą, otwieram drzwi, nie mam siły wysiąść. Spod siatki wyskakuje drobna postać, Marzena. Za nią powoli, lekko zataczając się, Lechu.

— Gdzie on jest, szpiclu?! — Dziewczyna łapie mnie za klapy kurtki, prawie krzyczy.

— Pogadaliśmy sobie — wzruszam ramionami — chciał mnie zastrzelić — patrzę na Lecha, ten wzrusza ramionami.

— Co z nim zrobiłeś!?

— Obiłem go trochę, leży tam — macham ręką za siebie. — Nic mu nie będzie. Jak mu się żebra zrosną, znowu będzie mógł z tobą fikać.

Dostaję pokazowego plaskacza, szyja wybucha bólem, ale nie cofam głowy, zachowuję kamienną twarz; widząc brak reakcji Marzena jeszcze pluje mi w twarz. Nie patrzę na nią.

— Lechu, wystawiłeś mnie? — Wycieram twarz rękawem z

lepiej wilgoci, pocieram rozbity policzek, dziewczyna znika w ciemnościach.

— Nie, miał cię zabrać do zaprzyjaźnionej chaty, ale... — znowu wzrusza ramionami. Zaczyna mnie boleć stłuczony czubek głowy.

— Kiepsko dowodzisz, jak taki obszczymur ci się stawia. Mam tam sam jechać?

— Teraz ja cię zawiozę.

— Ja poprowadzę — mówię — tylko powiedz gdzie. I weź kogoś, żeby cię odwiózł z powrotem.

Lechu znika pod wiatą, słysząc stłumione rozkazy, wychodzi zapinając płamistą kurtkę, wsiada obok mnie. Na miejsce z tyłu wsuwa się Misiek, resory osiadają. Wrzucam bieg.

*

Leśną drogą dojechaliśmy do spękanej asfaltówki, gdzieś na granicy światła i pola widzenia przebiegł szary ogoniasty kształt, chyba lis. Potem skręt oświetlony samotną sodówką na słupie, za nim chałupa.

— Tutaj.

Zamknięta brama, furtka, wiejskie podwórze. Lechu zastukał do drzwi. Otwiera kobieta w długiej sukni, rzuciła mu się na szyję. On przytulił ją krótko, wymienili kilka słów. Weszliśmy do środka.

— Jak się czujesz? — To do mnie.

— Zaraz będę rzygał.

Głowę miała po marynarSKU przewiazaną kraciastą chustką. Przyglądała mi się uważnie, kiedy kuśtykałem do krzesła, i opadłem na nie ciężko.

— Kto to?

Miała przyjemny, matowy głos.

— Mój brat. Dostał w łeb, a potem z porażacza.

Pociągnęła nosem.

— A potem wódki. Nieźle traktujesz braci.

— To cioteczny. Zresztą, nagle się napatoczył, znikąd, nie wiedzieliśmy, że to on. Zajmiesz się nim?

— Mam wybór? Izbę chorych tu powinnam otworzyć, ciągle mi jakichś połamańców podrzucasz.

Wzruszył tylko ramionami, odwrócił się do mnie.

— Jutro po ciebie przyjedzie ktoś, mamy takiego znajomego stalkera, zaprowadzi cię do Strefy, tak jak chcesz. Zadowolony?

— Zadowolony. Tak.

Podał mi rękę, w drodze do drzwi pocałował kobietę w policzek, przesunął dłonią po jej ramieniu, zjechał na kibić. Przytuliła się do niego, on przycisnął ją do siebie i wyszedł. Trzasnęły zewnętrzne drzwi. Odwróciła się do mnie.

— Jak ci na imię?

— Tomasz.

— Marta. Zrobię herbaty. Głodny jesteś?

— Poobijany. Herbaty bym się napił.

— Dasz radę przejść do kuchni?

Zniknęła w sieni. Podniosłem się zapierając się o oparcie krzesła i utykając ruszyłem za nią. Rozbita noga strzelała bólem. Kuchnia była duża i skąpana w ciepłym świetle. Usiadłem przy ścianie, na szerokiej ławie. Zastukał czajnik stawiany na żeliwnych fajerkach.

— Jest tu gdzieś łazienka?

— Po drugiej stronie. Pokażę ci.

Zaparłem się o krzesło, udało mi się podnieść bez jęknięcia, ruszyłem za nią. Ubrana była w coś długiego i szarego, co nie było obcisłe, ale nie ukrywało też kształtnej sylwetki. Pokazała mi umywalnię, przecisnęła się obok mnie, kiedy stałem w drzwiach.

Nalałem wody do miski i zanurzyłem w niej ręce. Mokrymi zdjąłem kurtkę, marynarkę, koszulę, chlapiąłem sobie wodą w twarz. Umyłem ręce, do łokci, potem wylałem wodę i nalałem świeżej. Spojrzałem w lustro. Odpowiedziała mi maska śmiertelnego znużenia.

*

Obmyty na ile się dało wróciłem do kuchni, napiłem się wystygłej herbaty, gospodyni obserwowała mnie uważnie.

— Wyglądasz, jakbyś miał się zaraz przewrócić.

Kiwnąłem tylko głową, pokazała mi łóżko w sąsiednim pokoju. Usiadłem na nim i zasnąłem, zanim zdążyłem się położyć.

*

Obudziło mnie ciepło i ruch, uchyliłem powieki, poruszyłem ręką, odgarnąłem włosy. Przysiadła na krawędzi łóżka wciśnięta w mój brzuch. Było już jasno. Pochyliła się nade mną w cienkiej koszuli nocnej. Pogładziła mnie po twarzy.

— Ładnie pachniesz.

Moja ręka wysunęła się spod kocy, odszukała jej plecy, zjechała niżej. Pociągnąłem ją w dół, tak, że leżała wtulona we mnie. Pomogła mi w ściągnięciu koszuli. Wtuliła się we mnie mocniej, kiedy poczuła, że sztywnieję.

Ściągnąłem z niej koszulę, moje dłonie odnalazły jej piersi, zacisnęły się. Poruszyła biodrami, zamruczała. Ścisnąłem palcami jej sutki, jęknęła gardłowo. Nagle zeszywniała.

— Nie tutaj!

— Co? Czemu?

— Nie mogę tutaj, w tym łóżku.

— To gdzie?

Podniosła się, podeszła do starego fotela w rogu sypialni, przysiadła na obitej materiałem poręczu. Nie zasłaniała się, patrzyła w moją stronę spokojnie, dumna ze swojego ciała. Skórę miała bladą, sutki też, pod wpływem podniecenia

prawie nie ściemniały.

— Tutaj. — Zmrużyła oczy — chodź.

Ostrożnie usiadłem, opuściłem nogi. Kostka strzyknęła bólem, ale słabiej niż wczoraj. Podszedłem, uniosłem jej brodę, rozchyliła usta. Kiedy je całowałem, jej język odszukał mój. Przesunęła się do tyłu, odchyliła, teraz siedziała prawie okrakiem. Przesunąłem dłonią po jej piersiach, ścisnąłem lekko sutek jęknęła, zjechałem w dół, do czarnego trójkąta, odnalazłem cel. Druga ręka objęła jej pośladek. Jęknęła niżej, bardziej gardłowo, rozsunęła uda, odnalazła moją sztywność. Przysunąłem się bliżej, zarzuciła mi rękę na szyję, podciągnęła się, objęła mnie udami, objęła mnie swoim śliskim ciepłem i wilgocia.

Kostka zapłonęła mi ostrym bólem, jęknąłem i zachwiałem się. Puściła się, opadła na fotel. Odsunąłem się.

— Co?

— Noga mi nie wytrzyma.

— To inaczej, czekaj...

Przewinęła się przez oparcia, teraz klęczała na siedzisku, tyłem do mnie, spojrzała na mnie przez ramię, rozsunęła kolana. W rozszerzonych oczach miała tylko zwierzęce

pożądanie.

Pchnąłem jej głowę na oparcie, dopasowałem się, obiema dłońmi złapałem ją w talii i pchnąłem, raz, drugi, trzeci, czwarty... jęczała tylko cicho. Sięgnęła pod siebie, jej ręka otarła się o mnie i dołączyła do rytmu naszego spojenia. Nie wiem po jakim czasie, gdzieś u podstawy kręgosłupa zapaliła mi się zielonym ogniem iskra, połączyła z drugą u podstawy żołądki, nabrały światła aż do rozbłysku orgazmu.

Oparłem się o fotel dysząc ciężko, opadłem bokiem na oparcie, ona wtuliła się we mnie, trwaliśmy tak, aż noga dała mi znać bólem. Opadłem na podłogę, ona okręciła się w fotelu, przysiadła mi nad głową. Spojrzałem w górę.

— Czemu nie możesz w tym łóżku?

Głowę oparła na bocznym oparciu, opuszczona stopa opierała się o moje udo. Oczy miała przymknięte. Po dłuższej chwili milczenia odezwała się cicho.

— To moje łóżko małżeńskie. Nie mogę... z kimś innym. Tam. Nawet...

— Z Wilkiem?

— Tak. — Kiwnęła głową przesadnie jak mała dziewczynka.

— A twój mąż?

— Musisz o to pytać? — Stopa na moim udzie zamarła. — Musisz kurwa o to pytać?!

— Mhm.

— No to ci powiem, nie żyje od pięciu lat, potworaki go zabili.

Przestąpiła, prawie przeskoczyła przeze mnie, kołysząc na linii mojego wzroku pięknym, okrągłym tyłkiem podeszła do łóżka, owinęła się kapą, odwróciła w moją stronę. Podciągnąłem się na fotel.

— Jesteś z Wilkiem?

Wzruszyła ramionami.

— On jednego dnia jest tutaj, drugiego tam. Ja jestem tutaj, dom po rodzicach, nie zostawię tego wszystkiego.

Podeszła bliżej.

— Nie jesteś od Wilka. Czasem mam dość bycia odpoczynkiem wojownika. Ładnie pachniesz. Co ja gadam...

— Nie jestem od Wilka. Szukam kogoś, kto jest w Strefie.

Córki znajomego.

— Po co tam poszła, głupia?

— Nie wiem. Mam się dowiedzieć.

— Taki bohater z ciebie? Sam do Strefy?

Wzruszyłem ramionami.

— Byłem już w Bornem-Sulinowie i w Legnicy. Strefa to Strefa.

Pokręciła głową.

— Nie ta.

— Czemu?

Wzruszyła ramionami.

— Sam zobaczysz, tego się nie da opowiedzieć.

Wzdrygnęła się.

— Strasznie wieje. Jesteś głodny?

— Mhm — spróbowałem wstać, oparłem się ostrożnie na

nadwyrężonej nodze — tak, chyba tak. Zdecydowanie.

— Zaraz zrobię śniadanie — odrzuciła kapeę, z komody wyjęła bieliznę, patrzyłem uważnie jak wciąga na siebie figi, potem zarzuciła na siebie ramiączka stanika.

— Pomogę ci — podszedłem do niej od tyłu.

— Na środkowy rząd.

Zapiąłem haftki, odwróciła się nie odsuwając ode mnie.

— Dziękuję — cmoknęła mnie w policzek — zaraz będzie śniadanie.

Narzuciła na siebie długą szatę, podobną do tej z wczoraj i zniknęła w drzwiach kuchni. Wyjąłem z walizki zmianę bielizny i poszedłem do umywalni. Odpuściłem golenie, przebrałem w czyste ubranie. Z kuchni dobiegł gwizd czajnika.

Kiedy tam wszedłem na stole stały już pokrojone pomidory, miseczka kiszonych ogórków, grubo pokrojony chleb, kilka plastrów kielbasy. Ze szklanek w koszyczkach parowała ekspresowa herbata. Usiadłem, posmarowałem kromkę chleba masłem, obłożyłem kielbasą, pomidorem, posoliłem, ugryzłem. Żułem starannie, kiedy Marta wślizgnęła się na krzesło na przeciwko.

— Ale dobre — mruknąłem między kęsami.

— Dobre? Ogórki mi nie wyszły w tym roku, pomidory też kiepskie, i kiełbasy nie było komu zrobić, ta jest z GS-u.

— Robiłaś kiełbasę?

— Mąż robił. A teraz... kto by się tam kiełbasą przejmował...

— Wilk?

— No co ty — parsknęła — Wilk? I może jeszcze dach naprawi?

— Nie zawsze taki był.

— A co, kiedyś przeprowadzał staruszki przez jezdnię i wynosił sąsiadom śmieci?

— Mniej-więcej.

— Ty go dobrze znasz?

— Kiedyś, kiedyś znałem. Byliśmy jak bracia, potem jakoś się to rozpadło, i nie widziałem go kilkanaście lat, aż do wczoraj.

Kobieta skubała powoli kromkę chleba z twarogiem.

— Jaki on był, przedtem?

— Inny. Nie wiem jaki jest teraz, ale inny.

Oderwała okruch chleba, zgarnęła go z palca czubkiem języka. Posmarowałem masłem drugą kromkę.

— A ty?

— Co ja?

Zawahala się.

— Od dawna jesteś stalkerem?

— Nie jestem stalkerem.

— Nie? — Teatralnie uniosła brwi. — To kim jesteś? Ubolem?

— Już nie.

Zaśmiała się.

— To miał być żart, wiesz.

— Wiem, ale to nie żart. Już nie jestem. Wywalili mnie, bo miałem za sztywny kręgosłup. Moralny.

— Postawiłeś się nolakom?

— Nie, jednemu oficjelowi z ministerstwa. Obcy nawet nie pierdnęli w moją stronę. O ile oni pierdzą.

Uśmiechnęła się niepewnie, pytająco uniosła brwi.

— Ale dalej dla nich pracujesz?

— Nie.

— To skąd masz przepustkę do Strefy?

— Przejrzałaś mi portfel!?

— Oba. Muszę wiedzieć, kogo wpuszczam do łóżka.

Parsknąłem, niespodziewanie rozbawiony tak otwartą bezczelnością. Spojrzała na mnie wzrokiem pełnym urażonej niewinności.

— No co?

— Nic, nic. Słodka jesteś.

Przymknęła tylko szare oczy.

Przestałem się wahać nad trzecią kromką, nie wiedziałem,

kiedy będę miał jeszcze okazję dzisiaj coś zjeść.

— Może ja ci kanapki na drogę zrobię?

— Czemu nie.

Zerwała się od stołu, nagle zaaferowana, pochłonięta przygotowaniami. Dopilem herbatę, opierając się o stół uniosłem się ciężko. Zatrzymała się, patrząc w moją stronę.

— Jak noga?

— Rozchodzi się — przeniosłem ciężar ciała na drugą, rozruszałem stopę — będzie dobrze.

Wróciłem do sypialni jeszcze pachnącej wspomnieniem tego co stało się tu wcześniej; spakowałem rzeczy, potem przepakowałem do plecaka. Pusta walizka, rozdziawiona obscenicznie, leżała na łóżku jak porzucona skorupa poczwarki.

Za oknem, na podwórze podjechała bura nyska, zatrąbiła.

— To po mnie.

— Zaraz dam ci wałówkę.

Wszedłem do kuchni. Marta szybkimi ruchami zawijała

kanapki w papier śniadaniowy.

— Mogę u ciebie zostawić walizkę?

— A wrócisz po nią?

— Tak.

— To nie. — Jej ręce zatrzymały się, milczała chwilę. Uniosła głowę, w oczach coś zaśniło na sekundę, ale zgasło szybko, zgaszone mrugnięciem.

— Nie zostawiaj tu nic, co da mi nadzieję. Po prostu, ty jesteś psem, on jest wilkiem, a ja co, rżniecie mnie jak sukę i tyle...

— Ty jesteś wadera.

Cofnąłem się do pokoju, plecak wrzuciłem do walizki, zapiąłem paski. Kobieta czekała na mnie w sieni.

— Muszę iść. — Pochyliłem się do pocałunku, ale cofnęła się, wyciągnęła tylko do mnie rękę z kanapkami. Wcisnąłem je do kieszeni i podszedłem do drzwi.

— Wy zawsze musicie iść, wracacie nocą, rano znikacie w tej żółtej mgle, wracacie wylizać rany. Zabierz mnie ze sobą, chociaż raz. Wiesz, ja też czegoś chcę od życia! Albo idź już! Idź! Niech na ciebie nie patrzę!

Nie obejrzałem się wychodząc.

*

„Skała” za kierownicą nyski zmieszał się na mój widok.

— Dobry... — mruknął. Popatrzyłem na niego przeciągle.

— Jedziemy, tak jak wczoraj?

Opuścił głowę.

— To wczoraj... rozkaz był.

— „Zygmunta”?

Kiwnął głową. Machnąłem ręką.

— Co z nim?

— Szczeka, obojczyk złamane, i dwa zebra, pęknięte.

Zaśmiałem się tylko i wsiadłem.

— To co, gdzie jedziemy?

— Stacja kolejowa, Długołęka. Tam już nic nie jeździ. Tam będzie czekać.

— Kto?

— Gość. Stalker. Czasem dla nas robi.

Kiedy ruszaliśmy, zadrgała firanka w kuchennym oknie. Ale może to było złudzenie.

*

— Czekaj tu na niego.

— Długo?

— Przyjdzie jak przyjdzie. To stalker. Trzeba czekać.

Walizkę postawiłem na połamanej, obłazłej z farby ławce. Wyciągnąłem mineralną, napiłem się. Rozpakowałem kanapki, nie wiadomo kiedy będzie następna okazja spokojnie zjeść. Nikogo. Wysikałem się pod żywopłotem. Usiadłem na ławce obok walizki, słońce nawet trochę grzało. Przez krzaki po drugiej stronie torów przebiegł jakiś zwierzak, zając, albo jenot. Obszedłem stację, zajrzałem do zabitej dechami poczekalni. Na podłodze straszyły ślady po skutych brutalnie płytkach, na ścianach potworackie napisy odbijane z szablonu. Szyb nie było już dawno, ze środka ciągnęło pleśnią i murszejącym drewnem. Wróciłem na ławkę, wygrzebałem z walizki paczkę keksów i zacząłem pogryzać, popijając wodą z butelki. Przejrzałem resztę rzeczy

i zacząłem się przebierać, niepotrzebne spakowałem do kostki, kostkę na razie do walizki. Położyłem się na ławce, przysnąłem, obudził mnie szelest. Powtórzył się po chwili, podszedłem cicho w stronę źródła hałasu. To był polujący jeź.

Spojrzałem na zegarek, trzecia. Stłuczona ręka ciągle bolała. Usiadłem na krawędzi peronu. Patrzyłem na zardzewiałe szyny, słońce chyliło się ku zachodowi, robiło się zimno. Z boku usłyszałem grzechot żwiru, nasypem ktoś nadchodził. Niski, chudy, łysiejący, ubrany w bury od brudu, kiedyś rudy sweter, spodnie moro i ciężkie buty. Podszedł do mnie, lekko wskoczył na spękany peron.

— Pan jesteś Tomasz?

— Tak. Ten od Wilka.

Podał mi szorstką rękę, uśmiechnął się, nie miał przednich zębów, pokryte bliznami ręce — Władek. Gdzie pan chcesz iść?

— Okolice mostu szczytnickiego.

— Trudna trasa. — Pokręcił głową. — Patrole, skażenie, no co pan chcesz panie Tomku.

— Szukam kogoś kto już tam jest.

- Sporo ich tam idzie, ale nikt nie dochodzi.
- W ogóle się nie da dojść?
- Nie no, dojść się da, ale trzeba wiedzieć jak.
- To pójdziemy?
- No, pójdziemy. Za tysiąc.
- Drogo — skrzywiłem się.
- Taniej to pan se sam idź.
- Osiemset?
- Normalnie to bym wziął dwa, tysiąc tylko dlatego, że pan jesteś od Wilka.
- No dobra. Ale ten tysiąc to już z wyjściem.
- Jasne. Kasa teraz.
- Połowa, połowa jak wyjdziemy.
- A po co mi połowa jak pan mi na minę wejdiesz i co, se pozbieram? Kawałki? Taśmą posklejam?

— A po co mi jak pan teraz pryśniesz z kasą?

— Ja jestem solidna firma, Wilk mnie zna. Jakbym wałek zrobił, życia bym nie miał.

Sięgnąłem po portfel, wyciągnąłem Szopena, podałem. Obejrzał banknot pod światło, złożył cztery razy w poprzek i wsunął w otchłań pod swetrem. Przyjrzał mi się uważnie.

— Idziemy, ale z tą walizką to weź pan coś zrób.

— Jasne — wyciągnąłem plecak, zarzuciłem na ramię a walizkę po dłuższym rozglądaniu się wcisnąłem pod kupę połamanych desek leżących przy ścianie poczekalni. Władek skinął głową z aprobatą i ruszyliśmy wzdłuż zardzewiałych torów.

Narzucił niezłe tempo, po dwóch kilometrach rozpiąłem kurtkę i koszulę, a i tak byłem mokry i ledwie za nim nadażalem. Teren był płaski, mijaliśmy zrujnowane, spalone domy. Dogoniłem Władka.

— Od czego to?

— Co? — Zwolnił trochę.

— No te ruiny?

— A to... no, to potworaki wygoniły ludzi, żeby zrobić strefę demaskacyjną. Wywieźli ich w pizdu, nikt ich potem więcej nie widział. Ludzi, krowy, kury, wszystko, no a chałupy w końcu spalili i porozjeżdżali, no pancerkami porozjeżdżali. Nie ma co gadać, to dawno było, strefa już blisko, trzeba oszczędzać oddech.

— Długo jeszcze?

— Za godzinę będziemy przy obwodzie, przy murze, no a potem... no chuj jeden wie. Na rano pewnie będziemy na miejscu. No, do południa. Może.

Zeszliśmy z torowiska, przez zarastającą gruntówkę, potem przez gęste krzaki. Robiło się ciemnawo, zaczął padać drobny deszcz, Władek nawet nie zwolnił. Weszliśmy w następną spaloną wieś, pod nogami na asfalcie zazgrzytał żwir. Przekroczyliśmy zwalony pień betonowego słup latarni i zorientowałem się, że to nie wieś, a przedmieście jednorodzinnych domków. Mżawka ustała, ale w powietrzu wisiał nieprzyjemny zapach płonącego asfaltu, czy może spalenizny. Klucząc wąskimi uliczkami doszliśmy do trzymetrowego muru z ażurowych betonowych płyt. Władek zatrzymał się i zaczął rozglądać. Na murze co kilkanaście metrów wisiały kolorowe tablice, w wieczornej ćmie nie dawało się odczytać napisów. Po chwili ruszyliśmy wzdłuż muru. Tablice które mijaliśmy głosiły: STREFA EPIDEMII WSTĘP WZBRONIONY. Po kilkudziesięciu metrach płot

załamywał się, betonowy słup przechylił się, betonowe płyty wypadły z uchwytu. Ktoś próbował załatać lukę stalową siatką, ale ktoś inny pokonał siatkę nożycami. Na więcej zabezpieczeń chyba nie starczyło pieniędzy. Stalker odszukał stopą wgłębienie w jednej z płyt, lekko przeskoczył na drugą stronę. Za pierwszym razem noga mi się ześlizgnęła, ale w końcu udało mi się spaść ciężko po drugiej stronie. Pozazdrościłem mu kondycji.

— To już?

— To dopiero pierwszy płot był.

Spojrzałem na Władka podejrzliwie.

— Pan tu był jak to się zaczęło?

— Co?

— Ta strefa, no.

— No byłem. Jak we Wrocławiu spadło, to potworaki zaraz postawili ten betonowy płot, puścili na to czarny bluszcz, jak nie pomogło to potem drugi i trzeci i czwarty.

— Jak to „nie pomogło”?

— No ludzie chodzili, tam do środka na handel a ci stamtąd

uciekali z tym co mieli. To potem postawili czwarty płot i pancerki puścili na patrol. A potem tamci zaczęli patrolować, od środka.

— Tam w środku, jeszcze ludzie są?

— No są. I lepiej, żebyśmy ich nie spotkali.

— Czemu?

Machnął ręką, wzruszył ramionami, zmieszany.

— Tacy tam ludzie — mruknął w końcu i rozejrzał się, mrużąc oczy i przysłaniając je ręką jak daszkiem czapki. Ze skupieniem wpatrzył się gdzieś w horyzont.

— My tu gadu-gadu, a tu zaraz fajerwerki będą, trzeba się schować.

Złapał mnie na ramię, wskazał zrujnowaną wiatę, kiedyś był to solidny, betonowy przystanek PKS, obłożony ozdobną licówką. Wyjrzałem przez okienko w bocznej ścianie.

Od północy, nisko, szedł klucz czarnych punktów, rosły w oczach, narastał cichy, ale wyraźny pomruk merkińskich napędów pracujących na dużej mocy. Przemknęły nad wiatą na wysokości kilkunastu metrów, poczułem jak świat faluje ich odrzutem, wyjrzałem w ich ślad.

Gdzieś z ruin huknęło, w niebo wystrzelił ciągnący za sobą trzy splecione smugi ognia fajerwerk. Czarne owale rozprysnęły się na pół nieba, fajerwerk doświdrował się w środek ich formacji i wybuchł błękitnymi iskrami goniącymi czarne punkty. Dwie z iskier dogoniły swoją zwierzynę i czarne kapsuły spadły z nieba, jak kamienie. Zza poszczerbionych szkieletów budowli błysnęło raz, drugi. Wyciągnąłem lornetkę, ale kiedy podniosłem ją do oczu, Władek zepchnął mi rękę w dół.

— Oczy ci wypali jak błysnie, najlepiej w ogóle tam nie patrzeć.

— Przecież na ziemi się rozbijają.

— Jak dobrze trafią to i w powietrzu potrafią wyjechać, i ci i tamci, no nie patrz tam.

Zobaczyłem jeszcze jak jedna z czarnych kapsuł wykręciła ciasną pętlę i zgubiwszy ścigającą iskrę, pluła w wirującą ognistą kulę czerwonymi płomieniami, idąc na zderzenie. Nie zderzyły się, ale po minięciu ognistego wiru czarna kapsuła jakby straciła pęd i opadła łukiem między ruiny. Znowu błysnęło. Po następnym ataku kula ognia wybuchła pomarańczowym płomieniem i opadła deszczem płonącym szczątków. Oczekaliśmy jeszcze kwadrans, aż mój przewodnik zlustrował horyzont i mruknął — idziemy.

Teren zrobił się trudniejszy, drogę przegrodził nam zrujnowany budynek. Z płotu zostały tylko słupki na podmurówce porzewiałe w szramach po odłamkach, oplecione kłębamii splątanego drutu.

Władek przeskoczył przez podmurówkę płotu, w załomie muru postawił nogę na gzymsie obiegającym fundament budynku.

— Górą trzeba. Tam do okna — wskazał okno pierwszego piętra. Ręką odszukał szczelinę w tynku, podciągnął się. Do okna dotarł w minutę. Cofnąłem się o krok, spojrzałem w górę. Stalker przerzucił już nogę przez parapet okna.

— Może jakoś dołem dookoła, można czy co?

— No można, jak pan chcesz. Ale tam miny, sam se pan idź.

Podszedłem do ściany, stanąłem na gzymsie, odszukałem chwyt. W nodze strzeliło bolesne ukłucie, zacisnąłem zęby. Chwył, noga, drugi chwyt, druga noga, i znowu. Nie patrzeć w dół.

Nawet nie wiem kiedy dotarłem na wysokość okna, Władek wciągnął mnie do środka. Zdyszany zgiąłem się w pół i łapiąc oddech rozejrzałem się.

W pomieszczeniu cuchnęło potworakami. Pod ścianą leżał

rozwalony trafieniem pancierz bojowy, jakby rzucił go tam od okna impet wybuchu. Posiekane odłamkami, karbowane węże aparatu oddechowego rozrzucone na podłodze jak bezwładne macki. Zza maski szerzyła się do mnie martwa czaszka potworaka. Poprawiłem plecak, stalker mruknął coś niezrozumiale i wyszedł na korytarz.

Zatrzymałem się w wyjściu, drzwi oczywiście nie było, korytarz który ktoś kiedyś pomalował białą i zieloną farbą, od połowy był osmalony; na podłodze z lastryko owalna plama spalenizny. Władek zamachał ręką z klatki schodowej, ruszyłem w jego stronę, coś zazgrzytało mi pod butem, schyliłem się. Metalowy guzik z potworackimi oznaczeniami, wygięty od gorąca. Ścianę przecinała przestrzelina z miotacza, promień przerył tynk aż do cegieł, dookoła farba odbarwiła się od żaru. Rzuciłem guzik i ruszyłem za Władkiem.

Na parterze budynek wyglądał dużo gorzej, podziurawione ściany, porozłupywane framugi, pełno rozbitego szkła. Wyjrzałem przez rzez rozwalone siekierą drzwi. Dookoła rozstrzelanego okna dwa humanoidalne kłęby metalu, na środku pomieszczenia złamany w pół miotacz z charakterystycznym talerzowym magazynkiem.

— Tam nie wchodzić!

Cofnąłem się, spojrzałem pytająco w jego stronę.

— No, miny. Tędy — machnął ręką.

Przytrzymał mnie w przejściu do następnego korytarza.

— Idziemy osobno. Po deskach.

Spojrzałem mu przez ramię — przez krótki korytarz i spory hall przerzucone były ścieżki ze spróchniałych desek.

— Co tam jest?

— Czarny bluszcz. Przechodzę ja, czekamy dwie minuty aż się uspokoi, potem ty, powoli, równym krokiem. Pod deskami nie ma witek.

— A jeśli zejść z deski?

Wzruszył ramionami.

— Krótka piłka. Zajrzyj sobie tam w róg, tylko ostrożnie.

Złapałem się resztek framugi i wychyliłem się do pomieszczenia. W rogu pod sufitem wisiał kłęb czarnego bluszczu, witki spływały na całą podłogę gładką kaskadą. Z kłębu wystawały resztki dwóch nóg w strzępach wojskowych butów.

— Aha.

— No. Teraz ja. Jak przejdę, czekamy, aż się uspokoi i zawołam.

— Mhm — cofnąłem się o krok.

Przykucnął, zaciągnął mocno sznurowadła wojskowych trepów, zawiązał porządnie. Postawił stopę na desce, zatrzeszczało, zrobił krok. Przypomniałem sobie, czego uczył mnie ojciec, kiedy próbowałem balansować na krawężnikach i murkach. „Nigdy nie patrz pod nogi, patrz przed siebie, tam gdzie linia się kończy”. Władek doszedł do końca jednej deski, ostrożnie, odsuwając ręce od ciała przeszedł na następną. Coś zgrzytnęło, zaścielające podłogę witki zafalowały. Stalker płynnym krokiem doszedł do końca korytarzyka, znów zwolnił, przechodząc na następną deskę, zniknął za rogiem. Falowanie witek uspokoiło się po chwili. Przykucnąłem i wzorem mojego przewodnika zawiązałem porządnie buty, skróciłem paski plecaka. Czas płynął.

Zdążyłem już zacząć zastanawiać się, czy nie wystawił mnie do wiatru, ale w końcu rozległ się stłumiony okrzyk „można iść”. Ostrożnie postawiłem stopę na desce. Kawał drewna, dwadzieścia centymetrów szerokości, nagle zrobiła się wąska jak stalowy drut. Dostawiłem drugą stopę. Nie patrząc w dół, zaciskając zęby przeniosłem wzrok na koniec drewnianego pomostu. Następny krok. Coś skrzypi. Widzę jak po czarnych nitkach dookoła mnie idzie fala pobudzenia. Następny krok. I następny. Witki uspokajają się trochę. Następny. Koniec

deski, ostrożnie przejść na następną, coś strzela mi pod stopą, noga kłuje bólem, serce skacze mi do gardła, zamieram.

Spokojnie, jak na strzelaniu długodystansowym, uspokoić oddech. Krok i następny. Rozglądam się po hallu. Następna deska prosto do drzwi. Przejście, krok, drugi, trzeci. Dwa kroki do wyjścia, stalker wyciąga do mnie rękę. Robię krok, zmurszała deska rozpada się pod podeszwą, która ześlizguje się w bok, wybijam się w stronę drzwi, przez nogę przebiegają mi linie gorącego ognia, Władek łapie mnie za ramię, wyciąga na zewnątrz, oddycham głęboko.

— Kurwa.

— No, było blisko.

Utykając odchodzę od wyjścia, siadam na ceglanej obmurówce wystawnego niegdyś ganku i wiodących do niego schodów. Podciągam nogawkę, oglądam czerwone pręgi.

— Przebiło się przez spodnie.

— Przez wszystko się przebija.

Rozmasowuję porażone mięśnie, rozglądam się. W szarym świetle chmurnego popołudnia przegląda się morze ruin. Kiedyś to musiała być gęsto zabudowana dzielnica, teraz z

budynków pozostały ułamki do wysokości pierwszego piętra. Zdejmuję but i poruszam stopą, boli.

— Jak idziemy?

— Teraz między domami, do drugiego muru.

— Daleko?

— No z kilometr będzie.

*

Tu były nawet jakieś oznaki życia, ludzkiego życia. W chwastach porastających ruiny widać było wydeptane ścieżki, w kilku miejscach odgarnięty gruz odsłaniał powierzchnię spękanego asfaltu. Władek odwrócił się do mnie.

— Jak kogoś spotkamy, nie gadać, ja gadam. No i robić tylko to co ja mówię.

Szliśmy zygzakiem między ruinami, resztkami ulic. Przez drogę przebiegł wychudzony pies, obrzucając nas głodnym spojrzeniem. Potem przez pozostałość kamienicy wyszliśmy na niewielki plac, tu było nawet kilka osób, przy niewielkim ognisku. Poszliśmy dalej nie oglądając się, z naprzeciwka po oczyszczonej ulicy siwy facet ciągnął stary

wózek z kołami ze stalowych obręczy, bez opon. Na wózku leżało coś przykryte brezentem, co kilka metrów pochyłał się i poprawiał to co wypadło spod okrycia na wybojach. Kiedy go mijaliśmy, przyjrzałem się dokładniej. To, co wypadło spod brezentu, to była ręka.

Zwolniłem, odwróciłem się w jego stronę, chciałem coś powiedzieć. Władek to zauważył, złapał mnie za ramię.

— Idziemy — syknął rozkazująco. — No już. Nie ma co...

Wyrwałem się z uchwytu, minąłem go i poszedłem dalej.

*

Gdzieś w głębi ruin rozległ się ogłuszający mechaniczny jazgot, coś zagrzechotało osypującymi się gruzami, wionęło gorącem i chemią, jakby spalinami. Przypadliśmy do ułomów muru. Jazgot narastał, po czym zmienił się w huk, gorąco dmuchało ciągłą falą. Wychyliłem się ostrożnie i zaraz cofnąłem głowę. Nad placykiem ubitego gruzu wisiał, chwiejąc się i zataczając szarostalowy dysk. Wirował szybko, tylko kopułka wystająca w osi pozostawała nieruchoma.

Stalker też się wychylił, rzucił okiem i kiwnął głową.

— No, latający talerz.

— Nie usłyszysz nas?

— Nie ma szans, nie przy starcie.

— Co to właściwie jest? Potworaki wracają?

— No nie, to ci trzeci.

— Trzeci?

— No, blondyni.

Huk wzmógł się, gwałtownie zgłośniał, ciemny krąg przesunął się po niebie na wysokości kilkunastu metrów owiewając nas palącym gorącym, przyspieszył, i zniknął między budynkami. Zdążyłem dostrzec napisy wykonane nieznanymi kanciastymi znakami jak z kolczastych gałęzi, faktycznie nie było to pismo potworaków czy kwadratowe ideogramy Merkinów. Huk ucichł w oddali. Stalker wstał, przeciągnął się.

— No, idziemy. Trzeba się schować gdzieś dalej, zaraz będzie się działo.

Dyskretnie wcisnąłem pokrętko zegarka. Krótsza wskazówka ustawiła się w kierunku w którym zniknął dysk, dłuższa przesunęła się na cztery minuty od dwunastej. Znow ruszyliśmy między ruiny.

*

— Teraz cicho.

Przyczailiśmy się przy siatkowym płocie; oprócz modułów stalowej siatki po obwodzie biegły, zawieszane na porcelanowych izolatorach pasma drutu kolczastego.

— Pod napięciem?

— Chuj wie! Cicho!

Ten płot nie wyglądał na stary i zapuszczony. Za nim pas pustej ziemi, dalej horyzont odcinała plamista kreska muru. Pochyleni ruszyliśmy wzdłuż obwodu, teren schodził w dół, pod butami zaczęło mlaskać błoto, dookoła pojawiły się coraz wyższe krzaki, chyba leszczyny. Gdzieś z przodu szczęknął metal, błysnęło światło. Władek zatrzymał się z uniesioną ręką.

— Naprawiają w końcu — syknął. — Spróbujemy inaczej.

Wychyliłem się między krzakami. W obniżeniu terenu ciurkała woda, zarośla były wycięte, oświetlone z góry ciemne sylwetki przenosiły prostokątne segmenty ogrodzenia, błyskał łuk elektryczny. Władek szarpnął mnie za ramię, cofnęliśmy się kilkadziesiąt metrów.

— Jak naprawiają to prąd jest?

— No pewnie nie — uśmiechnął się nagle na sekundę. Wyciągnął z kieszeni śrubokręt-próbnik, przyłożył palec do stopki, szturchnął ostrzem siatkę, jeden drut, drugi, trzeci. — Czysto.

— Teraz szybko i cicho — schował próbnik, z drugiej kieszeni wydobyl cążki, szcęknał przecinany drut, drugi, trzeci, czwarty; stalker zwinnie wspiał się na płot, mnie poszło gorzej, ale po chwili obaj zsunęliśmy się po drugiej stronie ogrodzenia.

Po wewnętrznej stronie ktoś kiedyś wyrównał teren, chwilę zgarbieni szliśmy po równym gruzowisku, poprzerastanym niewielkimi krzakami i chwastami. W zaroślach wygniecione były ślady gąsienic, ale stare, pozarastane już. Po zachodniej stronie nieba przez chmury przebił się księżyc, gdzieś daleko przed nami coś zaśniło w niebie w tym pomarańczowym blasku, jakby kłębił się tam rój niklowanych meszek.

Potknąłem się o wystający z gruzu pręt zbrojeniowy, zgrzytnął gruz. Gdzieś w oddali huknęło, powolnym basowym rytmem rozszczękał się silnik panczerki, w powietrzu narastał wysoki gwizd. Z góry rozbłysły snopy ostrego światła, zatańczyły chaotycznie dookoła nas.

— Przyczaili się, kurwie — rzucił Władek — biegiem!

Rzuciłem się za nim, nie oglądając się za siebie. Świat zwinął się do wybierania trasy szaleńczego biegu. Znowu zahaczyłem o coś wystającego z ziemi, poleciałem na ziemię, zebrałem się na czworaki, w oddali następny huk. Za nami coś klasnęło, wysoki, jazgoczący pisk wwiercił mi się w uszy. Pociemniało mi przed oczami.

— Dawaj — wycharczał Władek — dawaj kurwa! Do płyt! Szybko! Ogłuszacze!

Uniosłem głowę, ze dwieście metrów przed nami czerniał w czerwonym świetle kanciasty stos betonowych prefabrykatów. Rzuciłem się w tamtą stronę, gwizd narastał, znowu klasnęło, tym razem dalej, od fali wysokiego pisku zaszumiało mi w uszach.

Władek pierwszy dopadł do stosu, sięgnął w szczelinę u podstawy wyciągnął podłużny kształt, wbił w ziemię, szarpnął. Dopadłem płyt, Władek walczył z łomem wbitym w pokrywę kanału ściekowego.

— No pomóż kurwa, zaraz się wstrzelają.

Obejrzałem się za siebie, na gruzowisku falowały dwa kilkunastometrowe placki splątanych pomarańczowych macek.

— Co to kurwa jest?

— Później, dawaj tu.

— Na trzy!

Zaparliśmy się obaj — raz! dwa! trzy! — udało się wyrwać klapę z obsady. Władek wrzucił łom pod płyty i opuścił nogi w betonowe ocembrowanie, zawahał się, przesunął się w bok.

— Ty pierwszy, szybko!

Spojrzałem w ciemny krąg, oparłem się na rękach, odszukałem stopą zardzewiałą metalową klamrę. Przy każdym kroku łydka strzelała kłującym bólem. Po kilkunastu stopniach moja stopa odszukała powierzchnię chodnika.

— Uwaga na oczy.

Z góry zazgrzytało, posypał się piasek jaśniejszy krąg szybkim zaćmieniem zmalął do wąskiego półksiężyca, aż zgasł całkiem.

Wtedy uderzył mnie smród. Wciągnąłem głęboko powietrze, żeby odetchnąć po szaleńczej ucieczce i gardło skurczyło się w odruchu obrzydzenia. Z trudem powstrzymałem wymioty. Chciałem odetchnąć ustami, ale nie mogłem się zmusić do otwarcia ich na skoncentrowany fetor tysiąca kibli. Powoli, walcząc ze skurczami przepony, wciągnąłem powietrze

nosem. Z góry zazgrzytało, schodzący Władek otarł się o mnie, oddychał ciężko.

Zadzwończyły paski plecaka, ciemność rozgonił żółtawy krążek światła. Władek podał mi płaską latarkę okręconą taśmą klejącą, obwiązaną sznurkiem. Przesunąłem suwak z boku, żaróweczka rozjarzyła się niechętnie, pomarańczowym ognikiem. Zamiotłem dookoła swoim światłem. Owalny tunel zaczynał się pod klapą i łagodnie biegł w dół.

— Długo tu będziemy siedzieć?

— Idziemy dołem.

— Kanałami z gównem?!

— Nie ma innej drogi. No coś pan taki delikatny?

Mruknąłem coś niezrozumiale.

— Co to było tam na górze?

— Meduzy.

— Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

— Paralizujące siatki na ludzi. No walą tym z mózdzierza, działa jak porażacz dotykowy, a potem przyjeżdżają i zbierają

do pudła od razu. Albo gorzej, zależy którzy. Jak raki z saka. Chodźmy.

*

Bardzo chciało mi się pić, ale brzydziłem się odkręcać wodę brudnymi rękami i połykać cokolwiek w tym smrodzie. Przełknąłem ślinę. Znów otoczyła mnie ciemność, cuchnąca, ciepła, gówniana, wciskająca się we wszystkie zakamarki.

Pod nogami chlupie wstrętne błocko, lepiej nie przyglądać się, nie myśleć co tam jest. Idziemy, noga za nogą, promień światła latarki Władka tańczy gdzieś z przodu, mój chwieje się monotonnie w rytm moich kroków. Czuję jak przesiąkam smrodem, jak całe moje ciało robi się coraz bardziej lepkie, obmierzłe.

Schodzimy w dół, w czerwonoceglaste bebecchy miasta. Z przodu narasta huk, czuć powiew cuchnącego zaduchu. Spąg tunelu zamienia się w schody, najpierw płaskie, później coraz bardziej strome, tunel zwęża się, zapieram się rękami o ściany, żeby nie zsunąć się z wydeptanych, śliskich ceglanych stopni. Promień światła latarki Władka wyłapuje falowanie na końcu tunelu, powolne, narastające i gasnące jak ruchy robaczkowe wielkiego jelita. Idziemy niżej, unoszę swoje światło, schodzimy do szerokiego tunelu, środkiem płynie — faluje — skokami przemieszcza się — rzeka płynnego gówna, patrzę na nią przez sekundę, nagły skurcz

przepony uderza mnie w żołądek, wymiotuję żółcią.

Władek cofa się o krok, smarka w dwa palce, wyciera je o swój sweter. Sплюwam, rękawem z wewnętrznej strony ramienia wycieram usta. Próbuję odetchnąć głęboko, ale fetor budzi następne skurcze, mam wrażenie, jakbym się dusił.

— Już? — Władek przygląda mi się obojętnie.

— Już.

Ruszamy wzdłuż falującej rzeki, tunel skręca łagodnie, w bok odchodzą schody podobne do tych, jakimi tu przyszliśmy, potem drugi, trzeci, znowu zakręt, buty przesiakają doszczętnie gównianym błotem. Następny zakręt, tunel idzie w górę, falująca rzeka przyspiesza, z każdym krokiem ścianę pokrywają pęknięcia, pod podszwami zgrzyta ceglany gruz, przez zgniły zaduch przebijają się powiewy świeżego powietrza wiejącego z odchodzącego w bok tunelu.

— Pójdziemy skrótem — rzuca Władek przez ramię i skręca w tunel, znów idziemy pod górę, pod ścianami narastają stosy ceglanoego gruzu i ziemi, po kilkunastu metrach obudowę tunelu zastępują prymitywne drewniane stemple; świeżego powietrza jest coraz więcej, nagle tunel kończy się w ciemności. Zatrzymujemy się i słyszę wiatr.

Unoszę głowę, słabe promienie latarek myszczą po olbrzymiej pustce, wysoko nad głowami przewalają się chmury, szarobure w pomarańczowej poświacie miasta, czasem w luce chmur błysnie czernią nieskończoności kawałek nieba. Jesteśmy na dnie potężnej niecki, strome ściany sięgają kilkanaście pięter nad głowami.

Niżej środek niecki zajmuje czarny kształt, latarka i oczy przyzwyczajające się do światła chmur powoli rysują szczegóły: walcowaty kształt wielkości kilku domów ukośnie zaryty ostrym czubem w dnie niecki, osmalony na czarno pancierz pocisku przebity włazami i klapami.

— Co to kurwa jest?

— Tym przylecieli, no nie tylko tym, kilkanaście ich było. Chodźmy.

Schodzimy po zapadającym się dnie krateru, coś zgrzyta pod butami, w przelocie podnoszę grudę zeszkłonego piasku, kłuje w dłoń. Wyrzucam ją i prawie wpadam na Władka zatrzymującego się w cieniu pocisku.

— *Hail rize* — Władek nie mówi do mnie lecz gdzieś w bok, w odpowiedzi dobiega cichy mechaniczny zgrzyt. Wyteżam wzrok, gdzieś tam zapalają się dwa czerwone światełka osadzone nieprzyjemnie blisko. Latarka wyłuskuje na wpół leżącą lśniąca stałą sylwetkę, lecz skala nie pasuje,

wyprostowany miałby z dziesięć metrów. Władek szturcha mnie łokciem.

— Oddajcie cześć olbrzymowi, bo nie przejdziemy.

Zaskoczony odwracam się w jego stronę.

— Jak?

— Wystarczy paszczowo, tak jak ja, albo po naszymu, chwała olbrzymowi. To przynosi szczęście w kanałach. Inaczej nas rozwali, no, no już.

Po dnie krateru biegnie czerwona plamka światła, wbiega mi na nogę, zatrzymuje mi się na piersi, widzę promień biegnący do plamki z trzeciego oka połyskującego czerwono na czole olbrzyma. Staram się przybrać pozę szacunku, skłaniam głowę.

— Chwała olbrzymowi! Chwała!

Promień gaśnie. Coś ze zgrzytem przemieszcza się po ziemi, podczołguje się do nas skurczony metalowy kształt, zgrzytają gąsienice. Unosi szczypcę stalowych rąk. Władek wyciąga z kieszeni zawiniątko w plastiku, podaje ostrożnie mechanicznym chwytakom, które porywają go łapczywie, mechaniczny sługa zanoszą daninę swojemu panu.

Stalowa głowa przekręca się z warkotem silnika, cichnie coś jeszcze, buczenie prądu, zdaję sobie z niego sprawę dopiero kiedy znika. Zapada cisza, Władek ciągnie mnie za ramię.

Olbrzyna obchodzimy łukiem, otoczony jest niskimi zasiekami rozpiętymi na izolatorach, pomiędzy zasieków śledzą nas ze zgrzytem kanciaste pyski strażniczych.

Wchodzimy w inny tunel w ścianie krateru, zaduch jest słabszy, inny. Łapię Władka za ramię.

— Co to było?

— Olbrzym. Przyleciał z blondynami, potworaki go załatwili zaraz podczas wyładunku, na szczęście. Drugi taki rozpierdolił pół Krzyków, zanim go zdjęli.

— A chwała?

— On przynosi szczęście. Idziemy.

*

Te kanały były inne, suchsze, mniej cuchnące, w lepszym stanie. Doszliśmy do szerokiej arterii, której końca nie sięgał promień latarki. Władek szedł równo, ja kilka metrów za nim. Co kilkadziesiąt metrów wylot bocznego korytarza, co kilkaset kilkumetrowa wnęka.

Z jednej z nich błysnęło światło, coś szczęknięło.

— Kto wy? Stójcie tam.

Szczęknięło znowu, rozpoznałem dźwięk suwadła. Władek zamarł w pół kroku, uniósł powoli ręce. Za nami rozległy się kroki, błysnęło drugie światło. Ten z wnęki wyszedł do głównego tunelu, oślepiającą lampę miał zaczepioną na głowie, chyba na czole.

— Zapraszamy do nas — machnął trzymaną bronią w stronę wnęki.

Z bliska wnęka okazała się wyłożonym gładką, zeszkloną cegłą, tunelem; kilka metrów dalej pod sufitem płonęła słaba żarówka, kilkanaście metrów dalej, następna. Za mną Władek powiedział coś cicho, nie dosłyszałem co, odwróciłem się, w następnej chwili zgiął się w pół po ciosie kolbą. Ruszyłem w jego stronę, chwyciłem w pół upadku. Oparliśmy się o ścianę.

— To nic, nic — rozkaszał się, dysząc ciężko z moją pomocą stanął na nogi.

— No dalej, na co czekacie owieczki — ten z tyłu pchnął Władka, tym razem łagodniej. — Mam was rozwalić tu na miejscu? Ręce na kark i idziemy!

Ruszyliśmy głębiej, za następną lampą tunel zamykała metalowa krata za którą tunel kończył się w ciemności, przed kratą uchylone stalowe drzwi w ścianie, w lewo, w prawo. W lewo.

Za drzwiami czerwony ceglany pokój, w pokoju stół, na stole flaszka, na stole szklanki, na stole lampa naftowa, na stole karty, przy stole trzech. Pod ścianami toboły, torby, walizy, plecaki, otwarte, rozwleczone, broczące jelitami ubrań, kapiące rozbitymi marynatami, szeleszczące podartymi książkami i gazetami.

Od stołu wstaje człowiek-góra, łysy, gruby, wysoki, wielki, staje przede mną, przygląda mi się, gładzi czarne wąsy ściekające mu z górnej wargi po obu stronach ust. Macha ręką, i jeden z jego kompanów zachodzi mnie od tyłu, ściąga mi plecak, podaje wielkiemu. Ten wysypuje zawartość na podłogę, przygląda się obojętnie, rozgarnia nogą.

Wielki stoi przede mną, mniejszy z boku, za mną jeden albo dwóch poganiaczy, jeszcze jeden karciarz siedzi przy stole, obok mnie Władek. Jedyna myśl — czy poganiacz pociągnie serią po kumplach? Ja zdążę wydobyć pistolet, dwa w dużego, dwa w mniejszego, ten przy stole nie ma widocznej broni pod ręką, tylko szklankę wódki, z tyłu dwóch, nie zdążę się odwrócić i ich strzelić. A może? Szybkie spojrzenie w tył, jeden oparty o drzwi, spluwę oparł o przedramię, drugi mierzy we mnie spokojnie. Odzywa się.

— Sprawdźcie tego chojraka, coś knuje, pewnie coś ma.

Pomagier wielkiego obmacuje mnie pod pachami, brzuch, w końcu odnajduje VIS-a na plecach. Śmieje się, unosi broń, pokazuje pozostałym.

— Na wiele mu się nie przydało.

Wielki wskazuje kciukiem za siebie, pistolet trafia na stół, przeszukiwacz obmacuje mnie dokładniej, wyciąga jeden portfel, drugi, przegląda zawartość.

— To kapuś!

— Pokaż, co?

— Przepustkę ma! — Podaje wielkiemu kolorowy kartonik.

Wielki podnosi przepustkę do oczu, ogląda dokładnie, chowa do kieszeni. Obchodzi mnie dookoła, odpycha Władka na bok.

— Pracujesz dla dwunastki?

Milczę.

— Dla dziesiątki?

Patrzemy na siebie. Duży unosi rękę, jakby chciał zamierzyć

się do ciosu, ale przerywa ruch w połowie, odwraca się.

— Dajcie go do tyłu, a niech tamci se z nim gadają.

— Worek?

— No.

Ci z tyłu wykręcają mi ręce, szczęk i chłód metalu, kajdanki.

Wielki podnosi Władka, rzuca go o ścianę.

— A ty zostajesz, powiesz nam gdzie masz kabonę skrojoną z owieczek.

Ciągną mnie w kierunku drzwi, wpychają do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza, Ślizgam się, cuchnie tu starym moczem, potem i gównem, strachem ciała. Jedyne światło, z wejścia. Pchnięcie w dół.

— Siadaj.

Opierając się o ścianę siadam, starając się znaleźć najwygodniejszą pozycję dla skutych rąk. Ktoś naciąga mi na głowę worek, kroki oddalają się, szczęknięcie kraty zamykającej wejście. W tle głucho echo głosów, tamci krzyczą coś, do Władka chyba; głucho, zwielokrotnione pogłosem, odgłosy uderzeń. Worek śmierdzi wymiocinami i

brudem, trochę lepsze to od smrodu tutejszego powietrza, ale oddycham płytko, nie zaciągając się. W końcu odpływamy w stan sennej półprzytomności.

*

Do świadomości przywraca mnie prowadzona na korytarzu rozmowa w warkotliwym, gardłowym języku, którego nie znam, z jednej strony wielki facet, z drugiej nowy głos, jasny i zdecydowany, rzucający ostre zdania i oczekujący natychmiastowej odpowiedzi. O ile to człowiek.

Staram się rozprostować nogi, rozciągnąć zeszywniałe mięśnie.

Kroki, głosy przycichają w tamtym pomieszczeniu, dołączają się dwa nowe, rozmowa staje się kłótnią, w końcu jasny głos przecina ją jednym stwierdzeniem. Coś stuka, szura, kroki, krata otwiera się.

— Ty tam, kapusiu, zbieraj się.

Niemrawo poruszam kończynami. Kroki; niezbyt mocne, prawie łagodne kopnięcie w udo.

— Pobudka!

Rzucam głową z lewa na prawo, z góry na dół, w końcu

kręgosłup wydaje z siebie uspokajające chrupnięcie. Ktoś łapie mnie pod pachy, stawia na nogi, wykręcone ręce strzykają bólem. Ktoś wyprowadza mnie na korytarz, tam łapiają mnie z obu stron, twarde, jakby mechaniczne chwytaki. Jasny głos rzuca zdanie, wielki odpowiada, jasny głos rzuca rozkaz, obok mnie coś szczęka, chwytaki poruszają mnie, ciągną do wyjścia z tunelu.

Noga daje o sobie znać, kilka razy potykam się, raz zawisam prawie na wykręconych ramionach, zatrzymujemy się, wracam do pozycji stojącej, jasny głos rzuca rozkaz i idziemy dalej. Wychodzimy z wnęki, skręcamy dalej w główny korytarz, to zapamiętałem.

Po kilkuset metrach przystanek, piskliwe mechaniczne odgłosy, hurgot metalu, idziemy w bok, pochylnia w dół. Gwałtowne pociągnięcie w przód, pod butem głucho stuka drewno, zatrzymanie, nacisk w dół. Siadam, siedzisko dość wysokie, twarde, z tyłu niskie oparcie. Zgrzytnięcie, rozlega się mechaniczny pomruk, siedzisko i podłoga zaczyna się poruszać. Ucisk rozluźnia się trochę. Rozprostowuję ostrożnie nogi, podciągam je do siebie, kiedy nasz pojazd zwalnia, zatrzymuje się z szarpnięciem. Pada następny rozkaz, chwytaki na moich rękach znikają całkowicie, worek z głowy zostaje ściągnięty.

Na przeciw mnie człowiek, jasny blondyn, wystający podbródek, ostry nos, ubrany w ciemny w tym świetle

mundur, na kołnierzu romboidalne naszywki z jakimiś oznaczeniami. Po moich obu stronach dwie człękokształtne stalowe sylwetki. Roboty; siedzimy wszyscy na kolejowej platformie zatrzymanej przy niskim peronie w owalnym tunelu. Ostre światło bije od strony peronu, muszę mrużyć oczy kiedy patrzę w tamtą stronę.

Gdzieś go już widziałem.

Blondyn mówi coś niezrozumiałego w gardłowym języku, roboty wstają jednocześnie, wychodzą na peron, znikają w oświetlonym wyjściu.

— Dzień dobry — odzywa się blondyn polskim bez śladu obcej wymowy. — Proszę się odwrócić, rozkuję pana.

Siadam bokiem, kajdanki puszczają. Próbuję rozruszać ręce, rozmasowuję ramiona. Mierzę go wzrokiem.

— Pracuje pan dla dwunastki? — Z kanciastej skórzanej raportówki wyciąga moje portfele, oddaje mi, chowam je machinalnie do dwóch różnych kieszeni. — Forsa niestety została u naszych wspólnych znajomych, ale zarzekali się, że to wszystkie pańskie papiery. Przepustka też — dorzucą z naciskiem.

— Pana kumple też o to pytali.

Mierzy mnie wzrokiem.

— Zapłaciłem im za pana dziewiętnaście tysięcy. Myślą, że trafi pan w ręce — zawahał się — blondynów. Tam się nie wytrzyma długo. To nie wczasy w górach. Ech — jakby się rozmarzył — najlepsze oscypki są na Krupówkach.

Wciągam powietrze, przytrzymuję w płucach. W lewo czy w prawo? Gdzie to było? W umyśle zapala się światełko skojarzenia. Ośrodek 43, kantyna. Tam byli też inni oprócz naszego Wydziału Badań, czasem wpadaliśmy na tamtych w stołówce. Wypuszczam powietrze, nabieram kolejny oddech.

— Joanna lubi je tylko na Gwiazdkę. — Wyciągam rękę — Tomasz.

— Staszek.

— Szukam dziewczyny, weszła do strefy z kilkoma facetami i sprzętem. Artefaktycznym sprzętem.

— Jak szli? Dołem?

— Nie wiem, wiem że teraz są gdzieś w okolicach mostu Szczytnickiego.

— Na pewno? Trudno się tam dostać, bardzo trudno, komuś z zewnątrz.

— Jest tam coś, co mają przy sobie.

Patrzy w bok.

— Mało prawdopodobne, żeby tam dotarli ale... — wzrusza ramionami — jest kilka dróg. Albo bezpośredni zrzut.

— To raczej nie wchodziło w rachubę, zresztą mniejsza jak tam dotarli. Muszę się tam dostać.

— Mogę tam pana podprowadzić, na kilometr, może trochę mniej, ale tylko w jedną stronę.

— Dalej sobie poradzę.

— Wątpię, ale jak pan chce.

— Co z nimi — wskazuję w kierunku w którym zniknęły metalowe sylwetki. — Co z tamtymi? — Macham ręką w kierunku z którego przyjechaliśmy.

— Tamci? Ich czas się kończy, kiedyś trzeba będzie uszczelnić obwód. A wtedy...

— Pod mur?

— Pod sąd, a potem pod mur.

- Mhm... Co tu się właściwie dzieje?
- Strefa specjalna.
- To wiem. A bez metafor?
- Drugi najazd.
- To znaczy trzeci?
- Tak, ale w kolejności drugi.
- Skąd?
- Mars.
- Dawno pan tu?
- Sześć lat.
- Nieźle. Co robimy?
- Dowiozę pana gdzieś na Stare Miasto, do mostu będzie pan musiał dotrzeć sam, kilka kilometrów. To nie jest niemożliwe.
- Zaryzykuję. One nie doniosą, że mnie pan wypuści?

— Nic, to maszyny, nie pamiętają niczego poza rozkazami. Prawie jak ludzie.

Przerzuca nogi przez ławkę, na przód platformy na której siedzimy, przerzuca jakieś przełączniki na tablicy sterującej, przesuwa dźwignię, ruszamy.

— Niech pan spróbuję odpocząć, to trochę zajmie.

Rozglądam się po platformie, ściągam marynarkę, zwijam najmniej uświnioną stroną do góry, kładę się między siedzeniami, podkładam pod głowę. Ruszamy, oświetlenie tunelu po chwili się kończy, jedziemy w czarnej pustce, tylko niewielki reflektor z przodu oświetla tory. Zamykam oczy.

*

Platforma zwalnia, zatrzymuje się przy wysokim peronie. Opieram się o ławkę, podnoszę, pokonując ból zdrętwiałych mięśni. „Staszek” żwawo wyskakuje na peron, wygładza burozielony mundur, poprawia czapkę, zapina guziki. Zapieram się stopą o betonową krawędź, wybijam. Noga strzyka bólem, o którym zdążyłem już zapomnieć. Rozglądam się po peronie.

— Przyszło mi do głowy, że jest jeden sposób, żeby można było podejść bliżej. Ale jest haczyk.

— Jaki?

— Będę musiał pana skuć, na kwadrans, może dwadzieścia minut. I pozostaje ryzyko.

Zastanawiam się.

— Dwa warunki.

— Tak?

— Będę skuty z przodu i będę miał swój klucz do kajdanek.

— Tak, to jest do zrobienia.

— Teraz?

— Nie, wyjdziemy na górę, dopiero jak trzeba będzie przejść przez obóz, wtedy.

— Mhm — zarzucam plecak na ramię — idziemy?

Za stalowymi drzwiami klatka schodowa, okratowane lampy rzucają słaby, żółty poblask. Gdzieś w dole piszcza szczury, w górę płynie stęchły powiew. Wspinamy się po betonowych stopniach, podkute oficerki mojego przewodnika stukają miarowo. Półpiętro, drugie, trzecie, czwarte, następne stalowe drzwi. Betonowy korytarz biegnie gdzieś prosto, my

skręcamy w pierwsze drzwi, po kilku metrach wychodzimy na zewnątrz.

Uderzenie świeżego powietrza jest jak narkotyk, zaciągam się głęboko, do dna płuc, potem wypuszczam i jeszcze raz, w bocznym powiewie czuję swój smród. Teren jest oświetlony rzadkimi pomarańczowymi sodówkami, równo wygładzona przestrzeń, gdzieś daleko łukowate kształty wielkich hal. Zatrzymuję się. „Staszek” odwraca się w moją stronę.

— Musimy szybko przejść przez lądowisko i hangary, pójdziemy przez osiemnastkę. Proszę się nie rozglądać i nie zostawać w tyle.

Mój przewodnik zdecydowanym krokiem rusza w stronę hal. Nad nimi, na niebie, świt nieśmiało przebija się przez ciężkie chmury, dodając szarawe geometryczne obrysy rozlanym płaszczyznom pomarańczowego światła. Beton stuka pod butami, przechodzimy przez namalowane na nim skomplikowane wzory. W jaśniejącym świetle oznaczone kolczastymi hieroglifami wrota hal stają się ścianą świata, pod ostrą końcówką wielkiego znaku otwarte mikroskopijne w proporcji drzwi wielkości człowieka.

W środku jest szaro, przejrzyste fragmenty dachu wpuszczają rozmyty świt, idziemy pod ścianą, szybko, staram się nie rozglądać, po środku zamarła suwnica z głowicą prawie dotykającą kopuły pozbawionego pancerza wielkiego

dysku, większego niż ten widziany w ruinach, za nim drugi, ten rozebrany do szkieletu, pomiędzy żebrami wręg pulsują bezkształtne przepływy zmieniającego kolor światła. Za szkieletowym dyskiem odzywa się nierówny stukot i zgrzyt, „Staszek” przyspiesza, drzwi wyjściowe, kilkunastometrowy pas betonu, wartownia, jesteśmy na zewnątrz, spękany asfalt odgradza drucziany płot od ruin jakiejś fabryki, wchodzimy w bramę z której ktoś dawno wyciął stalowe skrzydła.

— Dobra — „Staszek” odwraca się do mnie. — Jeszcze tylko dwa kilometry i jest pan na miejscu. Teraz muszę pana skuć. Proszę nic nie mówić, jakby pytali patrzeć przed siebie i nic nie mówić.

— Kluczyk — wyciągam rękę. „Staszek” odpina kluczyk od kajdanek z dzwoniącego pęku, podnoszę z ziemi kawałek drutu, wyginam niezgrabną pętlę, razem z kluczem owijam sobie dookoła palca. Chwila wahania, wyciągam nadgarstki. „Staszek” zatrzaskuje stalowe obrączki, drugim kluczem blokuje je luźno na pierwszym ząbku, odpina kaburę i wyciąga nieprzyjemny z wyglądu promiennik.

— Tego nie było w umowie. Drgnie panu ręka...

— Regulaminowo, konwojuje się z bronią, jest zabezpieczony, proszę — celuje w ścianę, ściąga spust, ciche mechaniczne kliknięcie i nic więcej.

— No dobrze, idziemy?

— Idziemy, pan krok przede mną, będę mówić którądy.

Teraz czuję się wystawiony na strzał, z tyłu równo stukają podkute buty „Staszka”, ukryty w zwiniętej dłoni klucz wbija mi się między palce. Mijamy zrujnowaną fabrykę, wchodzimy między nie remontowane od kilkudziesięciu lat domy, w świetle szarego poranka jest szaroburo, prawie jak na czarno-białym zdjęciu. Ludzie o ziemistych twarzach ustępują nam miejsca schodząc z chodnika. Skrzyżowanie, skręt w bok, szersza ulica, więcej ludzi, środkiem sunie drewniana buda starego, zdezelowanego tramwaju. Ze szczelin w murach rosną rudobure kłaki.

Zza następnego zakrętu wyjeżdża kanciasty pojazd, zatrzymuje się na środku skrzyżowania tuż przed hamującym ostro tramwajem, przechodnie rozbiegają się w popłochu, z pojazdu miarowymi ruchami wydostają się stalowe sylwetki, ustawiają się w podwójny szpaler, blokują przejście.

Za pierwszą ciężarówką zatrzymują się dwie następne, z drugiej zeskakują wysokie postacie, oglądam się za siebie, na drugim skrzyżowaniu ulica zamknięta w ten sam sposób, „Staszek” mówi coś głośno w języku którego nie rozumiem i dodaje ciszej — idziemy, nas puszczą.

Z bliska postacie w czerni mają falujące blond włosy, wielkie

skośne oczy, szpiczaste uszy i czarne mundury okrywające śmiertelną chudość; wyłapują sprawnie ludzi i wpychają ich do ciężarówek. Jeden z czarnych celuje we mnie z długiego miotacza, rzuca jakieś pytanie w niezrozumiałym gardłowym języku, zza moich pleców „Staszek” odpowiada, staram się nie patrzeć w wielkie owalne oczy pod daszkiem czarnej czapki ze znakiem srebrnej, obcej czaszki. Obcy odszczekuje coś, opuszcza miotacz i odchodzi, w przelocie wali kolbą przebiegającego nastolatka, który chciał się przemknąć obok nas przez kordon, ten wali się na ziemię. „blondyn” jedną ręką wlecze go do ciężarówki i wrzuca na pakę.

Wychodzimy z okrążenia, roboty ustępują nam przejścia. Krzyki za nami oddalają się, słychać obcy dźwięk, chyba wyładowanie miotacza, „Staszek” przyspiesza kroku, idzie prawie obok mnie.

— Udało się, ale będzie jeszcze gorzej.

Skrećamy w następną, ukośną przecznicę, kamienice dookoła opustoszałe, powybijane okna, dookoła niektórych ślady pożaru. Po kilkuset metrach domy po lewej oddziela mur, zwężający ulicę, tu prawie nie ma ludzi, jakaś sylwetka przemyka się pod ścianą tuląc przy brzuchu zawinięty w szmatę pakunek. W murze brama i wartownia, „Staszek” rzuca — w lewo — podchodzimy, zamienia kilka zdań z żywym wartownikiem w czarnym mundurze, oprócz niego na warcie dwa roboty. Odsuwają się, jest przejście. „Staszek”

szturcha mnie w plecy lufą pistoletu, pochylam głowę i ruszam.

Za murem świat podzielony szarymi kreskami, po lewej i prawej baraki, środkiem wydzielona kolczastymi drutami prosta droga, w oddali budynek. Wszystko szare, wyblakłe, jakby przysypane rudym pyłem, popiołem, nawet w powietrzu gorycz i spalenizna.

Za drutami snują się ludzie w biało-niebieskich pasiastych kaftanach i luźnych spodniach, czuję następne szturchnięcie w plecy, opuszczam spojrzenie i idę, wpatrując się w zbity żwir drogi; między ziarnami żwiru wbite są drobne przedmioty: strzępy ubrań, monety, rozdeptane zabawki, złamana sprzączka, komuś rozsypały się czerwone koraliki, duże i małe.

Idziemy.

Unoszę wzrok, żeby nie zastanawiać się jak trafiły tu te rzeczy, zapach spalenizny dusi, po lewej stronie, za płotem jakaś kobieta krzyczy do mnie niezrozumiale, to nie słowa, to bełkotliwy krzyk rozpacz. Zbiegają się inne, odciąga ją biało-niebieski tłumek, krzyk cichnie. Mijamy wieżyczkę strażniczą, w kwadratowej budce twardo zarysowana na tle nieba, połyskująca stalą sylwetka.

Po prawej, między barakami wybucha zamieszanie, jakieś

krzyki, łoskot, ktoś biega, za sobą, z góry słyszę charakterystyczny szcęk, odruchowo wkulam głowę w ramiona, sekundę później trzask wyładowania. Gdzieś daleko wybucha chóralny krzyk bólu. Po trzech sekundach następne wyładowanie i następne i następne. Idzie górą, tylko włosy na karku stają mi dęba. Szturchnięcie w plecy, cichy głos.

— Trzeba iść dalej.

Koniec drogi, pusty plac zamknięty budynkiem z czerwonej cegły, z boku kolejowa rampa, za nią mur. Mijamy budynek, dychawiczna lokomotywa na rampę wpycha bydlęcy wagon, z budynku wysypują się uzbrojone roboty, między nimi wysoki „blondyn” w czarnym mundurze, idzie w moją stronę, rozpina kaburę, mówi coś ostrym głosem. Zza moich pleców „Staszek” odpowiada, tamten wyciąga miotacz, celuje w moją stronę, potem kieruje broń za mnie. Mój towarzysz wyrzuca z siebie długie zgrzytliwe zdanie, blondyn odpowiada krótko, jego szpiczaste uszy prostują się na całą wysokość. Staszek wymija mnie, podchodzi do tamtego, mówi coś jeszcze, innym tonem; tamten patrzy na niego z góry nieruchomymi oczami. Zaciskam pięść i przesuwam między palcami klucz do kajdanek.

„Staszek” wyciąga z kieszeni płaską płytkę, pokazuje blondynowi, mówi coś szybko, tamten opuszcza broń, cofa się o krok. Patrząc w bok, roboty rozstawiły się w równą linię wzdłuż kolejowej rampy, wagon zatrzymuje się z piskiem i

zgrzytem, ze środka dochodzi stłumiony odgłos, jak jęk.

Blondyn odpowiada coś „Staszki”, ten odwraca się do mnie i macha bronią.

— Szybko, ruszać się.

Wypuszczam powietrze i robię krok, po nim następny, mijam obu mundurowych, gdzieś w perspektywie, między budynkiem i murem pokazuje się brama. Zaciskam zęby, żeby nie rzucić się do panicznego biegu w tamtą stronę, za mną równy krok „Staszka” zgrzyta po żwirze. Jeszcze pięćdziesiąt metrów, jeszcze dziesięć. Gdzieś za nami łomot, potem chóralny krzyk, wyładowania miotaczy. Nie oglądać się. Staszek rzuca coś do robotów przy bramie, robią przejście. Gdzieś za nami szybkie kroki, już za bramą odwracam się, przez bramę widzę biegnącą w naszą stronę sylwetkę, za nią blondyn unosi miotacz, błysk wyładowania, trzask dobiega mnie dopiero kiedy biegnący dzieciak wali się na ziemię. Brama zatrząskuje się z hukiem. „Staszek” coś do mnie mówi, szarpie mnie za ramię, unoszę wzrok.

— Tam, w tamtą stronę teraz.

Rozglądam się niezbyt przytomnie. Szarość Strefy porównana z tym co za murem, eksploduje barwami. Dookoła pusty plac, półmetrowe ułamki budynków sterczą z morza gruzu, od dołu porastają rudoczerwonym pnączem. W oddali

mechaniczne sapanie i zgrzyt spychacza wyrównującego teren. Za murem krzyk, długie, szarpiące wyładowanie miotacza.

„Staszek” znów szarpie mnie za ramię, ostro, zdecydowanie. Idziemy wzdłuż muru, róg, skrzyżowanie, z wystającymi z gruzów resztkami domów, jak połamane zęby w żuchwie starej wiedźmy. Sплюwam pyłem, unoszę ręce, zeszywniałymi palcami wbijam klucz w otwór kajdanek, drugi, spinam razem „obrączki” i podaję swojemu przewodnikowi.

— Co się tu dzieje?

— Przygotowują pole startowe.

— Nie o to pytam. Co się tu kurwa dzieje — wskazuję kciukiem mur za plecami. Wyprostowany jak struna „Staszek” prawie niezauważalnie garbi się, jakby na plecy spadło mu nagle kilka ton. Patrzą na niego dłuższą chwilę, zanim odpowie, powoli, ważąc każde słowo.

— Oni nazywają to zarządzaniem lokalnym materiałem biologicznym.

— A ty? Tylko wykonujesz rozkazy?

— Ja jestem gdzie indziej. Oddział odpierania zewnętrznych

zagrożeń.

— Tych złapanych w kanałach to pewnie witacie chlebem i solą?

— Robię co mogę. Większość udaje się jakoś przerzucić za mur, później.

Poczułem obezwładniające zmęczenie, przerażenie spłynęło, zostało tylko znużenie. Przy każdym ruchu pod nogawką piekła porażona przez czarny bluszcz noga. W ustach narasta smak żółci, spluwam jeszcze raz.

— Daleko jeszcze?

Mój przewodnik patrzy na zegarek, nie widzę dokładnie, ale jego czasomierz bardzo przypomina ten, który mam na swoim nadgarstku.

— Za godzinę muszę być w dowództwie. — Rozgląda się. — Na skrzyżowaniu jest stary schron, tam powinno dać się przeczekać do wieczora.

— Wieczorem lepiej?

— Tylko roboty patrolują, szukają zagrożeń. Nie ma patroli kontrolnych.

— Jasne.

Idziemy zburzoną ulicą, jakaś siła ścięła domy na wysokości pierwszego-drugiego piętra, obsypała gruzem sięgającym nawet parapetów parteru, między bryłami gruzu przeciskają się chwasty wymieszane z rudymi i karminowymi pnączami sięgającymi aż do szczytów ruin. Dochodzimy do zrujnowanego skrzyżowania, złamana w pół latarnia ukośnie blokuje chodnik. Schodzimy na jezdnię, dalsze chodniki są zasypane do kolan gruzem przeplecionym czerwonymi zaroślami. Na następnym rogu samotna, osmalona kamienica, za nią następny kwartał zlewa się z szarorudym horyzontem miasta, klin czerwonej cegły wbity w płaszczyznę ruin.

Gdzieś w morzu gruzu rozlega się pulsujący basowy wizgot, narasta i cienieje, przyspieszając jednocześnie, aż staje się świdrującym czaszkę, mechanicznym wyciem, za nim basowo odzywa się następny i następny.

— Szybko, startują. Do skrzyżowania. Szybko!

Biegniemy, huk narasta, szybkie spojrzenie w bok, nad polem startowym trójkątna formacja dysków. Przez chmury na chwilę przebija się słońce, wirujące dyski rzucają krótkie szarozłote odblaski. Huk zmienia ton, szpic trójkąta rozciąga się kiedy pierwsze dyski ruszają w naszą stronę. Dopadam osmalonego muru kamienicy, zapieram się plecami, zatykam

uszy dłońmi. Hałas przenika całe ciało bolesną falą, przycicha kiedy gdzieś nade mną przepływa wielki kolisty cień, znowu narasta, przycicha, i znowu, i znowu...

*

Byłem tak ogłuszony, że nawet po odjęciu rąk od uszu, przez dłuższą chwilę nic nie słyszałem, widziałem tylko poruszające się usta „Staszka”. W końcu ogłuszająca cisza przeszła w dzwonienie, a kiedy to ucichło, usłyszałem szum wiatru.

— Co?

— Polecieli na Oleśnicę. Wielki nalot.

— Mhm. Często tak?

— Nie. Chcą się wyrwać z okrążenia. Myślałem, że to dopiero jutro...

Zawahał się.

— Muszę wracać do dowództwa.

— Mhm. Gdzie ten schron?

Wskazał następny ocalały budynek. Wyciągnął do mnie rękę.

— Powodzenia.

— Powodzenia.

Zasalutował sztywno, machnąłem w odpowiedzi ręką. Minął mnie, równy krok zgrzytał po gruzie, ucichł szybko. Zostałem sam. Sprawdziłem godzinę, wcisnąłem kółeczko zegarka. Już blisko. Popatrzyłem w stronę wskazywaną przez zegarek, gdzieś tam z równego burego maźnięcia horyzontu wystawały kanciaste sylwety budynków.

Poprawiłem plecak, zszedłem z ulicy w bok i za załomem muru rozpiąłem rozporek. Kiedy kończyłem, resztką ulicy przejechała ciężarówka, zatrzymała się przed domem, do którego miałem iść, za nią następna. Przypadłem między załomami ruin. Na gruzie ostre zgrzytnięcia mechanicznych kroków, krótko rzucane, niezrozumiałe rozkazy. Rozejrzałem się, pochylony przebiegłem kilkanaście metrów, stąd już tylko przeskok przez resztki poprzecznej jezdni. Obejrzałem się za siebie. Przy zaparkowanych ciężarówkach jedna szara sylwetka. Nie patrzy w moją stronę, nie porusza się. „Pamiętają tylko rozkazy.” Pochylony przebiegłem przez ulicę, doskoczyłem do bramy, zamknąłem ją za sobą, pozostawiając małą szczelinę.

Głęboko oddychając uspokoilem puls. Na ulicy stukot metalowych butów, przez szczelinę światła przesuwają się szare sylwetki, potem cisza. Cofnąłem się i oparłem o ścianę,

ręka sięgnęła po papierosy, ale powstrzymałem się.

Z tyłu, na schodach zastukały kroki, ucichły, obejrzałem się nerwowo. W szarym obrysie okna na półpiętrze rysowała się czarna, szczupła sylwetka.

— Nie stój tam tak — odezwał się niski damski głos — oni czasami przeszukują też bramy. Chodź na górę, przeczekać. Tylko cicho.

Oderwałem się od drzwi, podszedłem powoli do schodów. Teraz światło padało z boku, zobaczyłem trójkątną twarz pod ostrzyżonymi na pazia włosami. Wzdłuż nosa biegły zmarszczki nakreślone kiedyś piórem bólu i napięcia.

— Jakby co, jestem Anna. Chodź.

— Tomasz.

Wspiąłem się na piętro, dwoje drzwi, jedno uchylone. Za nimi ciasny duszny przedpokój przesiąknięty tytoniowym dymem. Zawahałem się.

— Lepiej zdejmij płaszcz, czasem przeszukują mieszkania i zabierają wszystkich nie stąd. A łapanka może i pół dnia potrwać.

Zdjąłem plecak, powiesiłem płaszcz na wieszaku, poszedłem

za nią do pokoju. Odrapane meble sprzed Najazdu (sprzed którego?), łóżko, jakieś krzesła, okrągły stół, na nim popielniczka i maszyna do pisania.

— Lepiej nie podchodzić do okna — odsunęła krzesło i usiadła na nim bokiem, wyciągając prosto jedną nogę. — Jesteś z zewnątrz.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

— Aż tak widać?

Prychnęła.

— Za mało się boisz. Masz fajki?

Usiadłem na zapadniętej kanapie, pogrzebałem w kieszeni, wyciągnąłem pogniecioną paczkę.

Wyciągnęła w moją stronę rękę, zmarszczyła nos.

— Ale śmierdzisz.

— Przyszedłem kanałami.

Zapaliła, zaciągnęła się głęboko.

— Wieki nie paliłam carmenów. Ludzie stąd uciekają, nikt

nie przechodzi w tą stronę, do strefy, z własnej woli.

— Jestem tu po coś.

— Po co?

— Po człowieka, który wszedł z własnej woli. A ty nie uciekasz?

— Moi rodzice próbowali. Złapali ich. Przewodnik ich sprzedał.

— Nie żyją?

— Poszli do komina.

Nie chciałem pytać co to znaczy. Zaciągnęła się, wypuściła dym do góry, pod sufit.

— Mógłbyś mnie stąd zabrać?

Pokręciłem głową.

— Sam nie wiem na pewno, jak się stąd wydostanę.

— A jak się tu dostałeś?

— Miałem wsparcie, ale nie wiedziałem w co się naprawdę

ładuję.

Zaśmiała się sucho. Wstałem i strząsnąłem papierosa do popielniczki, odwróciłem drugie krzesło i usiadłem na nim okrakiem. Patrzyła w okno.

— Zabijają nas jak szczury — powiedziała nagle. — Nie znam nikogo, komu udałoby się wydostać. Zawsze po ucieczce na murach wisi obwieszczenie, że schwytany i skierowany do karnego obozu w zewnętrznym ringu. Potem przychodzi zawiadomienie o śmierci. Dzień, albo miesiąc później. Masz jakieś pieniądze? Za forszę z zewnątrz czapa w punkcie, ale za te ich kwity to tylko brukiew można kupić.

— Nie mam — powiedziałem bezradnie. — Zabrali mi wszystko.

— Kto?

— Jak szliśmy kanałami. Chcieli nas sprzedać — zawahałem się — blondynom.

— Jak się wydostałeś?

— Miałem wsparcie, mówiłem.

— Szczęściarz z ciebie. Gdzie jest ten twój człowiek?

— Gdzieś tam przy moście.

— Tam nic nie ma?

— Jak to nic?

— Robią pole startowe, powysadzali prawie wszystkie budynki, wyrównali, postawili jakieś magazyny, czy hangary.

Umilkliśmy, za oknem stukot metalowych podeszew, jakieś krzyki. Skuliła się, wzdrygnęła.

— Od dawna nie było tutaj takiej łapanki.

Wstałem, podszedłem do okna, starając się nie poruszyć pożółkłej firanki wyjrzałem na ulicę. Ciężarówki dalej stały.

Odwróciłem się do pokoju, wskazałem maszynę.

— Piszesz?

Kiwnęła głową.

— Dla siebie, przecież tu już nie ma komu czytać, ani jak wydawać...

Machnęła ręką z papierosem, popiół obsypał się na podłogę. Nie zareagowała.

— Mogę?

— Jak chcesz.

Podniosłem jedną z leżących obok maszyny zapisanych kartek.

z każdym dniem niebo robi się bardziej szare, zostają tylko dwa kolory, szary, i rudy, rudy jak czerwone zarośla które przywlekli, ludzie robią się szarzy, płascy, jednowymiarowi

co tydzień wychodzę wymienić kawałek siebie na dwa bochenki chleba, kilka ziemniaków, puszkę marmolady

po co czekam, na co czekam, nie wiem, przecież nie na wyzwolenie, nie pamiętam już który to już rok w okrążeniu, jest tylko gorzej, coraz mniej ludzi, coraz więcej pustki, ruin, rudych pnączy, czarnych maszyn kiedy na schodach stukają metalowe buty, każdy kuli się sam, dopóki nie przyjdzie ulga, że rozwalają właśnie cudze mieszkanie, że oto sąsiad z którym od dziecka, na tym samym podwórku, a nie ja kiedy przyjdą po mnie to będzie ulga, że to już, że nie trzeba się będzie więcej lękać, zostanie tylko zwierzęcy strach przed śmiercią, ale to nie potrwa długo zostanie po mnie popielniczka pełna spalonych słów i myśli, nic więcej potem zawieje wiatr i popiół mojej duszy pofrunie nad światem, wolny nic więcej nie trzeba

Odłożyłem, moje palce zostawiły na białym arkuszu brudne

odciski.

Kartek było więcej, ułożonych w nierówny stosik, bez numerów stron.

— Palę i piszę, tylko to mi zostało.

Nic nie powiedziałem. Ostrożnie opadłem na gięte krzesło, wyprostowałem nogę. Zegar na ścianie tykał ogłuszająco, dym z niedopałka kreślił w powietrzu rozmyte kształty. Bicie zegara. Czternasta. Głowa opadła mi w bok.

*

Ocknąłem się na dźwięk odsuwanego krzesła. Kobieta wstała i podeszła do okna, kiedy mnie mijiała, owiał mnie zapach dymu i spalenizny. Odsunęła firankę i wyjrzała.

— Pojechali już. Możesz iść.

Przeszukałem kieszenie, sięgnąłem po plecak, jedna paczka, druga, potem jeszcze jedna z plecaka, ostatnia. Położyłem papierosy na stole.

— Dzięki. Powodzenia, tajemniczy człowieku.

— Nie wiem czy... — zamachałem ręką.

— Nie życzyć ci powodzenia? Chcesz tu zostać?

Strzepnąłem ręką.

— Nie... tylko chciałbym móc zrobić coś więcej.

— Poradzę sobie.

Zapinam płaszcz, odprowadza mnie do drzwi, odpina łańcuch, zamek, drugi, trzeci, czwarty, skrzypią nienaoliwione zawiasy.

— Powodzenia.

Wychodzę na korytarz i zatrzymuję się, za mną stuknięcie drzwi, szcęk kolejnych zamków, zgrzyt łańcucha, w końcu cisza. Stoję sam, na opuszczonym korytarzu, w smugach padającego przez brudne szyby szarego światła, jak na obcej, wrogiej planecie.

*

Przeszedłem może pół kilometra, kiedy niebo znów zadrżało hukiem, nierównym, basowym, zdudniającym się chóralnie co kilka sekund, ale zdławionym, przerywanym. Przypadłem do ułamka starego muru wystającego z gruzowiska. Z niskich chmur wypadł zataczający się dysk, teraz można było śledzić wirowanie szarej tarczy, kilka segmentów było wypalonych,

dymiło. W locie dysk pozostawiał za sobą rozwiewającą się spiralnie smugę. Po nim z szarego nieba wysunął się drugi, za nim trzeci.

Przeleciały dwieście metrów dalej, odczekałem jeszcze chwilę, rozmasowując nogę. Z nagłym trzaskiem z chmur wypadł klucz owalnych kształtów, plunął rojem błękitnych iskier w kierunku lądujących dysków i ładną świecą poszedł w górę, po sekundzie niknąc w chmurach. Z dołu wytrysnął spiralny ogień, pochłaniając część błękitnych iskier, ale reszta ominęła zgrabnie płomieniste tornado i dopadła dwóch ostatnich talerzy, pokryły się błyskami wybuchów i rozpadły się w powietrzu, tylko pierwszy zdążyć opaść niżej i umknąć pościgowi.

Huk eksplozji ogłuszył mnie na chwilę, w ostatniej chwili zdążyłem otworzyć usta. Następująca cisza była nierealna.

Sprawdziłem zegarek, godzinowa wskazówka pokazała prostą drogę, minutowa — cztery i kawałek. Powiał zimny wiatr, otuliłem się szczelniej kurtką i ruszyłem przed siebie w szarówce chmurnego popołudnia.

*

Mój cel okazał się kompleksem zrujnowanych hal fabrycznych, chyba jeszcze z czasów Najazdu, na pewno sprzed lądowania blondynów. Kilka rdzewiejących w gruzie

drutów mówiło o wspomnieniu ogrodzenia, które ktoś zabrał lata temu, potem inny ktoś palnikiem ściał stalowe szyny na których rozwieszono siatkę, już tylko wystająca z ziemi na stopę podmurówka z czerwonej cegły pokazywała, gdzie był płot. Pomyślałem o minach, wśród wystających z ziemi drutów, ułamków cegieł, śmieci nie było szans zobaczyć przyczajonego kalectwa. W końcu odszukałem coś co przypominało wydeptaną ścieżkę.

Blizsza z hal miała w połowie szklany, zdemolowany dach, pół podłogi zasypane odłamkami szkła powbijanymi w miękki grunt, resztki wyposażenia, rozgrzebując szklane odłamki natknąłem się też na szczątki klatki piersiowej. Chyba ludzkiej.

Zegarek namyślał się chwilę, po czym wskazał dwie i pół minuty oraz czterdzieści osiem sekund w kierunku drugiej hali. Ta była niższa, konstrukcja ze stalowych kratownic i czerwonej cegły. Na poziomie ziemi wszedłem w resztki biur, spalone meble, podłoga zasłana zgniłymi papierami, dalej hala z postumentami, na których kiedyś stały maszyny.

Wcisnąłem przycisk zegarka, wskazówka godzinowa ustawiła się na wprost, minutowa wskazała zero, sekundowa ustawiła się na osiemnaście po, ale kiedy poruszyłem nadgarstkiem skoczyła na trzydzieści. Poruszyłem rękami jeszcze raz, drugi i spojrzałem w górę. Przy założeniu, że zegarek działał w trzech wymiarach, wyglądało, że trikoder był gdzieś na

dachu.

Pierwsza klatka schodowa jaką znalazłem, była zawalona w całości, druga zaczynała się od drugiego piętra. Błądziłem po zrujnowanym parterze, zwał gruzu ze zwałonego sufitu przesunął się pod moim ciężarem, noga dała o sobie znać, w końcu usiadłem zmęczony na przewróconej wybebeszonej szafie.

Grzebiąc w plecaku patrzyłem w górę, na widoczny przez rozwalony sufit dach hali powyżej. Blaszana konstrukcja kanału wentylacyjnego szła prosto w górę, wychodząc ponad budynek prostokątnym kanałem.

*

W metalowej rurze było ciasno, pewnie mógłbym się wspinać nawet bez wspawanych z boku poprzeczek. Na górze blaszany kaptur chroniący od deszczu był rozdarty, rozciąłem sobie rękę zanim udało mi się wydostać. Dach w zasięgu wzroku był cały. Zegarek wskazał ażurową przybudówkę kilkanaście metrów dalej.

Po dachu nie dało się iść cicho, posypana piaskiem papa tłumiała kroki, ale zgrzytała. Wyciągnąłem VIS-a, przeładowałem i zacisnąłem w skaleczonej ręce.

Z bliska ściany nadbudówki okazały się zachodzącymi na

siebie paskami blachy, pod dotknięciem zagrzechotały. Z pistoletem przy nodze obszedłem nadbudówkę dookoła. Z tyłu część metalowych listew została usunięta, przez poziomą szczelinę wystawała kończąca konstrukcja, ostre pręty celujące ukośnie w północne niebo, między nimi spiralne świdry wybiegające w przestrzeń z talerzykowatych anten. Rzuciłem okiem do środka, większość pola widzenia zajmowała reszta konstrukcji, z półcieni wyłaniały się posplatane kolorowe kable, mosiężne złączki, gdzieś w dole pomarańczowym żarem świeciły lampy elektronowe. Oparłem się o ścianę, listwy zagrzechotały, w środku ktoś jęknął. Z boku było widać wejście, obszedłem budynek jeszcze dalej, przykucnąłem i zajrzałem do środka. Spod okna przez które wychodziła cała maszyna wystawały nogi w pepegach, poza tym chyba nikogo. Odszukałem wejście.

Na środku składany turystyczny stół, na nim stojak elektroniki pod stolikiem dwa prostokątne wiadra pełne rudego połysku, połączone mostkiem Fajnerberga, na krawędzi jednego przyklejony taśmą klejącą sprzęg, w górę szła wiązka kabli, część ginęła w labiryncie przewodów pomiędzy modułami elektroniki, odgałęzienie w bok do cykającego co sekundę cyklomierza. Odruchowo sprawdziłem odczyt, przyrząd znalazł dopiero pierwszą literę szeregu. Obszedłem aparaturę dookoła, z tyłu kilka akumulatorów samochodowych, zasilanie dołączonych grubymi kablami skrzynek z wskaźnikami i pokrętkami, wszystko opisane po potworacku, ale nie znalazłem żadnych znajomych

ideogramów. Z największego urządzenia dwa grube kable wybiegają w bok i na zewnątrz przez dziury wycięte nierówno, na chłama, w blaszanej ścianie.

Pomiędzy przewodami, oparta o metalową skrzynkę, siedząca sylwetka. Podeszedłem i przykucnąłem. Miała rozszerzone strachem oczy, szmatę wepchniętą do ust i obwiązaną sznurem, ręce za plecami.

Wsunąłem pistolet za pasek i ściągnąłem sznur z twarzy dziewczyny, wyciągnąłem szmatę. Rozkaszała się i zaczęła płuć.

— Twój ojciec mnie po ciebie przysłał.

— Niech pan mnie rozwiąże.

— Odwróć się.

Przechyliła się w bok. Ręce i nogi miała związane grubym sznurem, ręce już zsiniały; zacząłem rozplątywać sznur.

— W kieszeni spodni mam scyzoryk, będzie szybciej, w przedniej prawej.

Odnalazłem twardego kształtu, scyzoryk okazał się błyszczącą chromem, ażurową plataniną ostrzy, szczypiec i innych końcówek narzędzi. Odwróciłem go w dłoniach, odnalazłem

zaczep do otwierania noża, zahaczyłem paznokciem. Ostrze zablokowało się ze szczęknięciem. Przyklęknąłem, sznur nie stawiał żadnego oporu.

— Ostrożnie, jest ostry jak cholera.

Roztarła nadgarstki, wyciągnęła do mnie dłoń.

— Z nogami sama sobie dam już radę.

Oddałem jej narzędzie, zamknęła nóż, otworzyła krótką piłę, sznur z kostek opadł w strzępach. Wyciągnęła do mnie rękę, podciągnąłem ją do pionu. Była niewiele niższa ode mnie, zatoczyła się, złapałem ją w pół upadku, posadziłem na skrzyni z akumulatorami.

— Musisz rozruszać mięśnie. Powoli, spokojnie.

— Aale mi noga ścierpła, aua, cholera — strzepnęła stopą. Zamknęła scyzoryk, wsunęła do kieszeni, jeszcze raz rozmasowała nadgarstki. Sprawdziłem odczyt na zegarku, dwa metry, w aparaturze.

— Spadamy stąd?

— Jeszcze muszę zabrać to, co podwędziłaś ojcu.

— Trioder? To po to pana tu przysłał, nie po mnie, prawda?

— Po ciebie *też* — powiedziałem z naciskiem.

— Ja i tak nie mogę tam wrócić.

Obszedłem aparaturę, odnalazłem trikoty przymocowany gumkami recepturkami do metalowego postumentu. W złącze wciśnięta płytką obwodu, z niej rozbiegały się kolorowe przewody. Wychyliłem się do dziewczyny.

— Nie gadaj, wracamy do domu.

— Ja nie mogę, ja, ja... zabiłam człowieka — rozplakała się nagle.

— Nikogo nie zabiłaś.

— Zabiłam, z promiennika.

— Czy jak to wyjmę, to coś wybuchnie?

— Nie wiem — powiedziała bezradnie — ale ja go zabiłam, to on to wszystko zbudował, a potem ja coś nacisnęłam na promienniku i go poraziłam.

Wróciłem do niej, złapałem za ramiona.

— Nie poraziłaś. Promiennik był ustawiony na ogłuszanie, poraziłaś tylko siebie. Jak byłaś nieprzytomna Ostrowski go

zastrzelił, i wmówił ci, że to twoja wina.

Opadła w kucki i rozplakała się na dobre. Ściągnąłem kurtkę, okryłem jej ramiona, wróciłem do aparatury. Nie mogłem sięgnąć w płataninę przewodów obiema rękami, opuszkami palców ostrożnie odciągałem gumki mocujące artefakt.

Zaterkotały bębny cyklomierza. Do szeregu doszły jeszcze dwie litery.

— Skąd pan wie o Ostrowskim?

— Wiem, chyba więcej niż ty. Widziałem zapis tego, co się stało. Najpierw dostałaś porażaczem, potem on zastrzelił Stalina, potem rzucił palnik obok ciebie.

— Naprawdę? Ja nic nie pamiętam.

— Porażacz tak działa. Jak się tu dostałaś?

— Znajomy Wieśka nas przywiózł.

— Czym?

— Transporterem, takim dziwnym.

— Transporterem Obcych?

— Tak.

— Wiesz gdzie jesteś?

— W tajnej strefie „Olbrzym” pod Wałbrzychem, rząd ukrywa lądowanie następnych Obcych, chcemy nawiązać z nimi kontakt, żeby coś zrobili z panoszącymi się u nas Merkinami.

— Taa... kontakt. Cyklomierzem i pięćdziesięcioma litrami czerwonej rtęci. Po co wam był trikoder?

— Żeby dać tym Obcym wejście do sieci łączności Merkinów.

W końcu udało mi się uchwycić śliską czarną płytkę końcami palców i wysunąć ją ze złącza. Złapałem ją pewniej, ostrożnie wyciągnąłem rękę z plątaniny kabli i obejrzałem artefakt. Przesunąłem palcem po czarnej powierzchni, pod gładkim szkliwem zatańczyły wielokolorowe oznaczenia. Był chłodny, zważyłem go w dłoni, ważył może sto gramów, tył był srebrny, z ciemniejszym znakiem zaćmienia. Bardzo był niepozorny, jak na zamieszanie, które wywołał. Jeszcze raz spojrzałem na wyświetlacz urządzenia, dotknąłem palcem kilku wielobarwnych kwadracików. W głowie przeskoczyło skojarzenie, sięgnąłem po notes, był w kieszeni razem z portfelem. Odszukałem właściwą notatkę, i szturchnąłem jeden z glifów palcem.

Byłem w połowie wprowadzania adresu, kiedy coś piknęło,

trikoder zadrgał, pod moimi palcami rozwinęła się wiadomość. Z wrażenia mało nie upuściłem całego urządzenia. Trzy razy przeczytałem wiadomość, dotknąłem jej palcem, przesunąłem, porównałem wyświetlony pod spodem adres z tym zapisanym w notesie.

Wyjąłem portfel, w środek, jak w okładkę, wsunąłem trikoder i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Odwróciłem się do dziewczyny, przykucnięta obejmowała rękami kolana i chwiała się lekko, z zamkniętymi oczami.

— Ej, nie śpij! Gdzie jest Ostrowski?

Poruszyła się powoli, otarła nos i oczy rękawem, w końcu spojrzała na mnie.

— Nie wiem. Poszedł gdzieś na dół, miał zaraz wrócić, potem coś błysnęło i straciłam przytomność. Jak się ocknęłam, byłam już związana.

Kiwnąłem głową.

— Zbieraj się, spadamy.

— Dokąd?

— Do domu.

Znów łyzy pociekły jej po policzkach.

— Ja już nie mam domu. Przecież zabiłam człowieka.

— Mówiłem już, nikogo nie zabiłaś. Ojciec się martwi. Masz tu jakieś rzeczy?

Oparła się o ścianę, blaszany szkielec zajęczał pod naprężeniem, stanęła na nogi. Zza baterii akumulatorów wyłowiła wypchany wojskowy chlebak.

— Mam wszystko. Dokąd idziemy?

Zawahałem się, ale na ułamek sekundy, miałem tylko nadzieję, że tego nie zauważy.

— Na dół, poczekamy na zmierzch, i pod ziemię. Wyjdziemy ze strefy kanałami. Będzie śmierdziało, ale innego wyjścia nie ma.

Kątem oka zauważyłem ruch, nagłe zaciemnienie pomieszczenia. Zacząłem odwracać się do wejścia, coś z tamtej strony błysnęło biało-niebiesko. Jak na spowolnionym filmie dziewczyna wypuściła chlebak, zgięła się w pół, opadła na kolana i przewróciła się w bok. Moja ręka skoczyła pod marynarkę, do rękojeści pistoletu, ale zamarła, kiedy następne wyładowanie wypaliło dziurę w metalowej listwie tuż przed moim nosem. Powoli uniosłem ręce nad głowę i

odwróciłem się w kierunku wejścia.

Na ulicy nie zwróciłbym na niego uwagi. Łysy jak kolano, zarośnięty, turystyczne spodnie i kurtka, kraciasta koszula, w dłoni promiennik.

— Ręce wyżej — machnął lufą — za głowę.

Splotłem dłonie na karku.

— Po co ją zabiłeś?

Na sekundę zawahał się, potem na twarz wypłynął mu wyraz złościwości.

— Nie zabiłem jej, poraziłem tylko. Ale ciebie mogę. Coś ty za jeden? Czego tu szukasz?

— Ciebie.

Teraz się zdziwił. Opuścił promiennik, szarpnął ręką, broń zawirowała dookoła dłoni, zawieszona na palcu kabłąkiem osłony spustu. Po trzech obrotach pewnie złapał ją za kolbę.

— Mnie?

— Ciebie, panienki którą sobie owinąłeś dookoła chuja, i czarodziejskiego pudełka jej tatusia.

— No proszę. Jesteś z dziesiątki?

Pokręciłem głową.

— Wolny strzelec.

— Proszę proszę, szpicel, szpicel. Kto cię nasłał?

Wzruszyłem ramionami.

— Jej ojciec.

Zaśmiał się. Gdzieś nad nami, w niebie coś trzasnęło i świsnęło, ostro, zgrzytliwie.

— Stary? Stary idzie w dół, i już ja, ja się o to postaram.

— Jesteś z dwunastki?

Nie odpowiedział. Gdzieś daleko huk. Świdrujący uszy świst narasta.

— No, zaczyna się — mruknął. — Wychodzimy na świeże powietrze — machnął promiennikiem. — Tyłem, ręce na karku.

Odwróciłem się plecami do Ostrowskiego, zastanawiając się, kiedy strzeli. Zrobiłem krok w tył, potem drugi, trzeci,

łokciem zahaczyłem o wystającą antenę; jeszcze jeden krok, plecami opieram się o framugę wejścia.

— No dalej.

Świst w niebie narasta, wielokrotnieje. Robię krok w bok, krok w tył, w obrys wejścia. Splatam mocniej palce na karku, łokcie przesuwam do przodu, tak, żeby nie zahaczyć o ścianę, tak żeby przedramiona osłoniły mi uszy, otwieram usta, jeszcze jeden krok w tył. Pomiedzy łokciami widzę wzbijający się w niebo słup spiralnego ognia.

Świat dookoła wybucha dymem, gruzem i hukem, dach hali tańczy jak taca trzymana ręką pijanego kelnera. W upadku przekręcam się na bok, w głowie jedna myśl. Wstrzelali się? Fala uderzeniowa popycha mnie kilka metrów po szorstkiej papie, przewraca, czuję szarpnięcia kiedy z pleców i boku oddzielają się strzępy ubrania i znaczą mój ślad.

Ręka sięga pod marynarkę, chwytą kolbę, rzutem ciała przewracam się na brzuch, łapię w przyrządy sylwetkę Ostrowskiego który chwiejąc się na nogach kieruje w moją stronę wylot promiennika, podpieram broń drugą ręką nie zważając na płonący ból ramienia, stabilizuję lufę, ściągamy spust, raz, drugi, trzeci, czwarty, kolejne wyładowanie rozcina papę obok mnie, narasta następny gwizd, następna seria wybuchów. Jedna ze spadających z nieba świetlistych linii wbija się w dach za Ostrowskim, dach wygina się, jakby

miał się przełamać, odbija w górę, pistolet wyslizguje mi się z dłoni, sięgam ku niemu, widzę jak prześlizguje się po falującej powierzchni. Z dachu za Ostrowskim wytryska fontanna ognia, świat zwalnia, z ogniowej kuli, leniwym, powolnym ruchem wylatują dymiące elementy konstrukcji hali, wirują jak łopaty wirników niewidzialnych śmigłowców. Jedno z nich w przelocie sięga przygarbionej sylwetki Ostrowskiego, odbija się, opada na dach, powolnym ruchem odtacza się do krawędzi i spada w przepaść, ten spektakl jest tak fascynujący, że dopiero podmuch od drugiej stalowej belki przelatującej mi nad głową odwraca moją uwagę, oglądam się za siebie i patrzę jak blaszana budka z aparaturą wybuchą fontanną szczątków i odłamków, trafiona końcem belki, która w końcu opada za krawędź.

Zapada cisza, nie słyszę nadlatujących następnych serii pocisków, nie słyszę nawet wiatru. Zbieram się na czworaki, siadam niezgrabnie, unoszę rękę do ucha, strzelam palcami. Cisza. Ostrożnie dotykam trafionej ręki, nadpalone włókna marynarki są jeszcze gorące. Trochę boli, ale to powierzchowne oparzenie.

Jak kulawy pies — staram się nie obciążać zranionego ramienia — kuśtykam na czworakach do leżącego Ostrowskiego, bezwładność uderzenia rzuciła go kilka metrów, w plecach odbity ma kształt kratownicy, przez strzępy kurtki wystają połamane żebra. Sięgam dwoma palcami do szyi leżącego, nie spodziewam się pulsu i nie

jestem zaskoczony. Podnoszę się na kolana, zawroty głowy po chwili ustępują, udaje mi się wstać. Kilka kroków dalej leży promiennik, podnoszę go, ważę w dłoni, oglądam opisane po merkińsku przełączniki i skale. Dotykam punktu oznaczonego znanym mi już symbolem, długa lufa skraca się, wyświetlacz celownika ciemnieje, światełka gasną. Teraz „narzędzie” mieści się w kieszeni marynarki.

Przyklękam przy zwłokach, łąpczywie je przeszukuję. Portfel odnajduje się w tylnej kieszeni spodni. Granatowo-czerwono-zielony zwitek banknotów, legitymacja. Otwiera się wzdłuż krótszego boku. Godło, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, zdjęcie twarzy, Wiesław Ostrowski, podpis. Niżej podpis akceptanta: MJ-12. Przysiadam z zaskoczenia — ale braku zdziwienia. Kilka elementów układanki łączy się nagle w jedną całość. Za legitymacją dowód osobisty na nazwisko Ostrowski i drugi, Michał Skirmuntt, przepustka do Strefy Specjalnej, wydana przez MSW, już nie jestem zdziwiony. Legitymację chowam do swojej kieszeni, portfel z pozostałą zawartością zwracam umarłemu.

Rozglądam się za swoim pistoletem, nigdzie go nie widać. Odczekuję jeszcze chwilę, aby uspokoić zawroty głowy, zbieram się na nogi i powoli kuśtykam w kierunku szczątków aparatury Stalina.

Błaszana nadbudówka została pozbawiona dachu, belka zmiotła też wystające części aparatury. Dziewczyna! Próbuje

przyspieszyć krok, ale obolałe ciało eksploduje bólem, prawie przewracam się, w ostatniej chwili łapię się wystającej stalowej belki na której przedtem opierał się dach budki. Anteny połamane, akumulatory i pojemniki z czerwoną rtęcią nietknięte, jeden stojak przewrócony, opiera się skosem o resztki ściany, pod nim bezwładna sylwetka. Opadam na kolana, zgarniam z dziewczyny porozbijane szkło lamp i pozrywane przewody, sięgam do szyi, puls słaby ale wyczuwalny. Opierając się o resztki ściany udaje mi się wstać, obchodzę ruinę z drugiej strony, całym ciężarem uwieszam się na przewróconym stojaku, udaje mi się postawić go do pionu, potem przewrócić na przeciwległą ścianę. Zgarniam z dziewczyny resztę szczątków, moja ręka opiera się o coś twardego co nie chce ustąpić pod naciskiem. Przesuwam dłońią po podłużnym pręcie, przy ciele leżącej palce robią się lepkie, unoszę rękę. Krew. Rozglądam się oceniając sytuację, wyciągam z kieszeni promiennik, włączam, ostrożnymi próbami badam przestrzeń stanów ustawień, przestawiam przełączniki i pokrętła. Tak powinno być dobrze — celuję w bok, w ścianę, wciskam spust, u wylotu lufy zakwita dwucentymetrowa kreska światła. Na próbę wycinam otwór w ścianie, prowadzę cięcie dookoła leżącej. Po wypchnięciu na zewnątrz, blacha opada z łoskotem. Przecinam wbity w ciało dziewczyny pręt i leżący na jej nodze kątownik, pod którym cała kostka jest nienaturalnie wygięta. Wyciągam spod elektronicznego gruzu swoją kurtkę, okrywam raną.

Patrzę na zegarek, jest rozbity. Mam nadzieję, że dobrze zrozumiałem wiadomość od Krakowskiej. Wyłączam promiennik, wsuwam do kieszeni, obchodzę blaszaną budę dookoła i siadam tak, żeby mieć widok na obwód. Kiedy opieram się plecami o blachę, w uszach zaczyna mi dzwonić.

To dobry znak, może całkiem nie ogłuchnę.

*

Wieje przenikliwy, zimny wiatr ale pocę się jak w łaźni. Po kwadransie dzwonienie w uszach ustępuje, pierwszym dźwiękiem jest szum wiatru, potem pulsowanie krwi, w końcu jakiś odległy łoskot. Poruszam nogę, słyszę zgrzyt podeszwy o podłoże. Znowu wycieram pot z czoła, cholernie chce mi się pić.

W huk wiatru wdziera się nowa nuta, rytmiczny, mechaniczny wizgot, gdzieś daleko, ale zbliża się powoli, w dole. Ostrożnie podczołguję się do krawędzi dachu, drogą którą tu przyszedłem sunie powoli kolumna mechanicznych sylwetek. Najeżone wylotami nieznanymi broni, kanciaste mechaniczne kolosy majestatycznie miażdżą środek drogi, po jednej stronie wyprzedza je wąska, czwórkowa kolumna błyszczących humanoidalnych sylwetek, po drugiej równy rząd niskich żółwi na gąsiennicach wyprzedza cały szysk i rozwija się w równy wachlarz z przodu. Gdzieś w oddali słyszę znów startujące dyski.

Przypadam do dachu, odczołguję się pod osłonę resztek budki. Co mówił „Staszek”? Wielkie uderzenie? Zaraz będą szły górą. Cofam się do wejścia do budki, wsuwam się pod przechylony stojak, tu może mnie nie zobaczą. Czy mogą namierzyć trikoeder? Wyciągam urządzenie z kieszeni, otwieram okładki notesu. Czarną, połyskliwą powierzchnię przecina nieregularna siatka pęknięć. Artefakty są zwykle bardziej odporne na kiepskie traktowanie, ten nie. Zastanowię się nad tym później.

Pomimo pęknięć glify działają, może trochę mniej precyzyjnie. Nowych wiadomości brak. Próbuję odszukać glif wyłączania, ale w rozwijających się tęczowo wachlarzach kolorowych oznaczeń nigdzie nie znajduję charakterystycznego znaku.

Huk nadlatujących dysków narasta, kulę się odruchowo, przedramieniem zakrywam głowę, w umyśle wyliczanka obcych broni i technik wykrywania, którymi mogą mnie zobaczyć, znaleźć, namierzyć, unicestwić.

*

Spod ruiny wyczołguję się kiedy huk ofensywy cichnie do odległego hurgotu dalekiej burzy. Rozglądam się, wysoko na niebie ciemniejsze owale manewrują w równych formacjach. Ile jeszcze czasu? Odruchowo patrzę na zegarek, widok rozbitej tarczy wprawia mnie w złość, nerwowo odpinam

stalową bransoletę i chowam zegarek do kieszeni. Przeciskam się przez szczątki aparatury, sprawdzam puls dziewczyny. Słaby, ale wyczuwalny, stabilny. Ile jeszcze?

W oddali nagły huk, coś błyska, wychylam się nad rozdartą blachę. W równy szyk latających talerzy wbija się plujący niebieskimi iskrami klucz czarnych punktów, w dół ku ziemi lecą płonące szczątki, wybucha następny trafiony centralnie ciemny okrąg.

Idealna formacja latających talerzy rozpada się na grupowe pojedynki. Z ziemi wzbijają się wirujące wytryski ognia, ale czarne merkińskie pojazdy teraz unikają ich z łatwością.

Za tylną strażą nalotu z chmur wypada następna grupa ciemnych kształtów, cygarowaty transporter desantowy w osłonie myśliwców. Ostatnie latające talerze odrywają się z szyku, zawracają, zaczynają pluć czerwonymi iskrami w kierunku desantu. Patrząc znieruchomiały jak czarne krople zakręcają prawie w miejscu w kierunku latających talerzy, odpowiadają ogniem na ogień, a podłużne cygaro samotnie schodzi w moją stronę. To już, oddycham lekko z ulgą.

Cygaro przyziemia, stabilizuje lot kilkanaście metrów wyżej, chyba przyspiesza. Przechodzi mi prawie równo nad głową, z jego boków odrywają się wirujące cienie, opadają wolniej niż kazałyby im grawitacja, lądują przy krawędziach dachu. Oglądam się, desantowiec kładzie się w szeroki skręt nad

dachami, zapala po bokach rząd prostokątnych świateł, jest w głębokim przechyle, kiedy prosto spod niego wyskakuje potrójny warkocz splecionego ognia, przełamuje je w pół, wybucha czerwienią, bielą, aktywnym błękitem.

Cienie zamierają nieruchomo, patrzą na ognisty deszcz opadający między budynki. Gdzieś z dołu rozlega się mechaniczny jazgot, seria z ckm przelatuje nam z gwizdem nad głowami, druga stębnuje jedną ze ścian poniżej. Cienie przypadają przy krawędziach dachu, jakby zapadały się z w sobie, jednym ruchem sięgają za swoje głowy, od pleców odlepiają im się podługowate buły, muton najbliższej mnie odwraca w moją stronę skomplikowaną maskę, rozlega się bełkotliwy basowy pomruk, dopiero za trzecim powtórzeniem dociera do mnie sens.

— Zuasuoou oouczyuuu.

Kiwam głową, unoszę do twarzy rękę, szare sylwetki roztapiają się w wieczornej szarości, widzę tylko jeszcze ruch jak celują w dół, przed siebie, narasta cienki wizgot, zasłanianie oczu przedramieniem kiedy buły zaczynają pluć kroplami słońca. Blask przenika czerwoną poświatą przez przedramię, którym osłanianie twarz, uderza w rękę falami żaru. Gdzieś w dole krótki krzyk, wybuch, ckm cichnie. Cienie zmieniają pozycje wzdłuż krawędzi. Chwila spokoju, potem gdzieś daleko szybka seria rytmicznych „buchnięć” zakończona narastającym szumem, szum przechodzi w

muczący ryk. Cień za moimi plecami strzela krótkimi seriami, raz, drugi, trzeci, jeden odległy wybuch, drugi, jeszcze jedna seria błysków, trzeci wybuch trzęsie całym budynkiem. I znowu, buch, buch, buch, buch, buch, szszszszuuuuuuuuu, i błyski, teraz już z dwóch luf. Następna seria odpaleń, tym razem idą wyżej, znad krawędzi dachu wyskakuje grupka ognistych punktów ciągnących za sobą ogony z płomienia i dymu, basowy ryk narasta, przechodzi nieomal w krowie muczenie, kiedy poddźwiękowe pociski rosna w oczach i opadają w naszą stronę.

Obłe lufy wędrują w górę, wyczekują jeszcze chwilę, trzaski, krople słońca dopadają ryczących krop, te wybuchają. Nie wszystkie, jedna przelatuje górą, kilka trafia w budynek gdzieś pod nami, nasz dach się trzęsie, Napływają na mnie fale gorzkiego gorąca. Jeden z cieni odwiesza miotacz na ramię, zdejmuje z garbu krótką grubą rurę, drugi wyciąga podłużne owalne jajo, przekręca na nim biegnący przez środek pierścień, wrzuca w otwór rury. Muton podnosi rurę, coś wybiera na pełgającej kolorami tabliczce sterowniczej, celuje w powietrze nad naszymi głowami, strzela. Jajo wyskakuje w powietrze, zakręca, podąża w kierunku pochodzenia ryczących pocisków. Mija kilkanaście sekund, w oddali rozlega się bardzo głośny wybuch, po nim następny i następny, te już słabsze. W niebo unosi się przygasająca kula ognia, gdzieś pod nami odłamki siekają resztki ściany, przelatują z gwizdem nad naszymi głowami.

Zapada cisza.

Sylwetki strzelców nabierają wyrazistości, ten który do mnie mówił odwiesza broń na plecy, miotacz stapia się bez śladu z obłą bułą oporządzenia. Przykucnięty sięga w zakamarki munduru, wyciąga niewielki przedmiot, z tej odległości nie widzę szczegółów, unosi go w złożonych dłoniach ku niebu, pomiędzy rękawicami zapala się fioletowy błysk, miga szybko, prawie niezauważalnie. Powidok jest taki, jakby z rąk mutona szła w niebo cienka, fioletowa kreska. Scena zamiera na chwilę, po czym fioletowy ognik gaśnie, a przedmiocik wraca do kieszeni.

Mutony zbierają się grupę, bez słowa zaczynają rozpakowywać swoje wyposażenie. Spod maskującej powłoki wyłaniają się dwa podłużne pojemniki oznaczone postawionym na sztorc kwadratem nakreślonym grubą czerwoną linią. Zasobniki rozpadają się na drobniejsze elementy, z tych zmontowany zostaje, podobnie oznaczony, półtorametrowy krąg jasnego metalu z bułą zgrubienia w środku, obok drugi, przełamany w połowie.

Błyskają palniki, resztki instalacji i blaszanej budki zostają precyzyjnie ścięte na wysokości metra. Obcy zdejmują z nieprzytomnej dziewczyny gruz i odłamki konstrukcji, wycinają resztę ściany. Krąg unosi się w powietrze i sterowany gestami przepływa gładko nad nieprzytomną, obniża się kilka centymetrów nad ciałem, i obejmuje

wszystko fioletowozieloną aureolą pola, po czym unosi się wraz z leżącą dziewczyną, a fragmenty drugiego kręgu wpływają pod ciało dziewczyny i łączą się w całość.

Zostaje zmontowany drugi krąg, mniej zabudowany, szkielet właściwie; ten bierze na siebie ciało Ostrowskiego. Próbuję protestować, ale moje machania rękami zostają zbyte spokojnym gestem.

— Eeegaamy.

Muton przesuwa płaskim przedmiotem nad moją nogą, rozwija szeleszczący pakiet z którego wysypuje się płatanina połyskujących prętów i złącz. Moja noga wraz ze stopą zostaje opakowana przegubową konstrukcją, zapakowana w ciasny rękaw, coś syczy, rękaw obkurcza się i wraz z prętową konstrukcją usztywnia mi nogę. Dostaję plaster do nalepienia na skórę; przyklejam go na szyi, po minucie ból znika, a świat uspokaja się.

Czekamy.

Po chwili zaczynam nawet słyszeć huk wiatru i grzmoty dalekich wybuchów, gdzieś na horyzoncie błyskają kolorowe iskry pocisków ścigających niewidoczne w zapadającym zmroku latające kształty. Mutony powoli obchodzą obrzeża dachu, starannie przyglądając się wszystkiemu co dzieje się na dole. Czekamy na coś.

Jeden z Obcych dochodzi do rogu dachu, rozgląda się, zmienia kierunek, omija dziurę szczytującą się dziurę, kiedy gdzieś z dołu wyskakuje błyszczący przecinek, wbija mu się w plecy stożkową głowicą i po ułamku sekundy wybucha. Muton pada, ryczy niehumanie, przełamuje się w pół, przypadam do podłoża, zakrywam głowę rękami czekając na wybuch wyposażenia, który nie następuje. Zamiast tego znikąd narasta hurgot spodka, rozglądam się, zza krawędzi dachu z wyciem wichru unosi się kopułka, wirujące talerze, z luku w osi pod całym pojazdem poczwórne lufy plują smugowymi pociskami, linia wybuchów biegnie przez dach, obejmuje drugiego mutona, który wybucha białym ogniem, zza pleców słyszę serię trzasków, oślepiające ogniki z ostatniego miotacza przelatują kilka metrów na lewo od mojej głowy, sięgam do kieszeni, przez trwającą godzinę sekundę zmagam się z glifami promiennika, moc maksymalna, zasięg nieograniczony, z tyłu urządzenia ślamazarnie wysuwa się wyświetlacz celowniczy, błękitne krople plazmy wydzierają kawałki poszycia i wewnętrznych mechanizmów spodka, maszyna chwieje się, sieje wokół metalowymi szczątkami, biorę górną kopułkę w krzyż celownika, ściągam powoli włącznik, na poszyciu spodka zapala się rozżarzony punkt, spodek robi unik, drugi, przestawiam promiennik na impulsy, celuję znów, smugowe pociski wbijają się parami w dach coraz bliżej mnie, z trafionego impulsami energii poszycia kopułki odpadają szczątki, następna seria z miotacza mutona trafia w spojenie kopułki i górnego talerza, udaje mi się trafić w ciemną

sylwetkę oświetloną przez ułamek sekundy aktywnym blaskiem.

Spodek zamiera, wstrzymuje ogień, ustają uniki, muton pakuje jeszcze w kopułkę pilota serię słonecznych pocisków, ja staram się trafić w skośną przestrzelinę w górnym talerzu, kopułka zaczyna płonąć, talerz przechyla się w bok, odpływa w powolnym halsie, przechył pogłębia się, maszyna wali się na krawędź, unoszę się na kolana, powoli, mogę trochę zgiąć w kolanie usztywnioną nogę, widzę jak płonący talerz odbija się jak rzucona moneta o powierzchnię pola startowego, w końcu opada i wybuchają kulą ognia.

Oglądam się za siebie, patrzę na mutona, ten kiwa głową i pokazuje kciuk do góry, uśmiecham się w odpowiedzi. Ale nie mamy czasu na pogaduszki, odzywa się następna fala dalekich ryków, muton rozgląda się, unosi broń, strzela starannie mierząc. Idą nisko, kilka przebija się przez ogień samotnego strzelca. Podczołguję się do krawędzi dachu, próbuję unieść miotacz poległego, waży chyba z pięćdziesiąt kilogramów, pod moim dotknięciem układ sterowania gaśnie. Muton kręci przecząco głową, wypuszczam bezużyteczną broń z ręki. Na wskaźniku promiennika charakterystyczny glif — końcówka ładunku.

— Kurwa mać.

Wtedy widzę.

Nad miastem, pod pałającymi chmurami zmierzchu, przesuwa się trójkąt czerni, skokami po liniach prostych i wirując w zakrętach. Słysząc następną salwę „krów”, trójkąt zniża się w naszą stronę, przebiega przede mną ogłuszający trzask i szum fali uderzeniowej, trójkąt bez hamowania zatrzymuje się nad nami, wysuwa z kątów trapezoidalne nośniki świecące żółto i dopiero dociera do mnie jak jest wielki, staje się naszym niebem. W głowie zapętłona myśl: podnieśli krążownik, podnieśli dla nas krążownik, krążownik podnieśli...

Budynek drży od uderzenia powietrza, gdzieś pod nami rozlega się trzask pękającego szkieletu, ginie w narastającym huku napędu „trójkąta”, odległa połącz w dachu zapada się w dół. Nadlatuje seria „krów”, pod jednym z rogów krążownika zapala się punkt światła, wypływa stado małych ogników które pędzą na spotkanie latającym bombom.

Ostatni muton stoi nieruchomo, wyprostowany, ja podnoszę się opierając o szkielec zwalonego komina. Budynek się chwieje. Noga daje o sobie znać, ale usztywniający rękaw pomaga, podnoszę się ostrożnie. Obejmuje nas zielonożółte światło, pod nami trzaska waląca się konstrukcja, dach opada kilkanaście centymetrów w dół, na sekundę huk napędu robi się głośniejszy, nośniki rozbłyskają złoto, potem wracają do poprzedniego stanu. Gdzieś z boku eksplozje.

Daleko przed nami z ruin w powietrze unosi się wirująca kula ognia, łukiem zakręca w naszą stronę, przyspiesza chyba. Znad trójkąta strzela promień światła, tuż przed celem rozpryskuje się na kilkanaście jasnych punktów, które opadają kulę ze wszystkich stron, ta rozbłyska niebiesko, gaśnie, i żarząc się coraz słabiej opada w dół, między budynki, wstrząs wybuchu chwieje dachem po kilku sekundach, ale nie ma błysku ani huku.

Otoczające światło zmienia kolor na żółtopomarańczowy i powierzchnia dachu ucieka mi spod stóp. Patrząc w dół, za mną z dachu unosi się muton, nosze z nieprzytomną, drugie ze zwłokami.

Zielony składnik światła gaśnie, pod nami widzę jak dach zaczyna rozpadać się na kawałki, a niebo krążownika odskakuje w górę jak balon nagle spuszczone z uwięzi. Wpływamy do środka, wisimy w rozświetlonej białą pustce, dookoła krążą jasne, rozmyte światła. Pod nami, z walącego się w zwolnionym tempie budynku wykwita jasna jak słońce kula ognia, widzę jeszcze rozbiegającą się falę uderzeniową i Wrocław ucieka nam spod nóg.

Po minucie huk nośników cichnie, światła przygasają, w dole kolisty kształt. Zaczynamy opadać, opadanie statku przechodzi płynnie w nasze opadanie kiedy otoczenie staje się znów niebem, czarny trójkąt zostaje w górze, a my dotykamy powierzchni sześciokątnej rampy wśród

szarobiałych wielkogłowych sylwetek. Kawalek podłóża zjeżdża w dół, ostatnim spojrzeniem łapię znikający w czerni nieba krążownik, niknące w obrysie kadłuba płaty nośników, coś zimnego dotyka mojej szyi, syknięcie, odpływam w zmęczenie i wolność od bólu.

*

Potem, w szpitalu, wszystko było, jasne, bezbolesne, i zwyczajne. Dopóki nie poszedłem zobaczyć co z dziewczyną.

Było mi jasno i gorąco, poruszyłem ręką, i obudziłem się. Leżałem w zwykłym szpitalnym pokoju, jesienne słońce padało mi na twarz przez zwyczajne okno w ścianie i zwyczajne okno w ciężkich chmurach. Ruszyłem głową, coś weszło mi do nosa, obmacałem twarz, o nos i uszy miałem zaczepioną śliską pętlę z przezroczystej rurki, na palcu zaciśnięty gumowy napaśtek z przewodem biegnącym do skomplikowanego urządzenia stojącego w miejscu w którym spodziewam się nocnej szafki. Biegły tam też inne przewody, o tym że jestem nimi opleciony przekonałem się, kiedy spróbowałem wstać. Pośród kilkudziesięciu wskaźników odnalazłem znajomy kraciasty wyświetlacz z przebiegającym ciągle od nowa wykresem mojego tętna. Spróbowałem opuścić nogi, ale gwałtowniejszy ruch powodował bolesny zawrót głowy, opadłem na łóżko.

Weszła pielęgniarka, zupełnie zwyczajna, byłem zaskoczony,

jakbym spodziewał się czegoś krańcowo odmiennego, ale nie, miała dwie nogi, dwie ręce i jedną głowę, i czepek, taki sam jak nosiła „pigula” w naszej podstawówce.

— Witamy w Oleśnicy. Jak się pan czuje?

Poruszyłem głową, jęknąłem.

— Mam zawroty głowy, a dalej, jeszcze nie wiem. Co mi było? Co z dziewczyną?

Podniosła tabliczkę wiszącą na poręczy łóżka.

— Ma, miał pan lekki wstrząs mózgu i dość paskudne złamaną kostkę. A i jeszcze oparzenie prawego ramienia, trzeci stopień ale powierzchowne. Skóra zregenerowana, kostka już naprawiona, o szczegółach proszę porozmawiać z lekarzem, zaraz będzie południowy obchód. A, jeszcze, proszę tego nie zdejmować jeszcze — wskazała na moje manipulacje gumowym napastrkiem. Coś panu trzeba?

— Pić mi się chce. I wręcz przeciwnie.

— Zaraz coś panu przyniosę. I kaczkę.

Zniknęła w drzwiach, po chwili wróciła z przezroczystym ściętostozkowatym naczyniem wypełnionym mętno-żółtą cieczą. Podała mi, w chwycie elastyczne naczynie ugięło się

lekką. Od góry zamykała ją przezroczysta pokrywka przebita słomką do picia. Pociągnąłem łyk. Słodko-cierpkie, owocowe.

— Co to?

— Importowany sok z szarych owoców, witalizowany, nie zaszkodzi panu. Zaraz będzie obchód.

Przyjrzałem się podejrzliwie, napój był żółty.

— Nie mam gdzie tego postawić — podałem jej na wpół pełne naczynie.

— Tu z boku łóżka jest taki okrągły uchwyt, proszę wstawić tam — wskazała.

Obejma doskonale pasowała do przezroczystego kubka. Pielęgniarka zamknęła za sobą drzwi, ja opadłem na poduszkę. Przysnąłem chyba.

*

Kiedy się znowu ocknąłem, w pokoju było dwóch lekarzy. Badanie: stetoskop, odruch źreniczny. Potem drugi lekarz odciągnął kołdrę z mojej nogi, przesunął nad nią białą płaską „łopatką”, poczułem falę ciepła.

— Co to?

— Sprawdzamy jak tam noga. Przez kilka dni proszę jeszcze nie tańczyć i nie skakać ze spadochronem, ale chodzić już pan w zasadzie może. Proszę spróbować.

Ściągnąłem z głowy śliską pętlę, ostrożnie opuściłem nogi na ziemię, chwyciłem się mocno krawędzi łóżka, oczekując zawrotów głowy. Nie nadeszły. Zaparłem się o krawędź łóżka i spróbowałem wstać, przeniósłem ciężar ciała na ranną nogę. Ani ukłucia bólu. Starszy lekarz pstryka przełącznikami pikających urządzeń, elektroniczny puls cichnie.

— Długo tu jestem?

— Półtora dnia.

— Szybko poszło. Czuję się jak nowy.

— Niezłe, nie? — Młodszy z lekarzy, jeszcze prawie chłopak szczerzy się tryumfalnie — blizna też zejdzie w ciągu miesiąca.

— Blizna?

— Trzeba było się dostać do środka — mówi starszy.

Siadam na łóżku, podciągam nogawkę szpitalnej piżamy. Na stopie, na łydce, gwiazdziście rozbiegają się różowe szramy.

Nie ma szwów. Wskazuję w dół.

— To tak ma być?

— Tak. Klej mocniejszy od mięśni i ścięgien, prędzej obok się coś zerwie. A to, wchłonie się w ciągu kilku tygodni i nie będzie śladu.

— Jestem pod wrażeniem. Co z dziewczyną z którą mnie tu przywieźli?

Patrzą po sobie. Odzywa się starszy.

— Wszystko w porządku, ale ciągle jeszcze jest na intensywnej terapii. Proszę porozmawiać z doktorem Michnikowskim, on ją prowadzi. Gratuluję wyjścia ze Strefy — wyciąga do mnie mocną rękę — w zasadzie jest pan zdrów.

— To wypis?

— Jutro. Do jutra zostanie pan tu na wszelki wypadek.

Wymieniam uściski dłoni, wychodzą, rozglądam się po pokoju. Oprócz łóżka i cichych już elektronicznych pudełek, szafa. Zaglądam. Na półce pudełko z zawartością moich kieszeni, ale nie ma portfeli, promiennika i trikodera. Na wpół pusta paczka papierosów zapakowana jest w

tomofanową torebkę, rozpakowuję ją łapczywie, wali mnie w twarz smród kanału. Z powrotem zawijam papierosy w tomofan, rozglądam się za śmietnikiem, udaje mi się trafić za pierwszym rzutem. Obok trochę zapasowej bielizny, którą miałem w plecaku, półkę wyżej oficerska raportówka, podnoszę ją, jest lekka jakby była pusta, ale w środku coś jest. Koperta, od dotknięciem papier z którego jest wykonana okazuje się jednocześnie śliski i włóknisty, szorstki. Na powierzchni koperty moje nazwisko wydrukowane literami składającymi się z luźno rzuconych obok siebie czarnych punktów. Koperta nie jest zaklejona, w środku plik nowiutkich czerwonych banknotów. Wyciągam pieniądze, przeliczam. Pięćset złotych. Premia? Zasiłek?

Pod kopertą dwie paczki carmenów i zapałki.

Na wieszakach obok, zapasowa koszula, bielizna, spodnie, marynarka, cienki szpitalny szlafrok. Wszystko w moim rozmiarze. Narzucam szlafrok, stopy wsuwam w kapcie z białej włókniny, które leżą pod łóżkiem i wychodzę na korytarz.

*

Zwyczajny szpitalny korytarz, z podłogą z szorstkich i jednocześnie lśniących płytek, jest cicho, szumią tylko wywietrzniki w suficie. Co kilka kroków mijam na wpół przeszklone drzwi, podchodzę do jednych — dobiega mnie

rytmiczne pikanie, zaglądam przez szybę. Łóżko zasłonięte jest parawanem, widzę tylko poręcz w nogach, ramkę z kartą i przykryte pościelą stopy. Idę dalej.

Z bocznego korytarza wychodzi pielęgniarka, przesuwa po mnie obojętnym spojrzeniem, skręca w kierunku wyjścia.

— Przepraszam!?

— Tak? — Odwraca się.

— Szukam pacjentki, Gaja Macyniuk.

— Jaki oddział?

— Nie wiem... była ciężko ranna.

— To ta co ją z panem ewakiem przywieźli?

— Tak, razem ze mną.

— Leży na OIOM-ie.

— Mogę ją zobaczyć?

— Niech pan porozmawia z przełożoną, zaprowadzę pana.

Idziemy do dyżurki, w środku moją uwagę przyciąga ściana

pokryta prostokątnymi panelami, jak wyświetlacze, ale płaskie. Na każdym zielona kreska pulsu, jakieś inne wykresy, liczby.

Oddziałowa obraca się w moją stronę, obrotowy fotel skrzypi.

— Pan w jakiej sprawie?

— Dzień dobry, chciałem odwiedzić Gaję Macyniuk. Dowiedzieć się, jak się czuje.

Oddziałowa patrzy na ścianę wyświetlaczy, znowu skrzypi krzesłem.

— Pan jest...?

— Z tego samego transportu.

— Jest nieprzytomna. Może pan ją zobaczyć, jeśli pan chce, ale przez drzwi, no i nie porozmawia pan z nią.

— Niech tak będzie.

— Chodźmy. Będzie pan musiał założyć ochraniacze. Proszę za mną.

Z szafki przy drugich drzwiach podaje mi kilka szeleszczących zawiniątek.

— Proszę to założyć na głowę i na buty.

Z szelestem rozwijam tomofanowe berety z gumką, największy naciągam na włosy, dwa mniejsze na buty, dostaję jeszcze biały fartuch do zarzucenia na ubranie, wchodzimy.

Zamiast zielonej lamperii, korytarz białego szkliwa. Podchodzimy do osadzonej w ścianie płyty z matowego szkła, odsuwa się z cichym syknięciem. Za wejściem pomieszczenie przytłoczone białym bulwiastym sprzętem, lejący się kształt jak gruda wygładzonej gliny, czy płynącego powoli elastomeru. Od góry wgłębienie, wypełnione mętną, matowobiałą mazią z cienkimi szlaczkami czerwieni. Z powierzchni mazi wystaje twarz i opleciona kablami ręka dziewczyny.

— Co z nią?

— Wszystko będzie dobrze, ale proszę porozmawiać z doktorem Michnikowskim. On panu powie dokładnie, była na stole jednaście godzin.

— Mogę podejść bliżej?

— Proszę.

Podchodzę, wyciągam rękę, żeby się oprzeć, biała wygięta

powierzchnia jest zimna i śliska, jak porcelana, ale ugina się lekko pod naciskiem. Pochyliłam się nad dziewczyną, z bliska widzę ruch jej oczu pod powiekami. Porusza ustami, jakby coś mówiła, ale nie wydaje głosu, pod powierzchnią mazi widzę poruszające się palce. Powolna fala wywołana ruchem ręki przepływa wzdłuż całej niecki i ciała, dookoła głowy pod powierzchnią pokazuje się plątanina splątanych, białych przewodów. Odwracam głowę do pielęgniarki.

— Ona śpi?

— Śpi i śni, sztuczne sny. Lekarze ją uspili, żeby jej nie bolało, i żeby szybciej się goiło.

— Tak się często robi?

— Przy groźniejszych urazach. Ale to lepiej lekarz panu wytłumaczy, chodźmy.

*

Lekarz jest ubrany nie w kitel, lecz w luźny jasnozielony kombinezon z czegoś cienkiego i szeleszczącego. Na szyi wisi mu coś co wygląda jak wyprostowany miniaturowy wykrywacz min. Wychodzi z sali zabiegowej ocierając łysinę wielką czerwoną chustką, którą upycha potem w kieszeni kombinezonu.

— Co z nią? — Chowam odruchowo wyjęte papierosy do kieszeni.

— Na szczęście nie było śmierci mózgowej, dobrze, że trafiła tutaj odpowiednio szybko. A reszta, nic poważnego.

— To znaczy co?

— Złamany obojczyk, trzy żebra, dwa kręgi i podstawa czaszki, ręka z przemieszczeniem, dwa krwotoki wewnętrzne, i jeszcze zwichnięta noga i pręt w mięśniach podudzia. Na razie jest uśpiona, żeby jej nie bolało.

— Nic poważnego?!

Poklepuje mnie po ramieniu.

— Najważniejsze, że mózg nie jest uszkodzony. A reszta, jutro będzie przytomna, a w sobotę będzie mogła wrócić do domu. Na własnych nogach. To młoda dziewczyna, silny organizm, dobrze się regeneruje. Nie to co pan czy ja. A jeszcze, kawałek kości strzałkowej uległ zmiążdżeniu, musieliśmy protezować.

Patrzy na papierosy, które znowu wskoczyły mi do ręki. — Pali pan?

— Czasami.

— Skoczę się przebrać i chodźmy zajarać, spokojnie porozmawiamy. Minuta.

Kiwam głową, chowam papierosy. Lekarz znika w bocznych drzwiach, po pół minuty wraca, teraz już w koszuli bez krawata i pogniecionej marynarce.

— Tu nie można, ale jest takie miejsce... tędy.

Wychodzimy bocznymi drzwiami, ażurowe schody w górę, długi balkon, dalej po ścianie biegną rzędy oszklonych drzwi. Od szpitala do ogrodzenia z zielonkawych łusek ciągną się rzędy bulwiastych baraków. Wyciągam paczkę.

— Można?

— Prosz' — wystukuję z paczki jeszcze jednego fajka. Doktor wyciąga go zręcznym ruchem, szczęka benzynową zapalniczką, zaciąga się łapczywie.

— Nie przywożą nam tu szługów w zaopatrzeniu, tylko jak ktoś sam jedzie, to przywiezie, a te trepy to tylko sporty palą.

— Długo pan tu siedzi?

— Będzie dwa lata. I jeszcze ze dwa posiedzę.

— Po co?

— Nauczyć się wszystkiego czego można, a potem uczyć następnych.

— Nie boi się pan, że się uzależnimy? Od nich?

Lekarz zaciąga się głęboko, patrzy w bok.

— Lepiej być uzależnionym, niż bezsilnym, wie pan, lepiej żyć z długiem, niż nie żyć w ogóle. Przedtem ludzie umierali mi na rękach, czasem nie wiadomo nawet było na co, a teraz, wie pan, w skanerze — klepnął się w kieszeń — jest są ultradźwięki, interfero i kupa jeszcze jakichś innych szpejów, niektórych nie rozumiem wogle, ale jak się już znajdzie co jest niehalo, to się kładzie pacjenta do kisielu, ustawia parametry i za tydzień jest jak nowy, albo można go poskładać, posklejać prawie z kawałków. Byle mózg był. Tego się muszę nauczyć. Tutaj. Od nich.

Milknie i zaciąga się na pół papierosa.

— Jak pan się nauczy, to niech pan przyjdzie do nas — mówię pojednawczo — do instytutu.

— Zobaczymy, jak byłem ostatnio na przepustce, zajrzałem na Banacha. Też sobie nieźle radzą.

Zaciągam się głęboko.

— Nie boi się pan, że w tym wszystkim jest jakiś haczyk?

— Daj pan jeszcze jednego — odrzucił peta. Wyciągam paczkę w jego stronę. Wytrząsa jednego, przypala.

— Pewnie że się boję. Ale wiesz pan jak jest. Ta dziewczyna, co ją z panem przywieźli.

— No?

— W prawej nodze zmiażdżona kość strzałkowa, musieliśmy wszczepić kawałek metalu, zamiast kości. Można się paprać inaczej, ale to trwa miesiącami. Ich metal, specjalny, co nie ulega odrzuceniu. Oczywiście, chuj wie co tam w środku jest, to może być cokolwiek. Ale na zastąpienie kawałka kości dają gwarancję. Prosty rachunek.

— Mhm.

— Wolałbyś pan, żeby do końca życia była kaleką? Taka dupa?

— Nie.

— No właśnie. A pan też przecież dla nich robisz.

— Robie i nie robie.

Parska, rozkaszał się.

— Ewakiem was tu przywieźli. Tak tylko swoich wożą.

— Teraz robię dla Nich, jedną rzecz.

— Wystarczy.

— Jak z tą panną będzie?

— Dobrze, co ma nie być. Poskładana jest, teraz tylko się zagoić musi.

Coś mu zapikało w kieszeni, wyciągnął niewielką czarną płytkę. Artefakt.

— Wzywają mnie na OIOM, dzięki za fajki.

— Niezamaco. A jeszcze?

— Co?

— Długo ją tu będziecie trzymać?

— Aż się wygoi, dwa, trzy dni. Siema.

Popatrzyłem za nim, szedł zgarbiony pod ciężarem wiedzy, a może po prostu zmęczony jak przodownik pracy po ułożeniu

30 tysięcy cegieł w czasie jednej zmiany. Wracalem do pokoju, na korytarzu złapała mnie pielęgniarka.

— Panie Tomaszu, halo, lekarstwa pan nie zażył.

— Jakiego lekarstwa?

— To na spokojny sen. I ma pan się zgłosić do pokoju 182.

— Po co?

— Wizyta u doktora Libera.

Podala mi papierowy kieliszek, w srodku malutka szarofioletowa pigulka i wieksza, beżowa kapsulka. Wrzucilem lekarstwa do ust, przełknalem na sucho.

— Tu jest woda — pielęgniarka podala mi przezroczystą plastikową szklankę.

— Nie trzeba.

— Niech pan popije. Na zdrowie!

Popilem, oddalem jej naczynie.

— 182 jest gdzie?

— Drugie skrzydło, pierwsze piętro. Zobaczy Pan na miejscu. Zejść na parter, szerokim korytarzem w lewo, do drugiej klatki schodowej i tam na pierwsze piętro.

— Jakoś znajdę, dziękuję.

Szeroki korytarz był także bardzo długi, wyłożony niebieskobeżowymi, stukającymi pod butami płytkami. Mijałem pacjentów wiezionych na wózkach, jadących na samobieżnych wózkach bez obsługi, wyminęła mnie lekarka jadąca na dziwacznej dwukołowej platformie z wystającym z przodu uchwytem. Staralem się nie okazywać zdziwienia.

Przy drugiej klatce schodowej korytarz zamykały solidne drzwi ze znakiem trójkąta i trzech linii, poniżej kilka rzędów większych i mniejszych merkińskich hieroglifów. Ludziom pozostawiono prosty przekaz: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Brak klamki.

Wspiąłem się na pierwsze piętro, klatka schodowa otwierała się na sporą salę z fotelami, niskimi stolikami, w rogu kanapa. Odnajduję gabinet, „Leonard Liber, lekarz psychiatra”. Psychiatra? Wzruszam ramionami i naciskam klamkę.

Lekarz siedzi z głową odchyloną do tyłu, na twarzy ma pasmo matowego szkła, gdzieś już coś takiego widziałem, odwraca głowę w moją stronę.

— Niech pan siada, panie Szczepański.

— Dzień dobry.

— A dzień dobry. — Unosi ręce do skroni i oburącz zdejmuje sobie z twarzy szarą plamę, ostrożnie odstawia ją na biurko.

— Wie pan po co pana tu zaprosiłem?

— Nie.

Lekarz wyciąga z biurka cienką teczkę, otwiera, przebiera między paskami szeleszczącego papieru, pokrytego nieczytelnymi zygzakami.

— Kiedy trafił pan do nas, zrobiliśmy komplet badań, sprawdziliśmy pańskie ciało i umysł. Ciało naprawiliśmy, umysłu nie dotkniemy bez pańskiej zgody.

— Nic mi nie dolega.

— A te bolesne wspomnienia?

— Co z nimi?

— Utrudniają panu życie?

— Nie rozumiem co pan ma na myśli.

Lekarz milczy chwilę, składa dłonie w piramidkę.

— Moglibyśmy troszkę je... zneutralizować. Żeby nie budził się pan w nocy zlany potem, z tętnem 180.

Teraz ja milczę chwilę.

— Jak?

— Poprzez Wspólnotę. Kilka sesji, wspomaganych farmakologicznie.

— Mam wziąć aklo?

— Tak.

— Nie ma mowy.

Lekarz zastanawia się, w końcu mówi.

— Są jeszcze inne metody, sprzęg mózgowy, tu nie trzeba żadnego chemicznego wspomaganie.

— Z kim miałbym się łączyć, z jakimś sektoidem?

— Przecież pan bardzo dobrze wie, że Merkini nie potrzebują wspomaganie, ani chemicznego, ani elektronicznego, do osiągnięcia Wspólnoty. Kontakt nastąpiłby między panem a

lekarzem, mną, albo kimś z oddziału, dostałby pan tylko wsparcie przy rozpinaniu łuków skojarzeniowych powiązanych z nieprzyjemnymi wspomnieniami.

— Chyba jednak nie skorzystam — podnoszę się z krzesła. — To wszystko?

— Tak.

— Do widzenia.

— Do widzenia... gdyby pan jednak zechciał zmienić zdanie, oto moja wizytówka.

Moja ręka sama sięga w kierunku biurka, chwyta w palce biały kartonik.

— Dziękuję, i jeszcze raz do widzenia.

Wychodzę na korytarz, opieram się o okno, serce wali jak oszalałe. Nagle doceniam pastelowe meble i cukierkowy wystrój.

*

Następnego dnia przenieśli mnie do pokoju w części gościnnej, dwa dni później skończyły mi się papierosy. Już w swoim ubraniu stałem na balkonie i obracałem w palcach

ostatniego papierosa z paczki, kiedy zza pleców odezwał się ostry głos.

— Wesołe jest życie współpracusia, co nie?

Obejrzałem się gwałtownie i wypuściłem fajkę z rąk. Za mną stała Gaja, opierając się na dwóch laskach. Musiała wyjść z drzwi do którejś sali.

— Cześć. Jak się czujesz?

— Niech mnie pan nie ustawia od razu swoim słodkim pierdzeniem!

Zaśmiałem się i przykucnąłem po zgubę. Z tego kąta jej biust robił jeszcze większe wrażenie.

— Odebrał pan już wynagrodzenie za oddanie mnie w ich łapy?

Wsadziłem papierosa za ucho i podniosłem się zapierając rękami o uda. Coś mi strzyknęło w kolanie.

— Gdyby nie te łapy, już byśmy ci sypali miły kurhanik, grabarzowi się spod łopaty ledwo wywinęłaś. Poskładali cię do kupy.

— Ta, z gówna mnie poskładali, tak się czuję. Zresztą po co,

zaraz milicja pewnie po mnie przyjedzie.

— Nie przyjedzie. — Westchnąłem. — Nie zdążyłem ci tego powiedzieć, ale cieszę się, że cię widzę. Nie bądź taka złośnica, aż tak bardzo się wściekasz, że uratował cię ktoś wysłany przez ojca?

Mruknęła coś niezrozumiale.

— Ojciec kazał mi odzyskać trikoder, ciebie wyciągnąłem stamtąd na własny rachunek. Myślę, że należy mi się chociaż podziękowanie za to, że nie skończyłaś w lodówce — urwałem w ostatniej chwili, żeby nie dopowiedzieć — jak Ostrowski.

To nawet nie była do końca nieprawda.

— Jasne. Wielkie dzięki.

Nic nie odpowiedziałem, bo przez głowę przeleciała mi myśl, zrozumiałem że nienawidzi mnie za to, że musi dokonać pierwszego w życiu kompromisu z własnymi poglądami, a ja stałem się też uosobieniem przyczyny bólu, który pierwszy raz na dłużej zagościł w jej ciele. Ona też patrzyła na mnie, odpowiedziałem jej zmęczonym spojrzeniem. Wzruszyłem w duchu ramionami, co mi zależy.

— Posłuchaj, coś ci powiem. Moja żona poddała się

udoskonaleń, po czym wyjechała robić karierę w naszym poselstwie u nich, i rżnie się teraz z jakimś ksenoformowanym dupkiem. Ja robię co mogę, żeby związać koniec z końcem. Zadowolona jesteś!?

Rysy jej zmiękły.

— Przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam, nie chciałam...

— A w sumie jedno ci powiem jeszcze. Nie pasuje mi, że jesteście czyjąś posiadłością. Ale ci w odróżnieniu od tamtych nie rozwalają ludzi wedle swojego widzimisię. To już dużo, taki mam popieprzony system wartości.

— To czemu nie zajmie się pan jakąś uczciwą pracą?

— Przynajmniej mam poczucie, że mogę coś zmienić.

Odwróciła głowę w bok, kiedy znów spojrzała na mnie, rysy miała miękkie.

— Masz zapalić?

Sięgnąłem za ucho.

— Ostatni. Na spółkę?

Kiwnęła głową. Dmuchałem na papierosa, włożyłem do ust, przypaliłem. Zaciągaliśmy się na zmianę, nasze palce dotykały się przy przekazywaniu sobie ustnika.

— Tego mi było trzeba — mruknęła, rozpędzając dłonią dym znad twarzy. — Muszę iść, zaraz mam rehabilitację. Na razie.

— Pomóc ci zejść?

— Dam sobie radę. Nara.

Sprawnie operując kulami zeszła po schodkach. Patrzyłem za nią, aż weszła do budynku i zastanawiałem się, jak musiało wyglądać jej życie, z matką która..., z ojcem politykiem, z facetami którzy chcą tylko dostać się do jej majątek. Ja też chciałem, Oczywiście. I jednocześnie nie chciałem.

*

Zaczęły się koszmary. Śniły mi się tunele ciasne wypełnione po szyję płynnym gównem, w których brodziłem zaciskając usta i przytrzymując na głowie zawiniątko z dokumentami, wafelkiem „Teatralnym” i pistoletem. Szukałem wyjścia z podziemnej płataniny, ale za każdym zakrętem czekał następny tunel, minimalnie głębszy. Natykałem się na unoszące się na powierzchni zwłoki dziewczyny, albo topiłem się w nagłej fali gówna, albo dopływałem do studzienki, i

ktoś z góry wrzucał do niej granat, drugi, trzeci.

Ktoś walił do drzwi, to mnie przywróciło do rzeczywistości, to nie były odłamki dzwoniące seriami po ceglanych murach. Ktoś szarpał mnie za ramię.

— Niech się pan obudzi!

Usiadłem na łóżku, roztarłem twarz dłońmi. Nade mną stała pielęgniarka.

— Co się dzieje?

— Krzyczał pan, bardzo głośno.

— Miałem koszmary.

— Chyba coś więcej niż koszmary. Obudził pan całe piętro.

— Śniły mi się... śniła mi się Strefa. Koszmary ze strefy.

— Chce pan coś na uspokojenie? Porozmawiam z lekarzem.

Chciałem odmówić, ale z zaskoczeniem dla samego siebie, zgodziłem się. Pielęgniarka po chwili przynosi papierowy kieliszek z małą pastylką, szklanekę z wodą. Popijam gorzkawą pigułkę, pielęgniarka wychodzi a ja opadam na przepoconą pościel. Po chwili czuję się tak, jakby zdjęto mi

sztywny skafander do prac wysokociśnieniowych, który nosiłem od nie wiem już kiedy, przewracam kołdrę na drugą stronę i odpływam w niebieską otchłań chmur nad pustą plażą, o którą rozbijają się białe fale.

*

— Jednak pan przyszedł.

— Jak widać.

— Mogę wiedzieć co spowodowało zmianę decyzji?

Macham ręką w geście rezygnacji, w końcu mówię.

— Mam koszmary.

— Powie pan coś więcej?

Znowu moja ręka wykonuje gest niezdecydowania, jestem zaskoczony kiedy to widzę.

— Śniła mi się... Strefa, to co mnie tam spotkało, trochę przetworzone.

— Oczywiście. Tak jak mówiłem przy pierwszej rozmowie, proponuję rozwiązanie tego problemu poprzez Wspólnotę.

— Może mi pan powiedzieć jedną rzecz?

— Słucham.

— Jak działa Wspólnota?

— To dość proste, u ludzi. Dzięki zastosowaniu wspomaganie lekami oraz dość prostych bodźców mózgi pacjenta i lekarza wprowadzane są w stan splątania kwantowego; w ten sposób lekarz może śledzić, co dzieje się w głowie pacjenta, a pacjent ma wsparcie przy rozładowywaniu łuków emocjonalnych.

— A aklo?

— Ułatwia nawiązanie splątania kwantowego, tylko tyle.

Milczę, w głowie tysiąc splątanych myśli. Zaczyna mi drgać jakiś mięsień w wardze, nie mogę tego powstrzymać.

— Dobrze. Spróbujmy.

Przechodzimy do pokoju zabiegowego, białe ściany, dwa białe fotele wygięte z jednej bryły, jak wyciśnięte z tuby.

— Proszę mi podać nadgarstek.

Rozpinam mankiet koszuli, wyciągam przed siebie rękę.

Lekarz coś przykleja mi na nadgarstku.

— Proszę usiąść i patrzeć przed siebie — wciska coś na płaskim czarnym pudełku wyjętym z kieszeni, siadamy.

Oświetlenie przygasa, na ścianie przed nami pojawia się pulsujący wzór, z koncentrycznych rozmazanych, rozfalowanych linii. Wzór zaczyna się obracać, spiralne kręgi przepływają przez siebie, tracę poczucie czasu, cały obraz jest teraz przecięty skośnymi liniami obracającymi się dookoła środka okręgów.

Czuję obok siebie obecność drugiej osoby, jakby ktoś usiadł na sąsiednim fotelu w kinie. Na ekranie wyświetla się moje życie, ciemność, która — wiem — jest ciemnością kanałów z których wyciągnął mnie J-23. Kulę się z rękami skutymi z tyłu, ale druga obecność wyciąga do mnie rękę. Czuję jak znika siła ściągająca mi ręce za plecy, wstaję.

Polem sceneria się zmienia, leżę na dachu, Ostrowski celuje do mnie z promiennika. Spokojnie celuję, strzelam, odległa sylwetka składa się i pada w tył. Podchodzę, odkopuję promiennik, toczy się po dachu, martwe oczy trupa odbijają ołowiane chmury. Zalewa mnie falująca szarość.

*

Kiedy wracam do rzeczywistości, w głowie mi wiruje i jestem

zlany potem, wstając z fotela o mało co się nie przewracam, ale czuję się lekko, jakby ktoś zdjął ze mnie wielki ciężar.

— I jak się pan czuje?

Pokręciłem głową, dotknąłem dłońmi twarzy, miałem wrażenie że mam nieważkie ręce.

— Lepiej. Dziękuję.

— Powinniśmy to powtórzyć kilka razy.

— To było... prawdziwe?

— Tak i nie. Dla pana prawdziwe, ale działo się w pańskim wewnętrznym świecie.

— Pan przecież też tam był.

— Tylko jako źródło wsparcia.

Przetarłem twarz dłońmi.

— Wie pan co?

— Słucham?

— Będę tu jeszcze kilka dni, chciałbym umówić się na

następną wizytę.

Lekarz wyciąga trikoder, dotknięciem zapala glify, przesuwają się pod jego palcami, wirują, układają w zmienne konstelacje.

— Jutro o szesnastej?

— Dobrze.

Wyciągnąłem do niego rękę. Uścisk miał mocny, ale nie za mocny. Pewny siebie, miły człowiek.

*

W drodze do pokoju zatrzymała mnie recepcjonistka.

— O! Dobrze że pan już jest. Jest rozmowa do pana.

— Rozmowa?

— Warszawa dzwoni. Proszę przejść do pokoju konferencyjnego — wskazała mi niepozorne drzwi po drugiej stronie korytarza.

Zdziwiony nacisnąłem kłamkę. Niewielki pokój był pusty, na środku biały stół, jedno krzesło, na stole rozstawiony złożony w pół parawan z białego, opalizującego tworzywa.

Rozejrzałem się, wzruszyłem ramionami i usiadłem. Parawan rozświetlił się, przebiegły po nim tęczowe zygzaki i znikł. Przedemną siedziała Krakowska.

Poruszyłem głową, złudzenie obecności było kompletne.

— Dzień dobry, niech pan nie wstaje — uśmiechnęła się.

— 'Dobry.

— Chciałam panu podziękować.

— Nie ma za co.

— Jest. Wyciągnął pan dziewczynę z niezłego zamieszania.

Nie odpowiedziałem, w końcu pochyliłem się nad stołem w jej kierunku.

— Długo mnie tu będziecie trzymać?

Spojrzała w dół, sprawdziła coś na trikoderze.

— Jeśli pan chce, może pan wracać nawet zaraz, fizyczne nic już panu nie dolega. Ale myślałam, że będzie pan chciał wracać z dziewczyną, a lekarze zwolnią ją pojutrze. Będzie transport.

Zastanowiłem się przez moment.

— Niech i tak będzie. Poczekam ten jeden dzień. Mogę już iść?

— Nie trzymam pana siłą. Do widzenia.

— Do widzenia.

Gdy wstałem, parawan zgasł.

*

W stołówce dawali dziwną kawę, mocną, gorzką i gęstą, w małych papierowych kubeczkach wielkości dużego naparstka. Odkryłem to podczas śniadania. W tle grało radio, Krystyna Prońko śpiewała o stojących w kolejce po szarość i starość, a ja piłem drugą malutką kawę, kiedy w drzwiach ukazała się Gaja. Na mój widok skrzywiła się, i podpierając się laską skierowała się w kierunku bufetu. Wstałem i przechwyciłem ją w połowie drogi.

— Co ci wziąć?

— Sama sobie poradzę. Nie trzeba.

— Weź się nie wygłupiaj. Masz jedną rękę.

Zrobiła jeszcze krok i syknęła z bólu, zaparła się o laskę. Przysunęła sobie najbliższe krzesło i opadła na nie z wyrazem ulgi na twarzy.

— Dobra, co tu dają?

— Jajecznica, pieczywo, kielba, pasztet, ser, twaróg, grzanki, sok, picie.

— Weź mi jajecznicę, grzanki i jakąś herbatę.

Szybko zapełniłem tacę, dorzuciłem jeszcze kosteczkę masła i plastikową miseczkę marmolady. Spodeczek, łyżeczka, dwie kostki cukru, szklanka herbaty. Ostrożnie przeniosłem tacę do stolika, dostawiłem swoją, zanim zdążyłem się dosięść o jej talerz zadzwoniły sztućce.

— Ale byłem głodna — mruknęła gdzieś między kęsami jajecznicy.

— Masz dużo do odrobienia. Spytaj lekarza, jakie szanse miałabyś w Warszawie.

W milczeniu posmarowała grzankę masłem, podniosła na mnie oczy.

— Od dawna dla nich pracujesz?

Uśmiechnąłem się.

— Dla których nich?

— No-o, dla nich — zakręciła głową wskazując dookoła.

— Nie pracuję dla nich. Pracuję na wydziale ksenologii UW i dla twojego ojca.

— Nie przejmujesz się tym, że się od nich uzależniamy? Że kiedyś za to wszystko zapłacimy?

— Używam i płacę. Ty też, bez tego co oni potrafią już byś nie żyła. Na plecach bym cię ze Strefy nie wyniósł.

— I co, używasz tych wszystkich wynalazków, zadowolony jesteś?

— Czasem używam. Działają.

— Jesteśmy jak jaskiniowcy, przyjechała cywilizacja w świetlistych statkach dostaliśmy scyzoryki, nie wiemy jak działają. A jak odjadą i nie będzie więcej scyzoryków?

Dopiłem kawę i zgmiotłem papierowy kubeczek.

— No więc ja jestem tym jaskiniowcem, co próbuje otwierać scyzoryki, żeby umieć robić własne.

Wytarła talerz po jajecznicy kawałkiem grzanki, powoli oblizała palce. Następną grzankę posmarowała dżemem za pomocą widelca, przysunęła sztuciec do ust i zaczęła go oblizywać o wysunięty język.

— Widzę, że rodzice nie nauczyli cię manier przy stole.

— Sama się nauczyłam, oni mnie nauczyli wrzeszczeć na siebie albo upijać się do obiadu. Matka już by rzucała talerzem w ojca, a ojciec już by był po trzech głębszych. Skąd oni mają te powidła tutaj, mogłabym się w nich kąpać. Opowiadać dalej o manierach przy stole?

— Nie trzeba. Jeszcze miód jest, chcesz?

— Chcę. I herbaty mi przynieś.

Wziąłem sobie trzecią kawę, nalałem herbaty, przyniosłem miseczkę z miodem. Gaja nawinęła trochę słomkowej mazi na drewnianą pałeczkę i przeniosła na swój talerz. Przejrzyste złoto zaśniło w nagłym błysku słońca i spłynęło jej na palce kiedy wgryzała się w chrupiącą bułkę. Skończyła, znów oblizała palce, wsuwając każdy głęboko do ust.

— No, tego mi było trzeba, jeszcze kawy bym się napiła.

Poszedłem do maszyny, wyłuskałem ze stosu papierowy kubeczek, podstawilem, wcisnąłem przycisk, zazgrzytało,

zawyło, po chwili pociurkała kawa. Odwróciłem się w stronę stolika z kubeczkiem w dłoni.

— Posłodzi...

Gorąca kawa pociekła mi na nogę, ale nic nie poczułem, Gaja ściągała bluzę przez głowę. Jej biust falował w sposób, który wyłączył mi zdolność logicznego myślenia.

— Cholera!

Opuściła ręce i przygładziła włosy.

— No, szkoda kawy.

— Nie to, szlag, specjalnie odczekałam aż się odwrócisz, żeby ci gały nie pękły z wrażenia — westchnęła ciężko.

— Nie lubisz swojego ciała?

— Lubię, wytrzymaj to jakoś, tam chyba są jakieś serwetki.

Spojrzałem gdzie wskazywała, złapałem w garść kilka puszystych, poskładanych serwetek, przykucnąłem przy rozlanej kawie.

Kiedy znowu usiadłem, miała już bluzę zarzuconą na ramiona.

- Pojutrze wracamy do Warszawy.
- Skąd wiesz?
- Jutro mają cię wypisać, transport w środę.
- Nic mi nie mówili, jutro mam rehabilitację. I zaraz też.
- Może wieczorem powiedzą. A, słuchaj.
- No?
- Możesz mi jeszcze raz opisać jak dostałaś się wtedy z Ostrowskim do strefy?
- Wiesiek i Janek mieli znajomego, miał transporter.
- Pancerkę?
- Nie.
- Merkiński?
- Nie, raczej, nie, nie wiem, jak uciekaliśmy z podziemi, zabrał nas z podwórza tam, całym sprzętem, prosto do Strefy.
- Jak wyglądał ten transporter?

— Jak biały autobus, tylko miał takie śmieszne z boków, syczały i buczały, zamiast kół.

— Koła?

— Nie, nie miał kół, był gładki od spodu, widziałam jak startował, tylko z boku miał takie obręcze, szerokie rury krótkie takie i tam w nich powietrze się kręciło i szumiało.

— Długo lecieliście?

— Nie pamiętam, trochę spałam. Dwie godziny, może trzy.

— I potem co?

— Wyładowaliśmy sprzęt na tym dachu, on poleciał, i miał wrócić po nas za trzy dni, jak już nawiążemy kontakt. Rozstawiliśmy sprzęt, znaleźliśmy jakieś miejsca do spania tam na dole, i potem na zmianę z Wieśkiem pilnowaliśmy nadajnika. A potem zaczęła się strzelanie i tak przez cały dzień, aż ty się pojawiłeś. Co się stało z Wieśkiem, wiesz?

— Zabrali go gdzieś razem z nami, ale nie wiem co się z nim dalej zrobili.

Spojrzała na zegar.

— Muszę iść, mam zabieg zaraz. Dzięki za pomoc.

Zaparała się o laskę, wstała, pochyliła się i pocałowała mnie w policzek, muskając piersią moje ramię. Oddałem całusa i patrzyłem jak idzie utykając, aż znikła za drzwiami.

*

Druga wizyta u doktora Libera miała niespodziewany przebieg. Kiedy nawiązaliśmy kontakt, odpłynąłem w wizję o ucieczce przez las z płonącego pociągu. Ale kiedy wizja się skończyła, znalazłem się, zlany potem, w nieznannej mi kuchni, siedząc za stołem, po drugiej stronie siedziała Magda i patrzyła na mnie z nienawiścią.

— Kochanie, co się dzieje?

Patrzę na nią i nagle widzę te wszystkie irytujące szczegóły, które wcześniej mi umykały. Nie uroda, chociaż teraz jej zadarty nos jest pozbawiony wdzięku. Ale nagle przypomina mi się stłumiona irytacja przy niemądrych zdrobnionkach, bałagan w szafie i nieumyta wanna. Kłótnie o byle co i drobiazgi za które kiedyś bym ją znienawidził.

Nie pamiętam co było dalej.

*

Położyłem klucz do pokoju na blacie, recepcjonistka potarła go o płaską plastikową podstawkę i zaznaczyła coś na liście.

— Odebrał pan rzeczy z depozytu?

— Nie, jakoś mi umknęło. Gdzie to jest?

— W głównym skrzydle, w piwnicy, będzie oznaczenie.

Poszedłem żółtym korytarzem, odnalazłem klatkę schodową, zastukałem w podpisane drzwi. Za nimi, za drewnianą ladą uniósł głowę facet w niebieskim chałacie.

— 'Dobry, ja po rzeczy, wypisali mnie.

— Dzień dobry. Godność pana?

— Szczepański.

Facet podniósł się z krzesła i zniknął między rzędami metalowych regałów poskręcanych z dziurkowanych kształtek, po pół minuty wrócił z dużym czarnym pudłem z pokrywką. Z ramki na ścianie pudełka wyciągnął kwit, podsunął mi razem z długopisem, zdjął pokrywkę.

— Pan sprawdzi czy wszystko jest.

Zajrzałem do pudełka, oba portfele, są wszystkie dokumenty, trikoder zapakowany w tomofan, obok uśpiony promiennik, wyciągam, dotknięciem budzę tabliczkę sterowniczą. Jest naładowany, patrzę ze zdziwieniem na magazyniera.

— Ładował go pan?

— Tak. Podpiąłem go do zasilania, żeby się struktura krystaliczna dilithium nie zdestabilizowała, potem same kłopoty z uciekami są.

— Mhm, dziękuję.

— Proszę. Pan podpisze czytelnie, z datą i to wszystko.

— Nie ma pan czegoś, żeby to zawinąć? Nie chcę łązić z promiennikiem po ulicy.

— Hmm, coś powinno być — schylił się i pogrzebał pod ladą, wyciągnął sporą kopertę ze znanego mi już tworzywa.

— Będzie dobre?

— Tak, dzięki — zapakowałem promiennik do koperty i upchnąłem paczkę do torby.

*

— Samochód na nas czeka.

Zarzuciłem raportówkę i chlebak na ramię, podniosłem torbę dziewczyny, pomogłem jej wstać. Podparła się laską, ale dalsze kroki stawiała już samodzielnie. Wyszliśmy przed

barak i zacząłem się śmiać, przed nami stała rozklekotana nyska na cywilnych numerach. Zaśmiałem się, ale coś mi przyszło do głowy i umilkłem nagle.

— Spodziewałeś się transportera? Cudów kosmicznych przyjaciół?

Spojrzałem w bok. Gaja patrzyła na mnie ze ściągniętymi ustami. Wzruszyłem ramionami.

— Tak i nie. Wsiadamy.

Kierowca był całkiem łysy, dopiero kiedy odwrócił się w moją stronę zobaczyłem, że ma nie więcej niż trzydzieści lat. Podał mi rękę.

— Waldek.

— Tomasz. Usiądę z przodu, ona z tą nogą potrzebuje więcej miejsca.

— Spoks.

Pod maską rozkaszał się silnik, szyby zadzwoniły o blachy karoserii, ruszyliśmy. Posterunek obstawiony przez mutonów, drugi, potem patrol zomowców, potem zwykła, dziurawa podmiejska asfaltówka. Po kwadransie obejrzałem się do tyłu, dziewczyna póлеżała na tylnym siedzeniu,

wyciągając prosto nogę.

— Jedziemy na Częstochowę?

Wróciłem spojrzeniem w przód, zbliżaliśmy się do większego skrzyżowania, kierowca rzucał mi pytające spojrzenia.

— A mamy wybór?

— Ja mam was tylko wysadzić w Warszawie, o trasie nic mi nie mówili.

— Ta, na Częstochowę.

Obejrzałem się do tyłu.

— Za sześć godzin będziemy w domu.

— Nie chcę do domu.

— A dokąd chcesz?

— Kumpela ma chatę przy rondzie Babki.

— Dobra, to tam cię wysadzimy.

*

Po drodze Gaja zadzwoniła do koleżanki ze stacji CPN. Mogła u niej przenocować. Odetchnąłem, jednak nie chciałem odwozić jej do ojca wbrew jej woli.

*

Kierowca podwiózł nas na róg Stawek i Pokornej. Gaja prawie już nie utykała, ale noga ją bolała ciągle, zaoferowałem się, że zaniosę jej torbę. Weszliśmy między bloki, pół przejścia blokował płot wzdłuż budowy następnego betonowego klocka, pod nogami szurał żwir i piasek osypany z przejeżdżających ciężarówek. Minęliśmy tablicę pamięci Radosława Babki, dziewczyna odnalazła wejście do klatki. Pachniało świeżą farbą, przy wejściu rozsypane kawałki styropianu. Wniosłem torbę na trzecie piętro, Gaja dzwoniła już do drzwi.

Otworzyła nam dziewczyna, obrzuciła nas szybkim spojrzeniem, ja patrzyłem na nią dłużej.

— No cześć.

— Jesteśmy.

— Aha, wejdźcie.

Moje spojrzenie wędrowało od dołu, na stopach miała modne ostatnio głęboko wycięte kierzki bez frędzli, wyżej wąskie

spodnie opinające szczupłe łydki i smukłe uda, bluzeczkę na cienkich ramiączkach, ciemnorude włosy związane w ciasny węzeł na czubku głowy. Kiedy cofnęła się w bok, żeby wpuścić nas do środka, na ramieniu nad łopatką zobaczyłem wytatuowany kwiat.

— To jest Aśka, a to jest Tomasz. Rozwaliłam sobie nogę, Tomasz mi pomaga.

— Chcecie herbaty?

— Chcemy.

— Powieście się i chodźcie do kuchni.

— Buty zdjąć?

— Nie trzeba.

Odstawiam torbę na szafkę pod wieszakiem, rozpinam marynarkę, pomagam Gai zdjąć kurtkę. Kuchnia to jasne kolory, wciśnięta pod okno polarowska lodówka, blaty z szarego laminatu z czerwonym wykończeniem, czyściutko, świeżo. Siadamy na wysokich stołkach przy ścianie, między nami niewielki wiszący stoliczek, akurat, żeby dwie osoby mogły zjeść śniadanie. Gospodyni stawia czajnik na gazie i przysuwa sobie trzeci stółek.

— Znowu się pocięłaś ze starym?

— No. Ukradłam mu trikoder.

— Woow.

— To co, mogę przekimać kilka nocek na kanapie? Dopóki mojemu staremu żyłka się nie uspokoje?

— Jasne. Pojutrze Mańka wraca.

— O, super, dawno z nią nie gadałam.

Gospodyni odwróciła się w moją stronę.

— Gdzie się poznaliście?

Spojrzałem na Gaję, ona na mnie, pierwsza otworzyła usta, kiedy ja jeszcze zastanawiałem się nad wiarygodnym scenariuszem zaprzyjaźnienia się siedemnastolatki i trzydziestoparoletniego faceta.

— Włazłam mu pod samochód, prawie mnie przejechał.

— Wszystko w porządku!? Nic ci się nie stało?

Włączyłem się do rozmowy.

— Tak, mam dobre hamulce. Tylko się potłukła trochę.

— To dlatego tak utykasz?

— Tak... głupia byłam. Ale nic mi się nie stało.

— Czym jeździsz?

— Poldkiem.

— Jaki kolor?

— Biały.

— A fotele?

— W skórze.

Co sobie będę żałować.

— Gdzie zaparkowałeś?

— W warsztacie jest.

— Szkoda, byś mnie podrzucił.

— Błotnik mam do wyklepania, jak Gaję omijałem, przywaliłem w znak.

— No tak.

Ruda straciła zainteresowanie moją osobą, czajnik zagwizdał, zalała herbatę, zadzwonił telefon, ruda wyszła do przedpokoju. Po chwili wsadziła głowę do kuchni, rzuciła coś w naszą stronę. Złapałem odruchowo, pęk kluczy.

— Muszę lecieć, w Stodole dzisiaj gra Młotek Bezpieczeństwa. Macie klucze, chleb jest tam, mleko i twaróg w lodówce. Ogórki wyszły.

— Poradzimy sobie.

Trzasnęły drzwi, pociągnąłem herbaty. Gaja wstała i przeciągnęła się. Był to fascynujący widok.

— Odezdziesz się do ojca?

— Później. Idę wziąć natrysk. — Założyła ręce za głowę i przeciągnęła się jeszcze raz — nie idziesz jeszcze, nie?

— Mhm, nie.

— Zaraz wracam.

Po połowie szklanki herbaty zrobiło mi się gorąco, zdjąłem marynarkę, rozpiąłem drugi guzik koszuli. W umyśle wirowały mi elementy planu działania, ciągle zmieniając

porządek uszeregowania, ale z każdą chwilą na wygodnym krześle blakły coraz bardziej. To była ładna kuchnia, to była dobra herbata, a mnie ostatnie dni mocno wymęczyły, nawet to obijanie się w szpitalu. I nie chciało mi się iść na Magistracką, do zagraconego starymi meblami, brzydkiego pokoju z zapadniętym tapczanem i skrzypiącą szafą. Z kłótniami Górnych za ścianą i w kuchni. Tu było ładnie, pomyślałem, że są ludzie którzy umieją żyć. No i mają dojścia, takich kolorowych mebelków nie widziałem w żadnym sklepie.

Szum wody ucichł. Szczęknęły drzwi, mokre bose stopy zaplaskały o podłogę. Gaja weszła do kuchni owinięta tylko w kusy ręcznik, woda z włosów ściekała jej na kark i szyję. Wsunęła się bokiem na krzesło naprzeciwko mnie, podciągnęła ręcznik na piersiach. Patrzyłem na nią.

Napiła się herbaty, zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

— Pojedziesz do mojego starego?

— Dzisiaj nie, ale w końcu muszę. W końcu odzyskałem to, co zamówił.

Parsknęła, ręcznik zafalował.

— Ta. — Poprawiła ręcznik. — Każesz mi wracać do niego?

— Powinienem.

— I co, kat wykona swoją powinność?

— Właśnie się zastanawiam.

Odwróciła się w moją stronę.

— Masz kobietę?

— Kiedyś miałem. Teraz miewam. Kiedyś znowu będę miał, ale jeszcze nie teraz.

— Zostań ze mną.

— Masz siedemnaście lat...

— Osiemnaście!

— Niech będzie osiemnaście, masz osiemnaście lat, za miesiąc czy rok poznasz następnego fascynującego Sergiusza o białych zębach i odejdiesz.

— Sergiusz to dupek. Piesek mamusi. Tak mamciu, nie mamciu. Rozumiem mamciu. Kurwa!

— Nie klnij, to odbiera ci urok niewinnej panienki.

Wstała od stołu, ręcznik zsunął się na podłogę. Stała przede mną tak jak się urodziła, chociaż nie, trochę się rozwinęła od tego czasu.

— Podobam ci się? — Uniosła piersi dłońmi. — Nie jestem niewinną panienką.

— To akurat wiem. Widziałem twojego misia.

Prychnęła tylko. Nie wiem kiedy wstałem od stołu, staliśmy naprzeciwko siebie na środku pastelowej, kolorowej kuchni.

— Pokażę ci co potrafię — uszczypnęła się w sutek.

— Nie kuś. — Zawahałem się. — Nie zniosę odejścia następnej kobiety.

Podeszła bliżej, przesunęła dłońią po mojej twarzy.

— Ja nie odejdę. Uratowałeś mnie i wogle.

— Zwłaszcza wogle.

Patrzyła na mnie wyczekująco, zaokrąglonymi oczami.

Nie można przez całe życie być niewolnikiem swojej silnej woli. Przyciągnąłem ją do siebie, moje dłonie odnalazły jej talię, zjechały niżej. Jęknęła. Przez koszulę poczułem, jak

twardnieją jej sutki.

— Tam jest kanapa, chodź.

— Poczekaj.

Objąłem ją w talii, uniosłem, posadziłem na kuchennym stole. Zaszczękały szklanki, herbata rozlała się i pociekła na podłogę. Nie zwróciłem na to uwagi, zajęty jej piersiami. Rozpięła mi spodnie, objęła mnie nogami.

Kiedy się już nacieszyłem dotykiem i smakiem jej ciała, przenieśliśmy się na kanapę, po drodze pozbyłem się koszuli i reszty ubrania. Chciałem żeby usiadła mi na kolanach, dopasowywaliśmy się chwilę, a po chwili rzuciła „mam lepszy pomysł”, zgarnęła koc, zsunęła się na podłogę i uklękła przede mną. Polizała czubek mojego członka.

— Robił ci tak ktoś?

— Aach, dawno już nie. Bardzo...

Nie dokończyłem, bo zaczęła rytmicznie poruszać głową, potem popracowała językiem. Kiedy miałem już prawie dojść, przerwała.

— Nie kończ.

— A co mi się przydasz jak się spuścisz.

— Też umiem parę rzeczy, ty masz więcej entuzjazmu, ja mam doświadczenie, chodź tutaj — podciągnąłem ją za ręce i posadziłem ją na swoim miejscu. Teraz mogłem zanurkować między jej udami, aż do porośniętego przystrzyżonym krótko czarnym włosem wzgórką. Była już nagrzana i reagowała na każde dotknięcie, miałem wrażenie, że gram na jakimś zawiłym instrumencie, a nie pieszczę kobietę. Potem zamieniliśmy się miejscami, zarzuciła mi ręce na szyję i wsunęła się na moją męskość, wyrównaliśmy rytmy i dojechaliśmy do szczytu prawie równocześnie.

*

Potem leżeliśmy pod uchylonym oknem, patrząc na siebie. Zarzuciła zgiętą nogę na moje biodro.

— Fajnie było — uśmiechała się z rozmarzeniem.

— Mhm.

— Chyba dawno nie miałeś kobiety?

— No, trochę.

— Powiedz.

— Niech pomyślę.

— No?

— Myślę. Siedemnaście miesięcy.

Obwiodłem palcem jej sutek.

— Jeszcze niedawno... — urwałem nagle.

— Co?

— Nieważne.

Jeszcze niedawno byłem w stanie podać z dokładnością co do dnia, jak dawno odeszła Magda.

— Nie chcesz powiedzieć?

— Nic ważnego w sumie, ale ci powiem. Jestem już w takim wieku, że muszę się zastanawiać, kiedy ostatnio byłem z kobietą.

Zaśmiała się tylko.

Wstałem do łazienki, w drodze powrotnej zajrzałem do lodówki, na drzwiach stała butelka zubrówki. Wygrzebałem z szafki dwie literatki, polałem do połowy, rozejrzałem się za

czymś do dolania. Już miałem dolać kranówki, ale pomiędzy słoikami z ogórkami kiszonymi znalazłem słoiczek jabłek w syropie.

— Co tak długo?

— Masz — podałem jej szklaneczkę.

— Co to?

— Jabłecznik.

Spróbowała.

— Niezłe, ale strasznie słodkie.

— Chyba widziałem gdzieś syfon.

— Zostaw, takie jest dobre.

Pociągnąłem ze swojej szklaneczki. Nagle w głowie zapaliła mi się myśl. Zupełnie nie związana.

— Przypomniało mi się coś, ten transporter co was ten człowiek od Muchy zawiózł do strefy...

— No?

— Czy w tych kółkach z boku coś tam wirowało?

— W jakich kółkach z boku?

— Mówiłaś w stołówce, w szpitalu...

— Nie pamiętam, to chyba był taki normalny bus, ogórek, wiesz.

— A jak się przebiliście przez blokadę. Pamiętasz?

— Spałam wtedy. A co?

Odstawiłem szklaneczkę, opadłem obok dziewczyny i przesunąłem palcami po jej kręgosłupie, od kwadratu mięśni nad pośladkami do karku.

— Nic, nieważne.

— Mmmm, rób tak jeszcze.

Mógłbym tak robić godzinami.

Później zadzwoniła gospodyni, że nie wróci na noc do domu, bo jedzie na melanż do niejakiego Zygi. Kimkolwiek by był.

Zostałem więc na śniadanie.

*

Wychodząc z bloku sprawdziłem spis lokatorów, pod 17 w tabelce wpisana była Joanna Kur. Nie zdziwiłem się, następny element układanki, chociaż poboczny, wskoczył na swoje miejsce.

Pojechałem do domu, z westchnieniem wyciągnąłem z szafy skórzaną kurtkę, i zawiązałem paczkę z promiennikiem w błonę izolacyjną. Potem rozpakowałem promiennik i włożyłem do raportówki, owijając go tylko błoną i kopertą z tworzywa. Z awaryjnej koperty w biurku wyjąłem dwa tysiące złotych, na marchewki i pojechałem na targowisko w centrum.

Przez te kilka dni, które nie było mnie w mieście usunięto spory kawałek targowiska między rakieta i Marszałkowską, ogrodzono, teraz kilka dźwigów stawiało tam ażurową konstrukcję, jak odwróconą łódź; na ogrodzeniu transparent „TU POWSTAJE NOWA HALA TARGOWA”. Przełożyłem portfel do wewnętrznej prawej kieszeni marynarki, ciasno zapiąłem płaszcz, dociągnąłem pasek. Na doliniarza z brzytwą nie pomoże, ale na „parkan” tak. Wszedłem między pozostałe poza ogrodzeniem budy, przepchnąłem się między otyłymi kobietami pochylonymi nad pasmami górskimi monstrualnych biustonoszy, minąłem porozkładane na gazetach, starannie przesortowane przez bezdomnych, śmieci. Alejka załamała się zygzakowato, na rogu budka z

blachy falistej, przez otwarte drzwi, w świetle pojedynczej żarówki żółknęły i puchły stosy starych książek, ale przycupnięty na chybotliwym stołku monstrualnie gruby facet nie był tym, kogo szukałem. Minałem go, i zanurzyłem się głębiej w labirynt kramów. Krążąc po targowisku minąłem parę milicjantów pogryzających szaszłyki, obszedłem całe targowisko dwa razy, handlarza książkami nie było. W końcu podszedłem do budy z zapiekankami.

— Pani da jedną z grzybem.

— Z pieczarką?

— A są inne?

— Nie.

— To niech będzie z pieczarką.

Baba wyciągnęła z opiekacza przypaloną bułę, wsadziła w papierową rynienkę.

— Tu stał taki gość z książkami, nie wie pani czy dzisiaj będzie? Albo jutro?

— Trzydzieści.

Podąłem jej banknot i wyciągnąłem rękę po zapiekanekę.

— Pan trzyma. Kazika z książkami psy zwinęły przedwczoraj.

— Za co?

— Za artefakty, dwadzieścia dla pana, proszę.

— Który wydział? — Zapytałem z głupia frant.

— A bo ja tam wiem? Ubek to ubek, a jak tam oni między sobą...

— Zapakowali go do zwykłej suki?

— Nie, transporterami przyjechali i go zabrali.

— Ale nasi? Ludzie? Czy?

— Nasi, gdzie by tu u nas potworaki jakieś, czy inne...

K³I. Prędzej bym się spodziewał dwunastki. Posoliłem zapiekankę.

— Dzięki.

*

Na szczęście Franka nie zwinęli (jeszcze?). Przechwyciłem go, jak wychodził z kibla.

— Cześć. Sprawa jest.

— Kopę lat, panie poruczniku!

— Nie mam czasu.

Wyciągnąłem promiennik.

— Poznajesz?

— Poznaje — zbladł.

— Skąd Kazik to miał? Od ciebie?

— Nnnie...

— Nie pierdol, gdzie to widziałeś?

— Przywiózł taki jeden, sprzedać chciał.

— Kto?

— Z Torunia.

— Ten wysoki?

— Nie, jego kumpel, razem przyjechali.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem, nie przedstawiał się.

— Gdzie znajdę dużego?

— Był dzisiaj z towarem, pewnie jeszcze baluje w Ochotce.

— A jak nie w Ochotce, to gdzie?

— Na wolności gdzieś.

— Gdzie?

— No w Toruniu, osiedle Wolność, raz tam u nich byłem jak trzeba było dużo towaru przywieźć.

— Gdzie dokładnie?

— A bo ja wiem? Opłotkami łaziliśmy, stare chałupy, bloki, towar trzymali w jakimś garażu w totalnej dupie.

— I tylko tam?

— Jeszcze na wódkę poszliśmy.

— Z towarem?

— Tak.

— Dokąd?

— Taka knajpa w piwnicy, na rogu. Z ulicy schodzi się w dół.

— Gdzie?

— Nie pamiętam, dwie duże ulice. Jedna się chyba Zjednoczenia nazywała.

— Zjednoczenia czego?

— Niczego, po prostu „zjednoczenia”.

Schowałem promiennik pod kurtkę.

— Trzymaj się, Gruby.

*

Taksówkarz wiedział gdzie jest Ochotka, ja przypomniałem sobie na widok obdrapanych drzwi do tego przybytku. Nie dałem złotówie napiwku, mimo że pięć minut (sprawdziłem) szukał drobnych. W końcu pchnąłem drzwi i zszedłem w dół.

Dwa pomieszczenia połączone w jedną salę, na końcu drugiej zobaczyłem wysoką sylwetkę przy stoliku. Podszedłem do

baru, wziąłem mały Okocim jasny pełny. Jak jest to trzeba brać. Z kuflem w ręce ruszyłem w stronę wysokiego, siedział po jednej stronie stolika, po drugiej dwie mewki.

Postawiłem kufel na blacie, dość hałaśliwie, wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

— Dzień dobry, panie poruczniku — powiedział Duży Bart. Osłupiałem.

— Pamięta mnie pan?

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

— Zwinął mnie pan cztery lata temu. Za dwa pojemniki czynnika pomarańczowego.

W mózgu odskoczyła mi klapka.

— Można tym wytruć pół miasta a ty chciałeś sprzedać to na targu.

Mruknął coś niezrozumiale.

— Czego pan porucznik życzy dzisiaj? Jestem czysty.

— Pewnie. Wszystko puściłeś u grubego Franka.

Nie zaprzeczył, jedna z mewek odsunęła się nerwowo od stołu, zaczęła szukać czegoś w torebce.

— Napijmy się piwa — zanurzam górną wargę w kuflu, pociągam niewielki łyk. Stalker patrzył na mnie badawczo.

— Czego pan chce?

Odstawiłem kufel, sięgnąłem pod marynarke, nie wyciągnąłem promiennika, uchyliłem tylko klapy. Dziewczyna z torebką zerwała się z krzesła w stronę wyjścia, złapała za rękę koleżankę, pociągnęła za sobą.

— Nie umoczysz dzisiaj. Podaj mi namiar na kolesia który puścił ten promiennik paserowi spod rakiety. Wiem, że to nie byłeś ty.

Wciągnął tylko powietrze przez zęby.

— Nie muszę panu tego mówić.

— A ja nie muszę z tobą rozmawiać tutaj, możemy na Rakowieckiej.

Syknął przez zęby, w moją stronę zawiało próchniczą zgnilizną.

— Po co?

— Po to, żeby nie wylądować w pierdlu. Może być?

Zastanowił się chwilę.

— Dobra. Bartas przyniósł ten promiennik, nie wiem skąd go miał.

— Ty jesteś Bart. Ty przyniosłeś?

— Ja jestem duży. On jest średni.

— A mały?

— Nie żyje.

— Jak?

— Zastrzelili go na murze, nieważne. Średni wynorał ten promiennik, nie wiem gdzie, przyjechał ze mną, bo nie ma tu kontaktów, żeby puścić gdzieś do żyda.

— Jeszcze powiedz, gdzie znajdę średniego. Tylko bez głupich pomysłów bo będziesz spalony w tym mieście. Pokręcił głową.

— Nie wiem gdzie on mieszka, ja go łapię w knajpie „U Kota”, na Zjednoczenia.

— Gdzie?

— Róg Podgórnej i Zjednoczenia. Przedmieście Wolność w Toruniu.

Popiłem piwa.

— Coś jeszcze?

Usłużność kogoś, kto siedział, może coś podpisał.

— Nie kombinuj.

Wypiłem resztę duszkiem, wstałem.

— Na razie, duży.

*

Po drodze, w Społem w bramie kupiłem butelkę winiaku, udało mi się nawet trafić paczkę pumpernika i kawałek sera tyłzyckiego i złapałem dwudziestkę.

Drzwi na stawkach otworzyła mi Gaja. Szybki buziak, pocałowałem ją też w dekolt, miała na sobie obcisłą bluzkę na ramiączkach i spodnie moro. Zjechałem ustami w dół, aż materiał naciągnął się niebezpiecznie i dostałem w ucho.

— Mmm... gdzie byłeś cały dzień?

— Pracowałem. Musiałem porozmawiać z różnymi ludźmi.

— Z moim ojcem?

— Nie. Jeszcze nie wiem kiedy do niego pójde, muszę sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

— Co przyniosłeś? — Pociągnęła mnie do kuchni.

— Flaszke i coś do flaszki.

— Super, daj do kuchni.

Odwiesiłem kurtkę, wyciągnąłem ser i paczkowany chleb, poszukałem w szufladzie ostrego noża, znalazłem łopatkę do serów. Pociąłem żółty blok na cieniutkie nieregularne plasterki, poszukałem kieliszków, nalałem winiaku. Gaja prawie dosłownie wtańczyła do kuchni, wskoczyła na stół i przysunęła sobie nogą drugi żeby oprzeć na nim stopy. W ten sposób jej nogi, długie i zgrabne były najbardziej widocznym elementem pomieszczenia. Gdzieś między powitaniem mnie przy drzwiach i wejściem do kuchni zamieniła spodnie moro na coś krótszego, wystrzępionego i na szelkach. Podałem jej kieliszek.

— Muszę pojechać do Torunia.

— Na długo?

— Jeden dzień, rano wyjeżdżam, wieczorem wracam. Potem pójdę porozmawiać z twoim ojcem.

Spojrzała na mnie spode łba, odstawiła kieliszek.

— Nie zmuszę cię przecież, żebyś wracała do domu. Ale muszę mu oddać trikot, no i odebrać honorarium.

— Pff — Parsknęła, z ustami pełnymi pumpernika. Obsypały mnie czarne okruchy. — Ile?

— Muszę policzyć. Trochę będzie.

— Kim ty właściwie jesteś, glina?

— Mówiłem ci. Naukowcem.

— Mój ojciec nie wysłałby jakiegoś doktora, przecież widzę.

— Byłem glina. Służba bezpieczeństwa, wydział 10.

— Iksownia?

— Tak. Joanna kiedy wraca?

— Dzisiaj, nie będziesz tu spał.

— Nie? — Zdziwiłem się fałszywie.

— Nie ma mowy. Nie wyobrażaj sobie za dużo.

— Ja?

— Wy zawsze sobie wiele wyobrażacie.

— My?

— Faceci.

Opuściłem nogi i odsunąłem stołek.

— Znasz anegdotę o Holoubku i Himilsbachu w SPATiF-ie?

— Nie.

— Siedzi towarzystwo, między niemi Holoubek, piją. Wtacza się pijany Himilsbach, staje w drzwiach i przekrwionymi oczami toczy po sali. W końcu charcząc wrzeszczy „Inteligenci wypierdalać”. Zapada cisza. W końcu wstaje Holoubek, bierze paltot z wieszaka, zakłada i mówi „nie wiem jak państwo, ale ja wypierdalam”. I ja też wypierdalam, skoro jestem niemile widziany.

— Kurwa, jak ty nic nie rozumiesz, głupku. Mam taki układ z Aśką, że nie zwałę jej gacha na głowę. Aśka wraca za dwie

godziny, możemy je spędzić przyjemniej, niż brandzłując twojego focha, albo faktycznie sobie idź. W cholere.

— Dwie godziny?

— Może dłużej, ale dwie na pewno.

Podszedłem do niej, pocałowałem ją w kark, i zsunąłem na boki ramiączka bluzki.

*

Stałem przed klatką na Magistrackiej, i zastanawiałem się, co dalej. Oczywiście, musiałem pojechać na osiedle Wolność, wytłuc ze stalkera informację skąd wziął promiennik. Ale co potem, zaprosić dziewczynę do pokoju we wspólnym mieszkaniu, z sąsiadami, którzy wszystko słyszą?

Wszedłem do bramy, wspiąłem się na to drugie piętro. Córka Górnych wisiała na telefonie, słyszałem ją jeszcze z klatki.

Zazgrzytałem kluczem w zamku, rozmowa urwała się nagle. Pchnąłem drzwi.

— O, wrócił pan.

— Wróciłem. Ale jeszcze wyjeżdżam jutro.

— Daleko?

— Byłem w... — zawahałem się na moment — w Opolu. A jutro jadę do Torunia.

— Ale fajnie pan ma.

— To męczące trochę. — Wskazałem na pozamykane drzwi do ich pokojów — rodziców nie ma?

— Dostali ze zjednoczenia bilety na koncert Połomskiego.

— Nie poszłaś z nimi?

Prychnęła tylko.

— Dzisiaj Maanam gra w Stodole, Miśka zna tam jednego dźwiękowca, ma nas wpuścić za kulisy.

— Nieźle. Powodzenia.

Przekręciłem klucz w zamku do mojego pokoju. Zapaliłem światło. Żółtawy, stłumiony blask zalał niewielkie pomieszczenie.

Łóżko, szafa, biurko, szafka nocna. Trochę ubrań. Kasetka po pistolecie, będę musiał zgłosić utratę broni. Kiedyś w końcu.

Usiadłem na łóżku i rozsznurowałem buty, rozpiąłem pasek. Opadła mnie niemoc. Skończę zlecenie Marcyniuka, wrócę na uniwersytet, ale co dalej. Nie mogę tak dalej żyć. Czy może mogę, ale nie chcę, już nie chcę.

Zsunąłem spodnie, rozpiąłem koszulę, położyłem się na łóżku. W głowie metodycznie obracały się fragmenty układanki. Jutro dowiem się, na ile sprawa Macyniuka jest merkińską prowokacją. Albo nie.

*

Pod galeryjką w hali głównej odnalazłem automat telefoniczny, wrzuciłem monetę, wykręciłem numer na Stawki. Dziesięć sygnałów, nikt nie odbiera. Pewnie poszła po zakupy. Przez megafony ogłoszono podstawienie pociągu.

*

Zeskoczyłem ze stopni wagonu na niski peron, rozejrzałem się. Nie było nawet przejścia podziemnego, do przednajezdowego budynku szło się przez tory i mały szlaban. Wymijali mnie ludzie idący w jednym kierunku, rozglądałem się, w końcu ruszyłem za nimi.

Mój pociąg ruszył, pozostawiając widok na płot, a za nim stary, czerwony mur, znad muru wychylały się, drzewa, las.

— Co za zadupie — mruknąłem.

Poszedłem przez szlaban i tory, wszedłem do hali dworca zalanej zgniłozielonym blaskiem rtęciowych lamp wycelowanych w pokryty glinowymi kształtkami sufit, spisałem sobie pociągi powrotne. Chciałem się czegoś napić, ale nie było żadnej kawiarni, odszukałem postój taksówek.

— Dokąd?

— Róg Podgórznej i Zjednoczenia. — Taksówkarz zgasił silnik i odwrócił się do mnie.

— Czterdzieści z góry plus licznik. Jeśli da się wjechać.

— Bo?

— To na Wolności, może da się wjechać, może nie da się wyjechać.

— Mhm — sięgnąłem za klamkę, uchyliłem drzwi — to ja poszukam sobie innego kierowcy.

— Wolna wola, tramwajem se pan jedź, bo taniej nikt na Wolność nie pojedzie.

— Dwadzieścia i licznik.

— Idź pan na tramwaj.

— Nie, to nie.

Wysiadłem z taksówki, poszukałem przystanku, strzałki kierowały w dół przejścia podziemnego, ze sklepionego tunelu wyszedłem wprost na pętlę tramwajową. W kiosku kupiłem bilety i wsiadłem do pudełkowego wagonu; chwilę zajęło mi rozpracowanie kasownika z dźwignią, nie podobnego do warszawskich dziurkaczy. Do wagonu wsiadła dwójka młodzików, na oko ze dwadzieścia lat, usiedli z tyłu wagonu zagradzając przejście wyprostowanymi nogami. Obrzuciłem ich szybkim spojrzeniem, jeden ubrany w niemodny od dawna kapelusz z owalnym rondem, drugi w bezkształtnej bluzie, ja usiadłem z drugiej strony, poszedłem do przodu wagonu. Wąskie siedziska z listewek były twarde i niewygodne.

Z jednej strony kilka stojących luzem, wyrwanych z kontekstu kamienic, pętla autobusowa i tramwajowa, przejście na dworzec, z drugiej dziurawa ulica i las. Gdzie miasto?

Zahuczało pod podłogą, drzwi zamknęły się z wyciem silnika i hukiem, z drzeniem tramwaj ruszył.

Przystanek, rondo, na środku ronda kilkunastometrowa płatanina kręgów, owali i kul, podpisana „Wstrzymał słońce,

ruszył Ziemię”, tramwaj skręcił w wbity w zarośla most, przejechaliśmy kawałek i wyjechaliśmy nad rzekę, na ceglana panoramę miasta. Na moście tramwaj huczał niemiłosiernie, jak wielkie stalowe pudło w które ktoś nieustająco walił młotem. Łoskot ustał dopiero kiedy zjechaliśmy z mostu po drugiej stronie.

Patrzyłem na obce miasto przesuwające się za szybą, nowe budynki przemieszane ze starymi, z czerwonej cegły, wcześniej wzdłuż trasy tramwaju ciągnął się zaniedbany park.

Po lewej stronie, ponad zdewastowanymi ogrodami, resztkami działek, zamajaczyła na wysokim rusztowaniu tablica ksenoskażenia, żółto-czarna, węzowo spleciona spirala podświetlona osobną lampą wbijała się w mrok wieczoru jak kawałek innego świata. Była nim. Czas wysiadać.

Tramwaj zatrzymał się na środku ulicy, drzwi rozsunęły się z łomotem, zeskoczyłem na bruk. Wzdłuż ulicy ciągnął się rząd zapuszczonych, przednajązdowych domów, W głębi ulicy oświetlony jasno, kolorowo pomazany mur zabezpieczający Strefy ze standardowych betonowych bloków, bliżej kilkunastopiętrowe kloce potworackich pudełkowatych budynków, na ścianie najbliższego domu farbą z rozpylacza namazane „Witajcie na Wolności”. Przedmieście Wolność, najbardziej znana dzielnica marginesu i stalkerów. MJ-12

kiedyś chciał otoczyć je pancerkami i ZOMO-wcami i trzepać, szuflada po szufladzie, mieszkanie po mieszkaniu, dom po domu, ulica po ulicy, kwartał po kwartale. Jak za czasów potworaków.

Nie wiem dlaczego, ale w końcu tego zrobili.

Łebki które wsiadły na dworcu wysiadły razem ze mną i dołączyły do okupującej przystankową ławkę młodziaków, kątem ucha usłyszałem powitania, „cześć Dźwiedziu”, „siemka Wiraż”, zmierzyłem ich szybko wzrokiem. Na moje spojrzenie odpowiedział byk w kraciastej koszuli i włóczkowej czapce popijający piwo, obok niego palił coś wysoki brunet o wąskiej twarzy, uwagę zwracała imponująca chmura włosów tworzących splątaną sferę dookoła jego głowy.

Najważniejsze to nie wyglądać na frajera, ruszyłem szybkim krokiem wzdłuż linii tramwaju, skręciłem w pierwszą przecznicę w prawo, po kilku minutach doszedłem do Zjednoczenia, rzuciłem okiem na numerację, rosnące w lewo.

Na skos przez skrzyżowanie, naprzeciwko rogu, na którym mieszkał Mały Bart, stara kamienica, wzdłuż jednej ściany zejście w dół, niechlujnie namalowany szyld „Bar u Kota”. Obok, równą ręką nakreślony napis „to spokój, spokój jadącego czołgu, a kolor jego jest srebrzystobiały”.

Uchyliłem drzwi na dole nierównych schodów, z wnętrza wypłynął zaduch dymu, piwa, pierdów i męskiego potu. Szkoda, że nie mam tlenówki. Wziąłem ostatni wdech świeższego powietrza i poszedłem w zanurzenie.

W którymś filmie Piestraka, chyba w *Gwiezdnych wojnach* jest taka scena, jak bohaterowie wchodzą do wszechkosmicznej speluny. Rozmowy zamierają, wszyscy bywalcy patrzą na przybyszów, ręce pod stolikami sięgają do olstr po promienniki i miecze.

Ci nie mieli promienników, i bardzo, bardzo starałem się nie szacować ile na sali może być luf.

Podszedłem do baru, wciągnąłem tyłek na stołek. Barman nie miał lewego oka, i przez pół twarzy bliznę od oparzenia, jak potworackim porażaczem. Popatrzył na mnie tylko pytająco.

— 'Dobry. Lornetę i meduzę prosz'.

Zniknął na zapleczu. Obrzuciłem salę szybkim spojrzeniem. Twarze z połyskującymi bliznami nie spuszczały mnie z oka. Takie blizny zostawia „poziomy deszcz”.

Barman wrócił z talerzem galarety, z trzaskiem odkręcił świeżą butelkę, nalał dwie pięćdziesiątki, przesunął wszystko w moją stronę.

— Trzydzieści.

— Jeszcze będę zamawiał.

— Trzydzieści, teraz.

Podałem mu pięćdziesiątkę, nabił rachunek na starej, mechanicznej kasie.

— Reszty nie trzeba. Szukam Małego Barta — rzuciłem cicho.

Barman wrzucił „generała” do kasy, zatrzasnął szufladę, popatrzył na mnie dobrym okiem.

— Kto szuka?

— Ja.

— Ja kto?

— Kumpel Grubego Franka.

— Nie znam żadnego Franka.

— Mały zna.

— Niech ci będzie — wzruszył ramionami.

Obok mnie o blat oparły się ręce, dłonie przeorane na fioletowo, lewa miała palce pourywane w połowie, pourywane przez „skaczące żabki”, nic innego nie daje takich poszarpanych kikutów.

— Dwie sety — właściciel dłoni mówił do szynkarza ale patrzył na mnie. Odkroiłem widelcem kawałek galarety, wypilem pierwszą wódkę, zagryzłem. Barman zniknął na zapleczu, mimo że na półce stała butelka żytniówki którą napoczął nalewając moje. Facet bez palców patrzył na mnie spode łba, w końcu odcharknął, splunął na podłogę między nami.

— Czego tu kurwa szukasz, szpiclu?

Odkroiłem widelcem następny kawałek galarety i wrzuciłem do ust, zastanawiając się gdzie mu wbiję widelec jeśli przyjdzie co do czego. Najprościej w rękę, ale „żabki” niszczą też odczuwanie bólu w porażonych kończynach. Obróciłem widelec w palcach, tamten zwinął ręce w pięści, mimo okaleczeń były to duże pięści, budzące szacunek. Zacisnąłem trzonek widelca w dłoni.

Szynkarz wrócił z butelką z czerwoną kartką, ocenił sytuację, nalał dwie setki, podsunął tamtemu.

— Jędrus, nie szuraj, pan tu czeka na kolegę swojego. Będiesz szurał, to Kuba powie ci, żebyś poszedł do domu

już, kumasz?

— Kurwa, Kotu czaisz że ja nie mogę szpicli? Nie obrabiam, no!? Muszę dać w ryja bo nie wyrobię. No inaczej nie mogę, kurwa.

— Idź się napij, Jędrus, za wszystko co ci zrobili, i daj spokój, bo wiesz co będzie.

Jędrus zwiesił głowę w rezygnacji, charknął jeszcze raz w moją stronę, nie trafił, wziął swoje wódki i wrócił do stolika. Rozejrzałem się po knajpie, spory facet siedzący na wysokim krześle przy wejściu przeciągle odpowiedział na moje spojrzenie. Nie było go tam kiedy wchodziłem.

Drzwi otworzyły się, wszedł niski pulchny blondyn o zaczerwienionej twarzy. Przybił piątkę wykidajle, rozejrzał się i ruszył prosto w moją stronę. Przywitał się z Kotem i wskoczył na stołek obok mnie.

— No, co tam?

— Ty jesteś Bart?

— No raczej. Kto ci dał na mnie namiar?

— Gruby Franek z Różyca.

Kotu podsunął mu wódkę ze śledziem. Blondyn walnął kieliszek na raz, nożem i widelcem odkroił kawałeczek śledzia i zagryzł.

— Zajebiste śledzie Kotu daje, zamów se. Czego chce ode mnie ten spasiony wieprz?

— On nic, ja chcę.

Przestał żuć.

— Czego?

— Muszę się dowiedzieć, skąd wzięliście promiennik.

— Jaki promiennik?

— Merkiński. Taki — wyciągnąłem lejkowaty przedmiot z kieszeni i wycelowałem mu w brzuch. Nie speszył się nawet, nabrałem do niego trochę szacunku. Barman zorientował się błyskawicznie, i jednym ruchem zdobył jeszcze większy szacunek — wyciągnął na blat za barem promiennik ciężkiego potworackiego porażacza do tłumienia zamieszek. Wyładowanie przeszłoby przez drewnianą ściankę szynkwasu jak przez mgłę, z tej odległości mogło być zabójcze. Zrozumiałem, jak stracił oko.

— Synu, schowaj zabawkę, albo idźcie rozmawiać na

zewnątrz — rzekł barman głosem człowieka śmiertelnie zmęczonego.

— Tylko pokazywałem koledze Bartkowi — uśmiechnąłem się lekko, kciukiem wyłączyłem promiennik i schowałem do kieszeni, jednocześnie rozglądając się po reszcie knajpy. Wzdłuż możliwego wyładowania porażacza barmana było pusto, nie potrafiłem teraz powiedzieć czy krzesła i stoliki stały tak samo przedtem, czy uległy niezauważalnemu przemieszczeniu, gdy nie patrzyłem.

Barman odwiesił promiennik na jednostkę zasilającą ukrytą gdzieś pod barem i zamaszystym ruchem szmaty starł z baru rozlaną wódkę. Nawet nie zauważyłem, kiedy potrąciłem swój drugi kieliszek.

— Jeszcze jedną poproszę — wskazałem przewrócone naczynie. — I dla kolegi też. I śledzia. Walnęliśmy po lufie. Spojrzał na mnie.

— Oszalałeś, kurwa? Przecież każdy patrol z wykrywaczem cię zwinie i pójdiesz na pięć lat bez zawiasów!? Tak to nosisz w kieszeni? Bez niczego? Owiń to chociaż cynfolią, albo czymś.

— To moja rzecz — mruknąłem. — Ty mi lepiej powiedz skąd to masz. Gdzie, jak to zdobyliście? To ważne.

— Jakiś lewy jesteś, nie wiem w co kręcisz.

— Moja rzecz, mówię. Chcę się tylko tego jednego dowiedzieć. I znikam.

— Dobra, dobra. Ale powiem ci, i więcej cię nie widzę.

— Zniknę jako ten sen złoty. Słowo zdobywcy.

Zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Nie pasowałem tu, i obaj o tym wiedzieliśmy.

— Dobra. Było tak. Poszedłem do Strefy sprawdzić studzienki zbierające czerwoną rtęć. Mam kilka wykopanych, niedaleko... zresztą nieważne gdzie. — Machnął ręką. — Pogoda była dość chujowa, zbierało się na burzę, duszno, z człowieka pot się leje. Do studzienek dotarłem bez większych problemów, sprawdziłem ile się nazbierało, przelałem urobek do zabrania później, i wtedy się zaczęło.

— Burza?

— Też, ale później dowiedziałem się, że sektoidzi podciągnęli jakiś ciężki sprzęt, chcieli sprawdzić jak zadziała jakaś nowa maszyna do jonizacji czy do czego... podciągnęli to pod Strefę z trzech stron i puścili dwa transportery po obwodzie, z podwieszanymi pojemnikami z tym czymś. Widziałem je, schowałem się wtedy w stosie takich wielkich rur z tego niby

betonu potworaków, tego rudego. Włączyli to gównno, zaczęła się burza i nagle jak nie jebnie raz, pośrodku Strefy zebrało się światło, takie najpierw żółte, potem białe i niebieskie, zwinęło się w kulę, i wtedy jebło drugi raz, piorun jakby poszedł w te transportery co latały w kółko, akurat się mijały, niebieskie światełka im zgasły i posz-ły! Prosto w ziemię, w Strefę. Jeden rozpierdolił się o starą wieżę nastawni, to było zaraz obok tych rur gdzie ja siedziałem. Podbiegłem zobaczyć, ale zanim dobiegłem to już była tylko wypalona skorupa, w środku upieczone dwa sektoidy, smród nieziemski, tej takiej słodkiej spalenizny, porzygałem się aż do żółci, bo nie miałem czym. Jak się pozbierałem, rozejrzałem, dookoła leżały jakieś pojemniki, kawałki, złapałem dwa czy trzy co były pod ręką i w długą.

— Co było w tych pojemnikach?

— Dwa w środku były całkiem spalone, na żużel, w trzecim był promiennik i jakaś maska, ale na sektoida, nie na ludzia. Zadowolony?

— Zadowolony. Jeszcze po jednym?

— Może być, ale potem wypierdalaj, szpiclu.

Wzruszyłem ramionami i zamówiłem. Zasłużyliśmy, obaj. Machnąłem do barmana i wskazałem na pusty talerz z zagrychą. Śledzie faktycznie były niezłe.

Skończyłem zakąskę i wyszedłem, nikt mnie więcej nie zaczepiał.

*

Miałem tu do załatwienia jeszcze jedną rzecz, na szczęście Instytut był blisko, dojrzałem z tramwaju charakterystyczny biały budynek.

W przedsionku, naprzeciwko portierni ścianę zajmował spis pracowników naukowych. Odszukałem znajome nazwisko, na haczyku obok wisiała niebieska blaszka. Zagadnąłem portierkę, solidną babę w niebieskim chałacie, muszę iść do drugiego skrzydła, na prawo. Poszedłem długim, ponurym korytarzem wystawiającym do środka rzędy oblażących z olejnej farby drzwi. Nad głową rynna kablowa z dziurkowanej blachy, pęki przewodów wylewają się z niego falującymi pnączami, pozaczepianie o otoczenie wąsami kolorowego drutu. W jednym miejscu sufit osmalony, z przerwy w blaszanym korycie wylewa się lodospad skrzepłego makaronu w jedwabnych otoczkach. Pociągnąłem nosem. Zapach spalenizny był stary, ale wyczuwalny. Dalej pod drzwiami grupka zaaferowanych studentów spisuje coś z gabloty, doszedłem do klatki schodowej, wspinałem się na drugie piętro, przez okno na całą wysokość schodów widać było w oddali śmigłowiec patrolujący obwód Strefy i tablice ostrzegawcze na murze, kiedy dotarłem na drugie piętro jedna z nich zgasła.

Korytarze drugiego piętra wyglądały na nie malowane od Inwazji, chociaż może to oświetlenie, stare kuliste lampy, paliła się co druga, odszukałem na ścianie podwójny przełącznik, po wciśnięciu zapaliła się jeszcze jedna, co wcale nie pomogło rozproszyć żółtawego półmroku.

Zupełnie jak u nas w Zakładzie.

Odszukałem grawerowaną tabliczkę na drzwiach, „Zakład ksenofizyki i fizyki poza-granicznej”, niżej żółto-czarny znaczek ksenoskażenia. Były zamknięte. Zapukałem, raz, drugi. Po minucie rozległy się kroki, szcęknął zamek, otworzyła mi pucołowata, krótko ostrzyżona dziewczyna.

— Pan do kogo?

— Szukam profesora Fejmana, przyjechałem z Warszawy, nazywam się Szczepański.

— Profesor jest u siebie, proszę — odsunęła się — tam na końcu. Poszedłem krótkim korytarzykiem obstawionym z obu stron starym sprzętem. Przesunąłem rękę po starym urządzeniu do zapisu widm, żeliwna lufa pozbawiona „zamka” na kliszę celowała ślepo w ścianę. Za mną szcęknęły zamykane drzwi.

Na końcu korytarzyka załom w lewo, dwoje drzwi, otwartych, rozglądam się. Na wprost pokój, na drzwiach podpisany

„Prof. Ruben Fejman” pusty, zabałaganione biurko, regał zastawiony stosami papierów i książek. Zaglądam do drugiego, koło drzwi na ścianie starannie wygrawerowana tabliczka „prof. Ludwik Landau”, za biurkiem siedzi wielki facet, gęste, nastroszone i poskręcane w spirale czarne włosy tworzą dookoła jego głowy półprzejrystą kulistą chmurę jak pierwszy orbital atomu wodoru. Walczy z zaciętą szufladą, unosi głowę.

— Pan w jakiej sprawie?

— Szukam profesora Fejmana.

— Nie ma go.

— Widzę. Mogę poczekać?

— Jasne. Tam gdzieś powinno być krzesło.

Siadłem w korytarzyku, mając widok na oba pokoje. Czarnowłosy pochylił się nad szufladą, dobiegł mnie cichy zgrzyt metalu, szczęknięcie, szuflada wysunęła się. Wyjąłem gazetę z płaszcza, założyłem nogę na nogę, w ten sposób siedziałem w jego stronę. Wziął z biurka skompilowaną konstrukcję z błyszczących pręcików i sprężynek, ostrożnie umieścił w szufladzie, wyjął z kieszeni małą, błyskającą kulkę, wcisnął ją w szczyt sprężynowej płataniny i zamknął ostrożnie szufladę. Znowu pochylił się nad zamkiem,

zazgrzytało, szczęknięło. Schował narzędzia do kieszeni, ze stolika pod ścianą wziął elektryczny czajnik i zaczął napełniać go z kranu w kącie załamane korytarzyka. Odchrząknąłem.

— Myśli pan, że Landau ucieszy się z „wyjca” w szufladzie?

Spojrzał na mnie szybko, uśmiechnął się. Zęby miał żółte od tytoniu.

— Podpuścił mnie pan.

— Pan był pierwszy — ukłoniłem się — a ja chciałem się dowiedzieć dokąd zajedziemy.

— Myślałem że zaraz mi pan wręczy rozprawę o właściwościach czerwonej rtęci, albo coś w tym stylu.

— Nie jestem od Docenta Muchy. Byłem ostatnio na pańskim seminarium na UW, pracuję u profesora Kohna. — Wstałem i wyciągnąłem rękę — Szczepański.

— Zaraz, zaraz, kojarzę, to pan zrobił rozkład widmowy odpowiedzi „uszących paluszków”?

— To my, ja tylko podawałem narzędzia, ale mnie dopisali.

— Niezła praca, ale powinniście sprawdzić jeszcze

zmiennosc polaryzacji.

— Sprawdziliśmy już po opublikowaniu tamtego artykułu, będzie w następnym „Wszechświecie” — uśmiechnąłem się.

— Co wam wyszło?

— Wyodrębniliśmy, prawdopodobnie są cztery kanały modulacji polaryzacyjnej. Na jednym zwracany jest sygnał odbierany, z półtorasekundowym opóźnieniem, na innych...

— przerwał mi.

— Na którym?

Patrzył mi w twarz z intensywnością jakiej jeszcze u nikogo nie widziałem.

— Kołowa w prawo, jeśli patrzeć od wielkiej osi „paluszka”.

— Niech zgadnę, na kołowej w lewo, jest sygnał wejściowy zsumowany z jakimś jeszcze przebiegiem?

— Skąd pan wie?

— Znaleźliśmy ten sam efekt w sparowanych „radyjkach”. Jeszcze nic potwierdzonego, oficjalnie, ale...

— A ten drugi sygnał modulujący?

— U nas to jest znacznik czasu w systemie szesnastkowym, ale tylko w jednym wypadku, w innych nie wiemy. Ale, ale, herbaty?

— Chętnie.

Wrzucił po torebce „Popularnej” do szklanek, zalał wrzątkiem.

— Chodźmy do mnie.

Szklanki postawił na biurku, zdjął stertę odbitek z krzesła dla gości, zaprosił gestem, usiadł za biurkiem.

— Przyjechał pan do mnie od Kohna? W jakiej sprawie?

— Pracuję na UW, tak, ale przyjechałem w innej.

Przestał przekładać papiery na blacie i przyjrzał mi się.

— Niech zgadnę — machnął ręką. — Zaraz wyjmie pan bardzo tajną broń Obcych i mnie zastrzeli. Trafiłem?

— Prawie.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza, wyjąłem owinięty folią aluminiową promiennik, zawinięty jeszcze przepisowo w tomofanową torbę na artefakty, i podałem mu.

— Co to jest?

— Bardzo tajna broń obcych. A raczej nie broń, przynajmniej nie oficjalnie.

Wprawnym ruchem zgarnął papiery z połowy biurka na podłogę, ukazując szklaną płytę przykrywającą połowę blatu, przesunął herbaty na brzeg, wyciągnął i założył gumowe rękawiczki.

— Daj pan to.

Ostrożnie rozpakował paczkę, wyciągnął promiennik, obrócił w dłoniach.

— Znam to z opisów, a pan mi to przynosi pod nos, czemu sami tego nie skatalogujecie? Czemu do mnie?

— Fachowiec powiedziałby, że został pozyskany metodami operacyjnymi. Oficjalnie nie istnieje, a ja jestem tutaj prywatnie, byłem u znajomych i wpadłem w celu omówienia, na przykład tych polaryzacji.

Odsunął promiennik, przeniósł wzrok na mnie.

— Pan jest ze Służby? To oficjalna wizyta?

— Już nie jestem. Ale czasem robię znajomym przysługi,

czasem coś mi wpadnie w ręce, powiedzmy, w rozliczeniu.

— Za takie przysługi się płaci. Czego pan chce ode mnie?

— Nie przyszedłem pana ustawiać, naprawdę. Przeszedłem jak cywil do cywila, teraz pracuję na UW. Wpadło mi w ręce coś, o czym wiem, że w następnym wydaniu klucza powinno być oznaczone jako wyjątkowo niebezpieczne, chciałem to panu pokazać, tyle.

Podniósł promiennik, rozpakował, obrócił go w ręce, złapał za uchwyt. Uniosłem dłoń.

— Niech pan we mnie nie celuje, jeśli można.

— Jaki stopień niebezpieczeństwa?

— Według oficjalnego opisu, to spawarka promienista. Zabito tym człowieka.

Położył promiennik na blacie, popatrzył na mnie.

— Nie żartuje pan? Nie, nie żartuje pan. Ile mamy czasu?

— Ostatni pociąg mam przed siódmą. Pięć godzin. Powinno wystarczyć na standardową kartę katalogową.

— Chodźmy do pracowni. Takiej sprawy nie dam do

opracowania doktorantowi, pomoże mi pan.

*

Zeszliśmy w dół, do podziemi budynku, tu była druga pracownia. „do głównej pracowni pana nie wezmę, przecież chyba nie chcemy żeby pana spisali”, ja tylko kiwnąłem głową. Trzeba było się przeciskać między stosami aparatury, stalowymi szafami, w półmroku rozbiłem łokieć na głowicy wystającej z wielkiej zardzewiałej komory próżniowej, w końcu odnaleźliśmy nie oznaczone drzwi.

W pracowni poruszał się szybko, sprawnie. Miał opracowane listy rzeczy do rozpisania i sprawdzenia, według tych list wypełnialiśmy karty katalogowe. Patrzyłem z podziwem jak w jego rękach w sekundę promiennik rozpada się na części i znowu staje się całością. Rozpoznałem ogniwo zasilające, było takie samo jak w zestawie łączności dalekiego zasięgu. Na koniec umocowaliśmy promiennik w stojaku, wycelowany pionowo w stalową beczkę pełną wody. Od sekundowego strzału zrobiła się gorąca. Przeliczył coś.

— Kamień można tym topić. No, spawarka.

Zapisał coś w „uwagach” karty katalogowej i podpisał się na dole.

— Koniec. Co pan z nim teraz zrobi?

— Najchętniej wrzuciłbym do Wisły.

— Jest lekki, może wypłynąć. Właściwie, to dowód, mówił pan, że użyto go w morderstwie.

Skinąłem głową.

— Tak. Ale nie chcę, żeby zniknął z milicyjnego magazynu w niejasnych okolicznościach. Jutro będę miał kontakt, z Ich przedstawicielem. Zwrócę go do źródła.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

— To chyba najlepsze wyjście.

Zawinałem promiennik w cynfolię i tomofan.

— Odprowadzę pana na górę — Fejman stał już z kluczami przy drzwiach — wypuszczę pana bocznym wyjściem. Poszliśmy w labirynt zakurzonych, ciemnych korytarzy, profesor odemknął korby na hermetycznych stalowych drzwiach oznaczone promienistą „koniczynką”, szybko przeszliśmy pustym betonowym tunelem, w końcu wyszliśmy na parking z tyłu budynku. Doprowadził mnie do furtki. Padał drobny, uciążliwy deszcz marszczący odbicia latarni na płytkich kałużach, niskie chmury opalizowały buropomarańczowo.

Podał mi rękę.

— Niech pan przekaze Kohnowi wiadomość o tych przebiegach czasowych, to może się wam przydać. Do zobaczenia — uśmiechnął się.

Podaliśmy mu rękę i ruszyłem pod górę ostrym podjazdem. Na ulicy rozejrzałem się i ruszyłem w stronę starego miasta. Za mną zgasło jakieś światło, obejrzałem się, to ktoś wyłączył lampę oświetlającą wielki napis INSTYTUT MARI SKŁODOWSKIEJ-BAUMAN.

*

Jeszcze w pociągu, w ustępie, zawinąłem promiennik w błonę izolacyjną. Prosto z dworca pojechałem do poselstwa. Przez okno 175 zobaczyłem jak grupka robotników ze wsparciem merkińskiego sprzętu montuje na budynku cepelii olbrzymi prostokąt wycelowany w środek skrzyżowania. Wskoczyłem z autobusu na przystanku i przyjrzałem się artefaktowi, po płaskiej powierzchni przebiegły kolorowe linie. Wyświetlacz informacyjny, ale taki wielki?

Ruszyłem w kierunku poselstwa.

*

Nie byłem umówiony, ale kiedy podałem w portierni

nazwisko, sekretariat Krakowskiej nie dał mi czekać. Po dwóch minutach byłem w jej gabinecie.

— Jest pan.

— Jestem. Wie pani lepiej ode mnie kiedy wróciliśmy do Warszawy. I mam coś dla pani — ostrożnie umieściłem na blacie zapakowany promiennik, ściągnąłem z niego mętną błonę. Odsunęła się pół kroku.

— Jak pan to tutaj wniósł?

— Normalnie — wzruszyłem ramionami — a jak miałem wnieść?

— Powinien być alarm na bramce!

— Mam swoje sposoby — uśmiechnąłem się — ale chyba to powinno zniknąć z ulicy. Ktoś mógłby przez to zginąć.

— To prawda — Krakowska przesunęła palcem po swoim trikoderze. Z blatu stojącej pod ścianą szafki wynurzył się płytki pojemnik ze złotozielonego tworzywa. Kobieta sprawnie rozłożyła promiennik na części, ułożyła je w pojemniku. Wsiąkł w ścianę. Odwróciła się do mnie.

— Siadajmy. Ja też mam coś dla pana. Nawet podwójnie.

— Tak?

— Po pierwsze, pozdrowienia od pańskiej żony.

Zesztywniałem.

— *Byłej* żony.

— N'tak, pan jest teraz wolny. W każdym razie Magda pana pozdrawia.

— Bardzo dziękuję.

— Nie wygląda pan na zadowolonego.

— Trudno być zadowolonym, kiedy człowiek okazuje się nie dość dobry.

— W czym?

— Nie wiem — wzruszyłem ramionami — po prostu któregoś dnia dowiedziałem się, że jestem nie dość dobry. W czym, nie zostało nigdy wyjaśnione.

— Przykro mi.

— Och, niech pani sobie daruje takie formalne grzeczności.

Przesunęła ręką po włosach.

— Naprawdę mi przykro. Rozmawiałam ostatnio z pana żoną, nie było mowy o powodach waszego rozstania. Ona panu dobrze życzy.

— Niestety nie jestem w stanie odwdzięczyć się jej tym samym.

Krakowska nie skomentowała tego w żaden sposób. Pochyliłem się w jej stronę.

— Wie pani, cały czas nie mogłem zrozumieć po co wam byłem ja. Mogliście całą sprawę załatwić w dwie godziny, drużyną mutonów. I dopiero jak wracaliśmy, ta rozklekotana nyska którą tłukliśmy się przez pół kraju, wyjaśniła mi wszystko.

Patrzyła uważnie, bez żadnej reakcji.

— Jak pięknie się to wszystko ułożyło, dwunastka dostała po łapach, wasze plany nie zostały pokrzyżowane, i nie ma winnych, są tylko zadziwieni. I załatwiliśmy to naszymi, ziemskimi rękami.

— My naprawdę nie chcemy was przerabiać na siłę. Jeśli nie chcecie.

— Ona ma zaniki pamięci.

— Co ma pan na myśli?

— To było kilka dni temu, a nie pamięta już szczegółów tego jak trafiła do Strefy. I innych rzeczy.

Krakowska przesunęła palcem po leżącej na biurku tabliczce, pod kątem widziałem poruszające się glify.

— Pamięć jest nie tylko zapisem wspomnień, pamięć może przecież być też obciążeniem, pan to wie najlepiej.

Przez chwilę nie odpowiedziałem.

— Pamięć to ja, to to, z czego się składam.

— Pan to istota żywa, pamięć to tylko jeden z aspektów. Złamie pan rękę, ręka się zrośnie, czy powinna boleć do końca życia?

— Nie można komuś podłożyć sztucznej ręki bez jego zgody.

— Wie pan, nie rozmawiałam z lekarzami w tym wypadku, zresztą nic by mi nie powiedzieli, tajemnica lekarska, ale nie można za kogoś zapomnieć czegoś, czego w głębi umysłu sobie nie życzy zapomnieć. Metody naszej medycyny wykorzystują naturalne mechanizmy obrony przez

zapominanie, nie wchodzą z butami w umysł pacjenta. Czy ona przez całe życie ma uważać się za morderczynię?

— Nie jest nią.

— Ale w to nie wierzy. W końcu uwierzy i zapomni.

— Tak samo jak zapomni to, co widziała w tajnej Strefie.

— Ostrowski i Mucha nie zabrali jej tam na wycieczkę krajoznawczą, miała zginąć, próbując nawiązać kontakt z blondynami, żeby skłonić ich do frontalnego ataku na Merkinów. To miało dać pretekst grupie Bolnara do usunięcia Macyniuka z komitetu i ministerstwa.

— Wiedziała pani o tym od początku?

— Oczywiście.

Poczułem się jak głupiec.

— Po co ja?

— Dyrektywa o nie mieszaniu się w lokalne stosunki. Spadł nam pan jak z nieba.

— Znaleźliście frajera, żeby nadstawiał za was dupę.

— Jeśli już, to głowę. To prawda, nie przewidzieliśmy, że ten szmalcownik pana sprzeda. Ale udało się pana wyciągnąć, bez widocznych ingerencji.

— Ja też zapomnę o tym, co działo się w strefie?

— A chce pan?

— Nie.

Skinęła głową.

— Mam tylko prośbę.

— Słucham.

— Niech wszystko to co się wydarzyło, pozostanie między nami.

— To mogę pani obiecać. W ramach wdzięczności.

— A właśnie, wdzięczność, jeszcze ta druga rzecz — sięgnęła do biurka i położyła na blacie ciężkie, obłe etui, pchnęła je w moją stronę.

— Stracił pan VIS-a, prawda? Tylko tak możemy się panu odwdzięczyć, wszystko tajne przez poufne. To od nas, od K³I.

Pokrowiec był wielkości sporej, grubej książki, sięgnąłem i ręka gibnęła się w dół pod zaskakującym ciężarem. Obróciłem przedmiot w dłoniach, z jednej strony gładką granatową powierzchnię przecinało łukowate wgłębienie. Obok rząd tłoczonych ideogramów, rozpoznałem wśród nich merkińskie cyfry.

— Co to znaczy?

— Zestaw narzędziowy numer 24.

Zahaczyłem palcem krawędź wgłębienia, pojemnik otwarł się jak książka. Zamiast liter, w środku zobaczyłem znaną już białą wyściółkę, w gładkim gnieździe tkwił długi pistolet o bardzo grubej lufie, w zagłębieniach dookoła wianek drobnych akcesoriów. Wyłuskałem broń, zważyłem w ręce. W pierwszym dotknięciu kolba była śliska, potem jakby wkleiła mi się w dłoń. Odszukałem zatrzask magazynka, na podstawioną dłoń wypadł szary prostopadłościan ze skomplikowanym złączem na górnym końcu.

— To bateria, amunicja jest w tym półwalcu za lufą. Ale teraz niech go pan nie nabija. Zapas amunicji jest pod wyściółką, i instrukcja, po polsku. I ładowarka.

— Gdzie bezpiecznik?

— Ręcznego nie ma, ale chwyt przez chwilę był śliski,

prawda?

— Mhm, tak.

— Zakodował się, teraz tylko pan może go użyć. Jeśli musi pan mieć rękawiczki, tam jest taka żółta elastyczna opaska do założenia na nadgarstek, wtedy działa przez rękawice. Niech pan z nim poćwicz, przestawienie się z broni prochowej trochę zajmuje. Ale, jeśli można prosić, dyskretnie. Chyba że zdecyduje się pan go zarejestrować.

— Myślę, że się powstrzymam. Pani to wybrała?

— Nie, to Likert. W dowód naszego uznania. I wdzięczności.

— Przy okazji będziecie mieć mnie na oku.

Westchnęła.

— Gdyby ta zabawka była namierzalna, byłoby to zbyt niebezpieczne. Dla nas i dla pana. Kontrola nie jest najwyższym stopniem zaufania, wbrew temu co mówi rząd.

Złożyłem broń do pudełka.

— Przekáže pani moje podziękowania panu Likertowi?

— Oczywiście. Niech pan wpadnie do nas na strzelnicę, może

w sobotę?

— Nie wiem czy to najlepszy pomysł.

— Bardzo pana proszę.

— Spróbuję — uśmiechnąłem się trochę wbrew własnej woli.

— A, jeszcze jedno pytanie. Możecie go wyłączyć?

— Tak jak mówiłam, to zestaw narzędziowy.

— I mówiła pani, że narzędzia też obejmiecie monitoringiem.

Wyjęła coś z biurka, białą pałeczkę wielkości długopisu, obróciła w palcach.

— Wyjdzie pan zapalić?

— Tu nie wolno?

— Nie. — Pokręciła głową. — Przejdziemy się.

— Wracamy tutaj?

— Raczej nie. — Sięgnęła do dolnej szuflady, podała mi wymiętą i przetłuszczoną papierową torbę. — Niech pan to zawinie. Po co każdy ma widzieć, co pan niesie. — Brązowy papier nie był papierem i był śliski. Potarłem go w palcach.

Miał fakturę, ale nie miał się. Wrzuciłem pojemnik ostrożnie do środka torby, zawinąłem starannie.

— To się nie podrze, to nie papier, spokojnie. — Wstała zza biurka. — Idziemy?

*

Korytarz, drugi, wyjście z budynku, na wartowni oddaję przepustkę, przechodzimy przez Aleje, wchodzimy między drzewa na niewielkim skwerku, idziemy alejką wolnym krokiem, Krakowska wyciąga swoją pałeczkę, ja wyciągam papierosy, przechylam się do niej.

— Zapali pani?

— Mam fajkę, dziękuję. Odstawiam tytoń.

Wciska do rurki jakąś mały przedmiot, coś przekręca, z rurki unosi się opar. Kobieta unosi rurkę do ust i zaciąga się głęboko. Wyciągam zapałki, odpalam.

— Jeśli to nie tytoń, to co?

— Łagodny pobudzacz, nieszkodliwy. I nie uzależniający.

— Mhm, nie przyszliśmy tu rozmawiać o paleniu. Co z tym — unoszę paczkę.

— Nie chcemy ryzykować, że inne Gromady będą miały dostęp do pana lokalizacji. Najlepiej nich pan to trzyma w tej torbie cały czas, metalizowany tyvek dodatkowo pochłania sygnały namierników rezonansowych. A, i jeśli pan zanieśe próbkę torby do Instytutu, to i tak nic wam nie da, nie znacie jeszcze technologii epitaksji z wiązki molekularnej.

— Mhm. — Wyprzedzam ją na alejce, zastępuję drogę, odwracam się — po co to wszystko? Chcecie mieć wtyczkę w Instytucie?

Zatrzymuje się o pół kroku przede mną.

— Po co pan szuka wszędzie drugiego dna? Bardzo nam pan pomógł, jesteśmy wdzięczni.

— Nie rozdajecie tak-ot takiego sprzętu. Ta spawarka trafiła na rynek przez kilka trupów a pani co, wyciąga z biurka nawet nie wiem dokładnie co i mi daje? Przekupić mnie chcecie?

Cofa się o krok, dopiero teraz owiewa mnie jej zapach. Jest przyjemny, kwiatowy. Patrzy na mnie z ukosa, zaciąga się swoją fajką. W końcu mówi.

— Eksperyment Webera i Feknera nie udowodnił braku Wspólnoty. Udowodnił jedynie, że Wspólnota może dzielić się, na części, na Gromady. Czasem wzdłuż szeregów

dziedziczności, czasem według wymaganych działań. Czasem wzdłuż pełnionych obowiązków czy poglądów jednostek. Gromada Likerta nie jest jedynym wykonawcą działań wobec ludzi, a współistnienie to nie jedyna możliwość ułożenia naszych stosunków.

— A zasady? Wspaniałe moralne zasady Ich cywilizacji?

— Mózg może wyznawać najwspanialsze zasady moralne, ale nie ma wpływu na to, co robi wątroba. Niech pan na siebie uważa.

— Budujące.

— A czego pan oczekiwał? Kryształowych pałaców w których filozofowie toczą abstrakcyjne dysputy o naturze wszechrzeczy?

Dopalam papierosa, cofam się kilka kroków do kosza na śmieci, starannie gaszę, w końcu odwracam się do niej.

— Staram się nie oczekiwać niczego; człowiek rzadziej się rozczarowuje.

— Przykro mi, że pana rozczarowałam.

Wygląda, jakby mówiła poważnie. Mam ochotę zapalić jeszcze jednego, ale powstrzymuję się od wyjęcia paczki.

— To nie pani wina — mówię w końcu. — To tylko ten świat. Jednocześnie oboje patrzymy na zegarki, jednocześnie odzywamy się.

— Muszę już iść.

Uśmiecham się. Kobieta podaje mi rękę.

— Do widzenia. Mam nadzieję, że w sobotę.

— Do zobaczenia — mówię tylko, potem patrzę jak odwraca się i odchodzi.

*

Zapukałem do drzwi. Szuranie, zgrzyt, cisza. Odnalazłem przycisk dzwonka, wcisnąłem, przełożyłem siatkę z ręki do ręki. Znowu szuranie, drzwi otworzyła mi nie widziana wcześniej szczupła blondynka w narzuconej na gołe ciało męskiej koszuli.

— 'Dobry, ja do Gai.

— Jakiej Gai?

— Macyniuk, przywiozłem ją tu wczoraj.

— Nie ma jej. — Chciała zatrzaskać drzwi, ale zdążyłem wbić

nogę w szczelinę.

— Gdzie jest?

— Nie wiem! Wyjechała rano. Niech pan wyjmie nogę, bo zacznę krzyczeć!

— Dokąd wyjechała?

— Nie wiem! Gdzieś nad morze, do Szczecina chyba, weź pan tą nogę! Aaaa! Ludzie! Ra...!

Wziąłem nogę, zatrzęsnęła drzwi. Rozejrzałem się po klatce, nikt nie spieszył się na ratunek. Uniosłem rękę, żeby zadzwonić jeszcze raz, kiedy drzwi otworzyły się nagle.

— To pan Tomasz?

— Tak.

— To dla pana — tak gwałtownie podała mi szaroniebieską kopertę, że wyraźnie zobaczyłem nic, które miała na sobie pod rozpiętą koszulą. Złapałem kopertę, drzwi się zatrzęsnęły.

Koperta nie była zaklejona, w środku kartka zapisana nierównym okrągłym pismem.

Mój kolega ma domek nad morzem, w Szczecinie. Jadę tam doczekać do urodzin. Nie szukaj mnie. Było naprawdę super. Całuję.
Gaja

Moja ręka zmięła kartkę i kopertę, zaciśniętą pięść wraz z zawartością siłą wcisnąłem do kieszeni. Schodami zszedłem na parter, dopiero na wysokości pierwszego piętra udało mi się rozluźnić palce i wypuścić zgnieciony papier.

W sumie, pozostała mi już tylko jedna rzecz do załatwienia.

*

Po pierwszym dzwonku w oknie poruszyła się firanka, ale musiałem poczekać jeszcze prawie pięć minut, zanim w drzwiach pojawiła się gospoia.

— Pan idzie, prosto do pana, czeka na pana i się złości. —
Idę. W gabinecie? — Tak.

Bez zdejmowania płaszcza poszedłem na górę, wszedłem przez drzwi z trzema zamkami. Siedział za swoim biurkiem, nad rozłożonymi papierami. Na mój widok odłożył trzymaną kartkę i wyprostował się. Bez zaproszenia usiadłem na krześle naprzeciwko niego.

— To pan, co pan dla mnie ma?

Wyjąłem z marynarki tomofanowe zawiniątko, pchnąłem po blacie w jego stronę. Macyniuk odsunął fotel, wziął trikoder do ręki, podniósł do oczu, przyjrzał się rozbitemu szkłu.

— To mój?

— Tak. Rozbił się podczas odzyskiwania go w Obszarze 51.

— A moja córka?

— Odmówiła powrotu po dobroci, mogę panu powiedzieć gdzie jest, niech pan ją sam sobie sprowadzi, albo wyśle dzielnicowego. Siłą jej nie będę włókł tutaj. Ale...

— Co?

— Niech pan się z nią najpierw dogada, bo znowu pryśnie, albo zajdzie w ciążę, żeby panu zrobić na złość.

Bez komentarza odłożył pakunek na biurko, obok popielniczki wyciętej z pasiastego, czarno-zielonego kamienia.

— Nie pana sprawa jak będę postępować z własnym dzieckiem.

— Odzyskałem trikoder, pana córka jest bezpieczna, trzeba się rozliczyć.

— Trikoder uszkodzony a córka gdzieś na gigancie, ale to już sam załatwię, bez pana pomocy... — zawiesił głos.

Wyjął portfel, odliczył dwadzieścia szaroniebieskich papierków. Rozłożył je w wachlarz na stole, złożył w plik, przeliczył jeszcze raz. Z wahaniem pokiwał dłonią z pieniędzmi, w końcu wyciągnął je w moją stronę.

— Prosz'. Dwadzieścia, dla równego rachunku.

Przeliczyłem, złożyłem banknoty w pól i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Patrzyliśmy na siebie chwilę.

— Jak pan się uśmiechnie do nich, popłaszczy, może panu dadzą nowy — odezwałem się nagle. — Wymienią. Może.

Macyniuk uśmiechnął się samymi ustami, nieprzyjemnie.

— To już nie będzie konieczne.

— Odlatują?

— Wręcz przeciwnie. Wspólnie pracujemy nad dopuszczeniem części artefaktów do otwartego obrotu.

— Zmienicie prawo?

Wrócił do biurka, podniósł kartkę nad którą pracował, pomachał nią w powietrzu.

— Będzie lista artefaktów sprawdzonych, bezpiecznych, niepodlegających kontroli, powołamy osobne przedsiębiorstwo które będzie kupować te rzeczy od Merkinów i rozprowadzać Ich eksport na rynku wewnętrznym. Dla grupy Bolnara to będzie koniec wszystkiego.

— Dla dwunastki też. Chcecie to sprzedawać za normalne pieniądze?

— Na początku trzeba będzie zrobić jakieś bony przeliczeniowe, ze złotych na te ichnie punkty zasobów. W PKO już nad tym myślą.

— Kiedy? Ci od Bolnara dostaną pierdolca.

— Od nowego roku.

Ostatni element układanki wskoczył na miejsce. Odchrząknąłem.

— Właśnie coś mi pan wyjaśnił, niech pan słucha. Cała sprawa była prowokacją grupy Bolnara przeciw Kurowi i

przeciw panu. MJ-12 wysłał człowieka, żeby wciągnął Gaję w nielegalną działalność, razem z docentem Muchą i grupą emilcińską mieli sprowokować atak Trzecich na teren poza specstrefą. Gdyby nie ja, byłby pan właśnie przenoszony do Sieradza na naczelnika wydziału w urzędzie rejonowym. Człowiek, którego córka przystała do wywrotowców nie może być członkiem KC.

Macyniuk zamilkł na chwilę.

Zawahał się. W końcu wyciągnął z portfela jeszcze pięć koperników i przesunął po blacie w moją stronę.

— Premia. I wiszę panu przysługę. Nawet pan nie wie, co mi pan właśnie powiedział.

Wstał i wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją i wyszedłem.

*

Po kwadransie szukania złapałem przejeżdżającą taksówkę. Podjechałem do Centralnego, z wózka z tatarskim żarciem kupiłem szaszłyk i „piwo piwo jasne pełne” od wołacza z torbą. Po piwie dokupiłem jeszcze ćwiartkę żołądkowej gorzkiej w monopolowym i butelkę cytrynady, i poszedłem pod raketę. Znalazłem sobie murek z widokiem na obwód i usiadłem. Automat strażniczy Merkinów stukając patykowatymi kończynami przeszedł za ogrodzeniem.

Odkręciłem wódkę, obejrzałem zakrętkę. Pękła na łabądka. Napilem się. Popilem cytrynady. Znowu coś zastukało, tym razem z boku, obejrzałem się. Przez ulicę, od strony Złotej 44 przechodziła dziewczyna stukająca złotymi szplikami, po kilku krokach, pod innym kątem oświetlenia, zrobiły się złotozielone, jak jej lśniące legginsy ciasno opinające zgrabne nogi pod krótką, opalizującą spódniczką ze sztucznego jedwabiu. Obcy mieli coś dla każdego. Procesy przemysłowe, materiały, budowlane i krawieckie; modę; lekarstwa na choroby których nie umieliśmy leczyć, i na takie, których jeszcze nie znaliśmy. Nawet nie chcieli bardzo drogo.

Na światłach zatrzymał się samochód, kierowca włączył radio, Pani Śmierć śpiewali *Szafranowe pole*. Wsłuchiwałem się w muzykę, dopóki głos Panasewicza nie utonął w hurgocie silnika, a ten w końcu nie ucichł w wąwozie ulicy.

Powoli, małymi łykami pociągałem wódki, bez wyciągania butelki z papierowego zawiniątka i patrzyłem na rakietę spowitą pomarańczowym, sodowym blaskiem. Mętniało. Nad miasto nadciągnął następny wieczór gorzkiej mgły.

Nie oznaczone cytaty w tekście pochodzą z: „Sid Meier’s Alien Crossfire”, z Hugh’a McLeoda (<http://gapingvoid.com/>), „Nie ma mocnych”, „Wilga”, Piotra Czerskiego i internetowych wypowiedzi Wojtka Orlińskiego.

Strona redakcyjna

Copyright © by Alexander Gütsche
Copyright © for the cover illustration David Revoy

Redakcja i korekta: Paweł Dembowski
Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN 978-83-937597-0-5

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>